Na ratunek Żydom
Poruszający wywiad ze 101-letnim polskim Sprawiedliwym

Żelazny Marszałek
Triumf i legenda Carla Gustafa Mannerheima

Zabić Hessa!
Jak polscy oficerowie planowali zamach na zastępcę Hitlera

NR 1(95)/2021 STYCZEŃ 2021

CENA 8,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA DO RZECZY

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515
Nr indeksu 296 031

Blamaż Stalina

WOJNA ZIMOWA

eprasa.pl 39a9c37c40

Historia

HORYZONT znak

w naszym wydaniu – PORUSZAJĄCA I AUTENTYCZNA

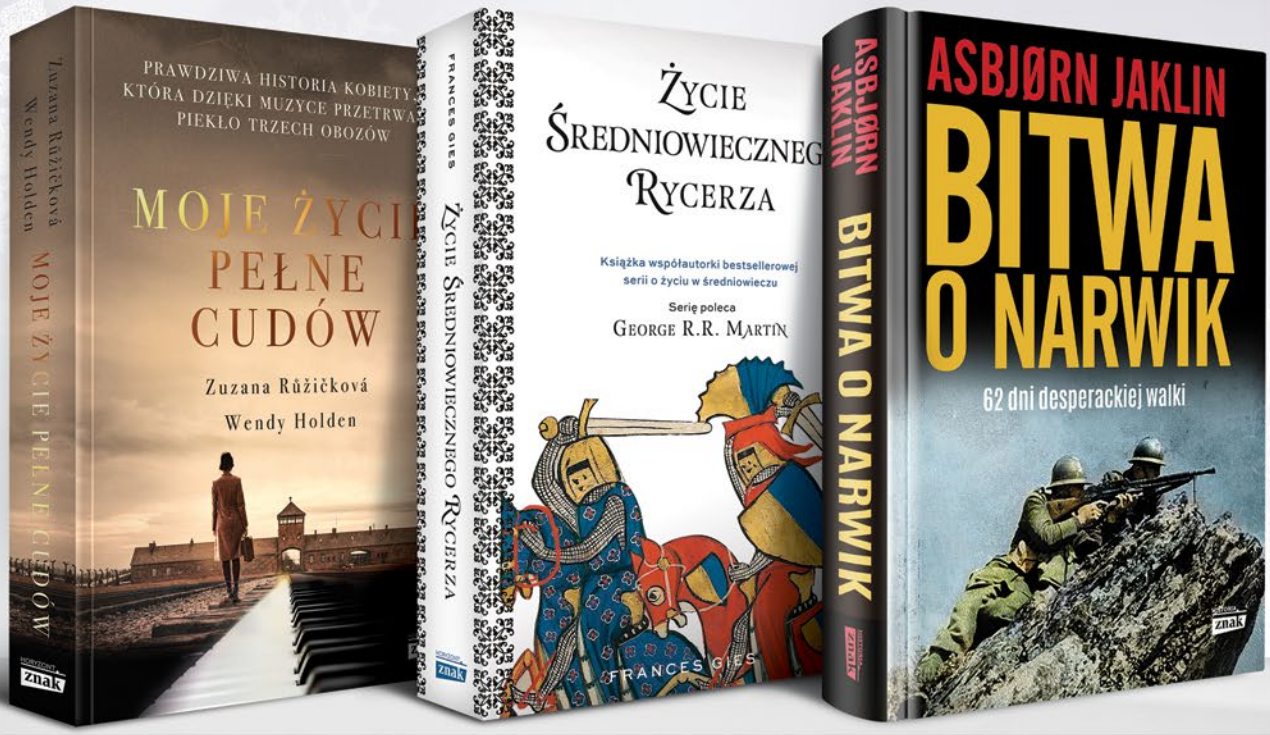

HORYZONT znak

eprasa.pl 31e9a37c40

ADRES: HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL
PROWADZĄCY: PIOTR WŁOCZYK

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Redaktorzy: **Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Piotr Włoczyk**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**

Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska**
Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzyr**, **Marcin Bugaj**, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk** (także „Super Express"), **Paweł Zdziarski**

WYDAWCA:
Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

spółka notowana na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA

Zarząd PMPG Polskie Media SA: **Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska**

Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż),
Monika Doroś, tel. kontaktowy: 508 040 664
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza), tel. kontaktowy: 539 953 631
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515
Nr indeksu 296031

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów.
Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, 20 grudnia 1927 r.

Uroczystość wręczenia Józefowi Piłsudskiemu fińskiego Orderu Białej Róży

FOT. NAC

Od redaktora / Piotr Zychowicz

Fińskie lwy

To jedna z najbardziej zapierających dech w piersiach wojennych epopei w dziejach świata. Finlandii nikt nie dawał przecież najmniejszych szans! W 1939 r. kraj ten liczył zaledwie 4 mln mieszkańców. Związek Sowiecki był zaś 150-milionowym kolosem, który posiadał dwa razy więcej czołgów niż wszystkie państwa świata razem wzięte.

Wojna między przeciwnikami dysponującymi tak ogromną różnicą potencjałów wydawała się niemożliwością. Armia Czerwona miała jak walec rozjechać niepozorne siły zbrojne skandynawskiego państewka. Zająć bez trudu Helsinki i obsadzić granicę ze Szwecją. Po kilku dniach miało być po wszystkim. Finlandia, rzucona na kolana, miała być zamieniona w kolejną sowiecką republikę.

Stało się jednak inaczej! Ku zdumieniu całego świata Finowie zatrzymali bolszewików. Pod dowództwem żelaznego marszałka Carla Gustafa Mannerheima – jednego z najwybitniejszych wodzów tamtej epoki – armia fińska biła się wspaniale. Kolejne fale sowieckich ataków rozbijały się na fińskich pozycjach na Przesmyku Karelskim. Krwawe straty bolszewików szły w setki tysięcy.

Wojna zakończyła się po trzech i pół miesiąca podpisaniem pokoju. Finowie musieli co prawda oddać Sowietom niewielką część swojego terytorium, ale – i to było najważniejsze – udało im się obronić swoją suwerenność. Armia Czerwona nie zdołała przenieść pożaru rewolucji do Skandynawii.

Był to blamaż Stalina i czerwonych generałów. A jednocześnie – wielki triumf i sukces Finów. Najtwardszych, najlepszych żołnierzy świata.

Wystarczy przypomnieć, że w owym czasie nikt inny nie sprał tak bolszewików. Sowieci pokonali Japończyków nad rzeką Chałchin-Goł, bez jednego wystrzału zajęli Litwę, Łotwę i Estonię. Walki nie podjęli Rumuni podczas zajmowania przez bolszewików Besarabii. Niestety również opór Wojska Polskiego 17 września 1939 r. był tylko symboliczny (nieszczęsny rozkaz Śmigłego-Rydza: „Z bolszewikami nie walczyć"!).

A Finowie nie dali się nastraszyć i bronili swojej ojczyzny jak lwy! I udało im się mocno dać po nosie sowieckiemu niedźwiedziowi. Trudno nie myśleć o ich dokonaniach w trakcie wojny zimowej bez najwyższego podziwu i uznania. ©℗

Redakcja „Historii Do Rzeczy" życzy wszystkim Czytelnikom wszystkiego dobrego na święta Bożego Narodzenia!

eprasa.pl 31e9a37c40

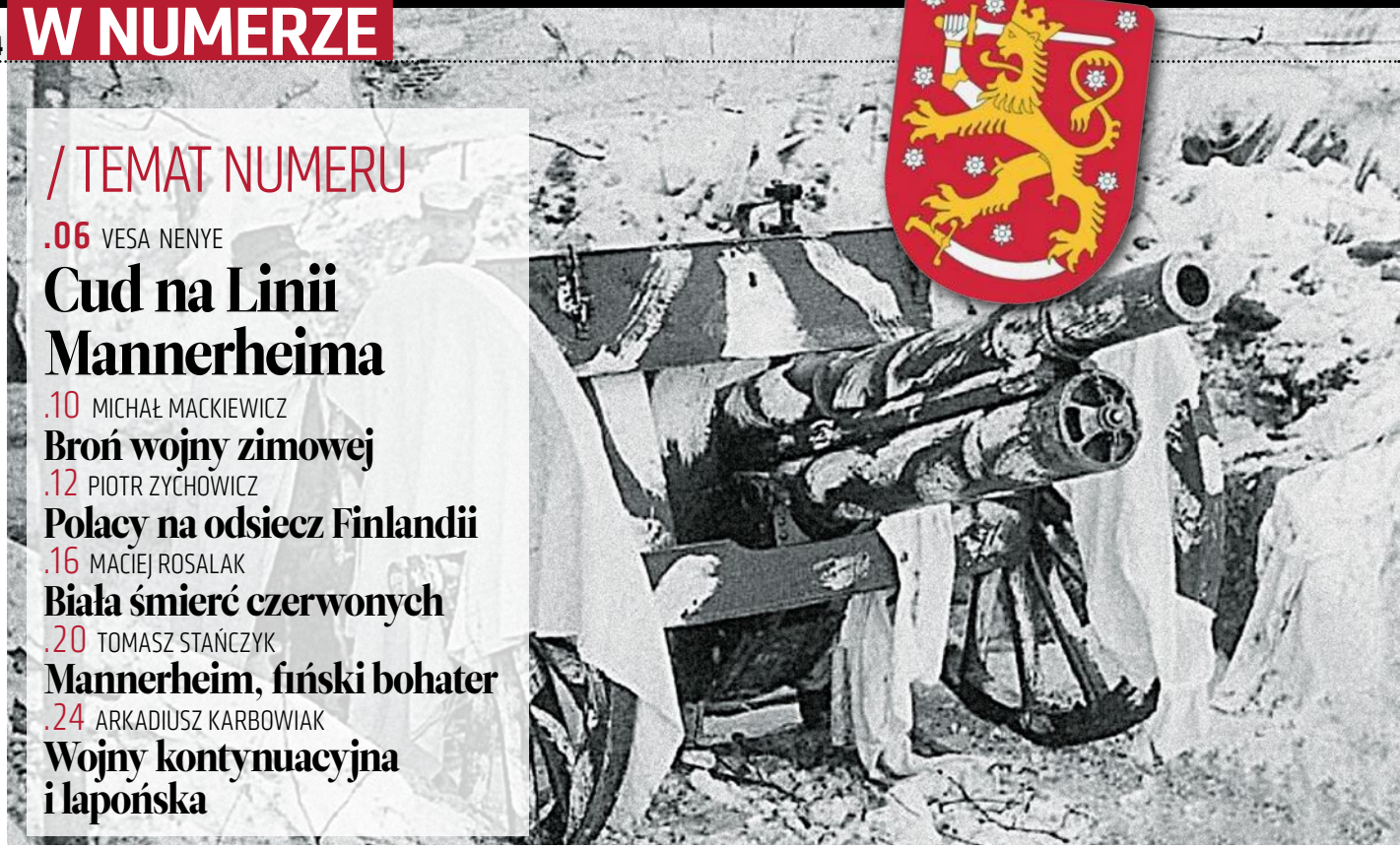

/ TEMAT NUMERU

.06 VESA NENYE
Cud na Linii Mannerheima

.10 MICHAŁ MACKIEWICZ
Broń wojny zimowej

.12 PIOTR ZYCHOWICZ
Polacy na odsiecz Finlandii

.16 MACIEJ ROSALAK
Biała śmierć czerwonych

.20 TOMASZ STAŃCZYK
Mannerheim, fiński bohater

.24 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Wojny kontynuacyjna i lapońska

/ CZASY I LUDZIE

.28 JÓZEF WALASZCZYK
Kilogram złota za życie

.32 BOGUSŁAW KOPKA
Żłobek za drutami

.36 MAREK GAŁĘZOWSKI
Powstańcy listopadowi w powstaniu styczniowym

.39 JAKUB OSTROMĘCKI
U-156 atakuje Arubę

.42 RADOSŁAW GOLEC
Polski zamach na Hessa

.48 PIOTR ZYCHOWICZ
Izraelskie lobby: ogon kręci psem

.52 MIKOŁAJ IWANOW
Bunt w Kronsztadzie

.55 SŁAWOMIR KOPER
Járosy: król estrady

.58 MACIEJ ROSALAK
1921: Wojna, wojna i po wojnie...

.62 MACIEJ GABLANKOWSKI
Romans Piłsudskiego

.80 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Kanały wodne i silniki parowe

eprasa.pl 31e9a37c40

/ CO CZYTAĆ

.64 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Paweł Hertz patrzył się inaczej

/ FELIETONY

.72 JACEK BARTOSIAK
Globalny boks

.74 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Praworządna Jałta

.75 PIOTR SEMKA
Mikołajczyk niedoceniony

.83 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
Profesor Wieczorkiewicz

/ KRESY

.76 TOMASZ STAŃCZYK
Ostatni ordynaci nieświescy

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Burowie biją Brytanię

REKLAMA

Święty Wojciech
wydawnictwo

JAK STAĆ SIĘ NAJLEPSZYM RODZICEM W POSTPANDEMICZNYM ŚWIECIE?

Porady eksperta psychologa, zestawy działań, zabaw i ćwiczeń

Poradnik polecają:

TVP3 POZNAŃ, Radio Poznań, EMAUS dobre radio, Claudia, miasto DZIECI.pl, Rodzice w Edukacji, CzasDzieci, Edukacja na NOWO, rodzice.co, PYTAM.EDU.PL, #detoks cyfrowy

eprasa.pl 31e9a37c40

Wywiad / Z Vesą Nenye, współautorem książki „Finlandia na wojnie. Wojna zimowa 1939–1940"

rozmawia Piotr Włoczyk

Fińscy żołnierze przy ciężkim karabinie maszynowym Maxim M/32-33

FOT. WIKIPEDIA

Cud na Linii Mannerheima

– Decydujące były błędy Sowietów i fantastyczne morale fińskich żołnierzy. Wiedzieli bowiem, że na szali jest wszystko – mówi Vesa Nenye

PIOTR WŁOCZYK: Co się stało 26 listopada 1939 r. we wsi Mainila?

VESA NENYE: W tej sprawie panuje dosyć głęboka różnica zdań między Finami a Rosjanami. Poważni historycy nie mają tu jednak wątpliwości i podpisują się pod ustaleniami Finów – Sowieci sami ostrzelali swoje pozycje w wiosce Mainila. Leżała w swego rodzaju worku. Sowieci tak to zaplanowali, że gdyby się bardzo uprzeć, to można było twierdzić, że strzały padły z pozycji fińskich. Stalin szukał casus belli, więc sam go sobie sprawił.

Czy Stalin naprawdę wierzył, że ktokolwiek na świecie kupi tę wersję? Czteromilionowa Finlandia atakująca 40-krotnie większy Związek Sowiecki?

Myślę, że Stalina nie za bardzo to obchodziło. Sowieci potrzebowali jakiegokolwiek pretekstu, by móc się przedstawić jako strona napadnięta, która się broni i przy okazji udziela „bratniej" pomocy fińskim komunistom. Kreml chciał też dzięki temu przekonać swoich żołnierzy, że muszą powstrzymać agresora. To, z jakim nastawieniem żołnierze jadą na front, jest bardzo ważną kwestią.

Mainila i radiostacja w Gliwicach – nietrudno dostrzec tu podobieństwa.

Cel był dokładnie ten sam.

Sowieccy dowódcy mówili żołnierzom, że Finowie będą ich witali jak wyzwolicieli...

Cóż, okazało się, że zamiast kwiatów Finowie przygotowali dla nich inne „powitanie". Armia Czerwona przygotowywała się od dłuższego czasu do podboju Finlandii, ale w listopadzie 1939 r. te plany zostały wyrzucone do kosza, ponieważ uznano, że takie tempo inwazji byłoby zbyt wolne. Zamiast nich dowództwo miało wdrożyć hurraoptymistyczne wytyczne z Kremla. 21 grudnia 1939 r. Stalin obchodził 60. urodziny. Finlandia miała być wielkim prezentem dla przywódcy...

Na papierze armia ZSRS miała nad Finlandią miażdżącą przewagę. 150 tys. Finów stawiło czoło ponadmilionowej Armii Czerwonej.

Z tego punktu widzenia plan zwyciężenia Finlandii w trzy tygodnie nie wyglądał tak źle. Na papierze nie było

eprasa.pl 31e9a37c40

jednak widać sowieckich problemów z logistyką i aprowizacją. Nie widać też było efektów wielkich stalinowskich czystek w Armii Czerwonej, które wycięły najlepszych dowódców. Sowieci nie docenili też jednej kluczowej kwestii – fiński żołnierz był dużo bardziej zmotywowany i przywykły do trudnych warunków. Finowie od małego byli uczeni jazdy na nartach, polowania, obchodzenia się z bronią, radzenia sobie w lasach.

Zwykle w historii mróz i śnieg były sojusznikami Rosjan. Dlaczego tym razem było inaczej?

Nawet jak na Finlandię pogoda była fatalna. Minus 40 st. C utrzymywało się przez kilka tygodni. Opady śniegu również były ponadstandardowe. Tymczasem bardzo wielu żołnierzy sowieckich wysłanych na granicę z Finlandią pochodziło z regionów ZSRS, gdzie nikt nigdy nie widział takich warunków pogodowych. Kłopoty z logistyką i aprowizacją szczególnie były widoczne w złych warunkach pogodowych. Bardzo rzadka sieć dróg również była dla nas bardzo korzystna. Biedna armia Finlandii nie miała w gruncie rzeczy do dyspozycji niczego poza ludźmi, których łatwo można było przerzucać z miejsca na miejsce, wykorzystując narty. W takich warunkach broń pancerna traciła swoją przewagę.

„Ataki wroga w grudniu można porównać do źle dyrygowanej orkiestry, gdzie instrumenty nie zgrywały się" – napisał w swoich wspomnieniach Mannerheim. Powiedzieć, że grudzień 1939 r. był dla Armii Czerwonej fatalny, to jakby nie powiedzieć nic.

To prawda. Na Przesmyku Karelskim, gdzie szczególnie potrzebna była dobra koordynacja wobec dobrze okopanych fińskich obrońców, było pod tym względem naprawdę fatalnie. Fińscy żołnierze wspominali, że Sowieci prowadzili ostrzał długimi godzinami, podczas gdy oni siedzieli w schronach. Potem następowała długa przerwa i dopiero wtedy uderzała piechota. Te ataki wyglądały jak z czasów wojen napoleońskich, gdy nie wynaleziono jeszcze ciężkich karabinów maszynowych. Sowieccy żołnierze byli wystrzeliwani w tych atakach jak kaczki.

Część fińskich żołnierzy obsługujących karabiny maszynowe zaczęła się szybko skarżyć na problemy psychiczne.

Widziałem takie relacje z pierwszych tygodni wojny. Coś takiego przerosłoby chyba każdego normalnego człowieka. Ci żołnierze czuli się jak w rzeźni, ścinając kolejne fale Sowietów.

Chociaż trudno w to uwierzyć, Armia Czerwona nie dostarczyła swoim żołnierzom białych peleryn.

Bez zimowego kamuflażu sowieccy żołnierze byli jak tarcze na strzelnicy, szczególnie dla naszych świetnie wyszkolonych snajperów. Jeżeli nawet oddziały sowieckie dostawały narty, to nigdzie nie można było znaleźć kijków... Jeżeli jednak chodzi o sprzęt bojowy, to Sowieci byli o niebo lepiej wyposażeni. Mieli tu olbrzymią przewagę. Każda sowiecka dywizja miała do dyspozycji czołgi, artylerię, moździerze. Gdyby dobrze to wszystko zgrali, Finowie nie mieliby szans. A tak malutka Finlandia radziła sobie w pierwszej fazie konfliktu zaskakująco dobrze. Sowieci spychali wprawdzie Finów na wszystkich frontach, ale nie robili dużych postępów, a dodatkowo Finowie tracili bardzo mało zasobów.

6 grudnia 1939 r. 28 tys. Finów powstrzymywało w Przesmyku Karelskim 200 tys. Sowietów. Fińska armia straciła do tego czasu w sumie 133 zabitych, 80 zaginionych i 200 rannych. To był ułamek strat Sowietów. Jednak różnica potencjałów robiła swoje. Powoli stawało się niebezpiecznie. Proszę pamiętać, że pomoc z zagranicy była ograniczona. Byliśmy zdani niemal wyłącznie na własne siły. Carl Gustaf Mannerheim uczulał swoich podwładnych, że sama defensywa nie wystarczy. Potrzebnych było kilka widocznych zwycięstw, by można było w ten sposób „zachęcić" Sowietów do podjęcia negocjacji.

Podstawą fińskiej obrony była słynna Linia Mannerheima. Finowie, widząc, że zbliża się wojna, przygotowywali się do niej na poważnie już od lata. Jak wyglądał ten system obronny?

Przesmyk Karelski ma w najwęższym miejscu 50 km szerokości. Wielką pomocą dla Finów była duża rzeka Vuoksi, płynąca we wschodniej części przesmyku, ale w jego zachodniej części mało jest naturalnych barier. W naszej propagandzie Linia Mannerheima była pokazywana jako potęga. Kiedy jednak wyobrażamy sobie ten system obronny, nie powinniśmy mieć przed oczyma Linii Maginota. W rzeczywistości w znacznej mierze były to rowy mające spowolnić czołgi, porozrzucane głazy i pułapki na broń pancerną. Poza tym drut kolczasty, miny i trochę betonowych bunkrów. To wszystko nie powinno być dla Armii Czerwonej taką przeszkodą, jaką było w rzeczywistości. Decydujące były błędy

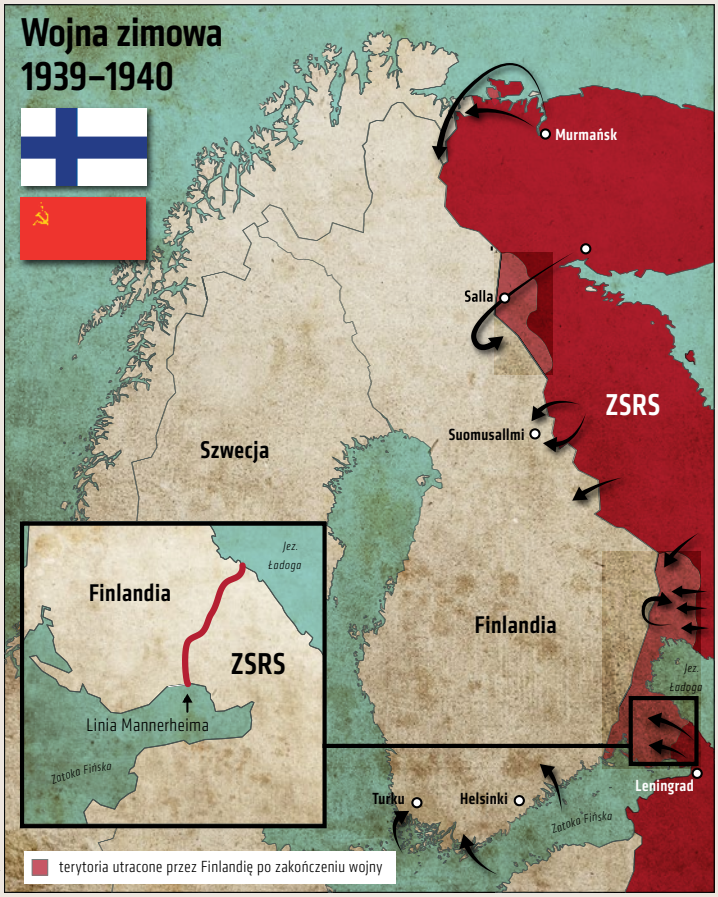

RYS. JACEK GRAMBURG

eprasa.pl 31e9a37c40

Zniszczona kolumna Armii Czerwonej FOT. WIKIPEDIA COMMONS

Sowietów i fantastyczne morale fińskich żołnierzy, którzy nawet w obliczu przewagi wroga wynoszącej 10:1 potrafili utrzymać pozycje. Wiedzieli bowiem, że na szali jest wszystko. Jeżeli raz stracą niepodległość, to Sowieci już ich nie wypuszczą ze swoich kleszczy.

Czy jakakolwiek z fińskich formacji politycznych brała na poważnie scenariusz ugięcia się przed żądaniami Moskwy?

Tylko nieliczni byli na to gotowi. Krwawą wojnę domową, do której doszło u nas w 1918 r. między białymi a czerwonymi, wygrali na szczęście biali. W ZSRS żyła część czerwonych działaczy, którzy uciekli z Finlandii 20 lat wcześniej. Opowiadali oni w Moskwie, że w Finlandii jest mnóstwo zwolenników sowieckich porządków, ale w rzeczywistości komuniści nie mieli dużego poparcia wśród Finów. Niewielka frakcja polityków wierzyła, że ZSRS zadowoli się tymi terenami i da nam spokój. Nasza elita w zdecydowanej większości rozumiała, że nie można ulec Stalinowi. Finowie zdawali sobie sprawę z tego, że Sowietom nie podobało się, iż granica przebiega dosłownie kilka kilometrów za rogatkami Leningradu. Brano pod uwagę scenariusz niewielkiego przesunięcia granicy, ale Sowieci chcieli zbyt wiele. Atak na Finlandię bardzo szybko scementował nasz naród. Byliśmy jak jedna pięść.

Na jaką pomoc z zagranicy mogli liczyć Finowie?

Fińskimi sojusznikami były Francja i Wielka Brytania oraz Szwecja. Niemcy były wówczas w sojuszu z ZSRS, więc nie można było na nich liczyć. Dostawy sprzętu wojskowego z zagranicy były mocno ograniczone. Francja i Wielka Brytania planowały wysłanie do Finlandii swoich kontyngentów, ale wojna się skończyła, zanim cokolwiek konkretnego z tego wyszło. Do Finlandii dotarły tysiące ochotników, szczególnie trzeba tu wymienić szwedzkich i norweskich żołnierzy, którzy byli bardzo waleczni. Jednak większość ochotników, szczególnie tych z USA, dotarła zbyt późno, by zasilić szeregi fińskiej armii. Potrzeba było dużo czasu, by przygotować tych ludzi do ciężkich warunków panujących na froncie.

Można odnieść wrażenie, że cały naród fiński poszedł bić się z Armią Czerwoną...

To prawda, prawie cały naród był na wojnie. W każdej, nawet najmniejszej miejscowości była jednostka gwardii narodowej, dbająca o wyszkolenie mieszkańców. W tamtych czasach w niemal każdym domu była broń. Nieustannie organizowano ćwiczenia strzeleckie, w szkołach uczono strzelania. Mieliśmy mnóstwo myśliwych, ludzi niezwykle twardych, radzących sobie nawet w najtrudniejszych warunkach.

Lotta Svärd była wielką kobiecą organizacją paramilitarną, która wspierała wysiłek wojenny. Kobiety nie walczyły z bronią w ręku, ale wykonywały mnóstwo zadań pomocniczych tuż przy froncie. Dzięki nim o wiele więcej mężczyzn mogło pójść na front. Rola Finek jest nie do przecenienia.

Skoro poruszył pan temat zaplecza, to koniecznie musimy tu wspomnieć o tzw. wojnie kiełbasianej.

Doszło do niej nocą 10 grudnia. Sowietom udało się przełamać fińską linię obronną na północ od jeziora Ładoga. Ofensywa miała wszelkie szanse na powodzenie do momentu, gdy krasnoarmiejcy wpadli na... fińskie kuchnie polowe pełne jedzenia, m.in. kiełbas. Momentalnie cały impet uderzenia się załamał. Wygłodniali sowieccy żołnierze rzucili się na jedzenie. To pokazuje, jak straszne warunki panowały w Armii Czerwonej. Dzięki kuchniom polowym pełnym kiełbas Finowie mieli czas na reorganizację własnych szeregów. Przeprowadzili następnie kontrofensywę, która zmiotła żołnierzy pożerających kiełbasy.

Na wspomnianym froncie północnym bardzo skuteczna okazała się taktyka „motti". Co oznacza to słowo?

Generalnie słowo to oznacza dzielenie ściętych pni na mniejsze kawałki, które łatwiej przewozić. Sowieckie formacje w otwartym polu byłyby zbyt duże dla fińskich jednostek. Gdy jednak przemieszczały się po leśnych drogach, Finowie mieli szansę na „pocięcie" ich na mniejsze kawałki, które łatwiej było zniszczyć. Sytuacja odciętych sowieckich oddziałów była straszna.

Najwięcej na ten temat mogliby chyba opowiedzieć weterani 44. Dywizji Strzeleckiej Armii Czerwonej...

Sowieci chcieli przeciąć Finlandię na pół. Aby tego dokonać, musieli zająć miejscowość Suomussalmi. To miało sens, ponieważ Suomussalmi było ważnym węzłem komunikacyjnym. Finowie byli zajęci walką ze 163. Dywizją, która dotarła do tej miejscowości. Początkowo nie zdawali sobie sprawy, że wprost na nich zmierza 44. Dywizja. To był koniec grudnia 1939 r. Finowie chcieli odbić Suomussalmi i atakowali Sowietów z każdej strony. Udało się ich wyrzucić z miasteczka. Wtedy jednak z odsieczą zjawiła się 44. Dywizja. Finowie zatrzymali na wąskiej leśnej drodze pierwsze czołgi. Reszta nie mogła się przedrzeć. Nieliczni obrońcy cały czas nie zdawali sobie sprawy z tego, jaki kolos ich atakuje – 17 tys. ludzi! Przez następne dwa tygodnie Finowie atakowali 44. Dywizję, dzieląc ją właśnie na „motti".

To właśnie ten rozdział wojny przyniósł mnóstwo historii o Finach pojawiających się znikąd, podrzynających gardła żołnierzom Armii Czerwonej, rzucających granaty, koktajle Mołotowa, a następnie rozpływających się w powietrzu. Żołnierze 44. Dywizji byli okrążeni i przeżywali na tej drodze piekło. To byli mieszkańcy południowo-wschodniej Ukrainy, którzy nie byli przyzwyczajeni do tak trudnych warunków. 44. Dywizja została zniszczona, a niemal całe jej wyposażenie trafiło w ręce Finów. Według dowództwa Armii Czerwonej jednostka ta straciła 4,5 tys. ludzi. Finowie zyskali m.in. ponad 4 tys. karabinów, 70 dział i 43 czołgi.

Czterdzieści trzy czołgi? Brzmi nieźle.

Zważywszy na to, że fińska armia tak naprawdę nie miała broni pancernej, to jest to niewątpliwy sukces (śmiech). Ta bitwa stała się symbolem wojny zimowej.

eprasa.pl 31e9a37c40

Obie wrogie jednostki zostały kompletnie rozbite, Sowieci zrozumieli, że taktyka „motti" jest śmiertelnie niebezpieczna, a Finowie mogli przerzucić z północy część sił do wsparcia armii walczącej na Przesmyku Karelskim.

Grudzień był dla Sowietów katastrofą. Styczeń był relatywnie spokojny i Finowie mogli trochę odpocząć. Luty to już jednak zupełnie inna historia...

Sowieci bardzo wzmocnili swoje siły i poprawili koordynację. Na północy wciąż ponosili klęski, ale na południu zaczęło im iść lepiej. Poza Przesmykiem Karelskim mordercze boje toczone były też w tzw. sektorze Kollaa znajdującym się na północ od jeziora Ładoga. Ten odcinek musiał być utrzymany, by Sowieci nie zaszli od tyłu fińskich wojsk utrzymujących Przesmyk Karelski. W sektorze Kollaa dochodziło do bardzo zaciętych walk, w których brał udział słynny snajper Simo Häyhä, nazywany też „Białą Śmiercią".

Zmasowany atak na Przesmyk Karelski sprawił, że Finlandia musiała się bardzo szybko porozumieć z ZSRS. Na samym początku wojny Sowieci w ogóle nie byli zainteresowani negocjacjami, ale wraz z kolejnymi zwycięstwami Finów coraz bardziej zaczęli brać takie rozwiązanie pod uwagę. Końcówka wojny zimowej była dla fińskiej armii dramatycznym wyścigiem z czasem. Mannerheim uczulał swoich współpracowników, że Finowie muszą utrzymać pozycje za wszelką cenę, bo załamanie frontu będzie oznaczało również załamanie negocjacji z Sowietami.

Stalin nie chciał przeciągać wojny – chciał jak najszybciej odtrąbić zwycięstwo.

Wojna stawała się dla Sowietów zbyt kosztowna, również pod względem wizerunkowym. Cały świat nie mógł uwierzyć, że malutka Finlandia tak dobrze radzi sobie z tym kolosem. Finlandia pod koniec była już jednak totalnie wycieńczona. Koniec był bliski. Na północy szło dobrze, ale na południu było tragicznie. Finowie musieli przystać na twarde

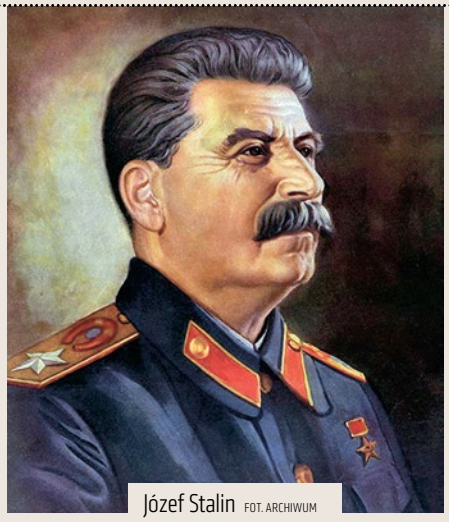

Józef Stalin FOT. ARCHIWUM

warunki. Premier Finlandii powiedział, że nawet przecinek na liście sowieckich żądań nie podlegał negocjacjom.

To były bardzo trudne warunki, naród był rozbity. Straciliśmy Karelię. W sumie Sowieci przejęli „jedynie" 10 proc. powierzchni Finlandii, ale była to bardzo ważna, najbogatsza część kraju. Na południu musieliśmy im wydzierżawić półwysep Hanko, przekazać grupę wysp, na północy straciliśmy też region Salla i część Półwyspu Rybackiego. 12 proc. populacji kraju musiało z dnia na dzień opuścić swoje domy, zabierając ze sobą jedynie to, co można było unieść w rękach. ZSRS zajął nasze drugie największe miasto – Wyborg. Zapłaciliśmy wielką cenę, ale przynajmniej udało nam się ocalić niepodległość. Nie podzieliliśmy losu Litwy, Łotwy i Estonii.

Gdy Chruszczow doszedł do władzy, powiedział, że ZSRS stracił w wojnie zimowej milion żołnierzy. Przesadził, starając się pokazać Stalina w jak najgorszym świetle?

Jeżeli policzymy wszystkie sowieckie ofiary tej wojny, to szacunki Chruszczowa nie są aż tak przestrzelone – liczba ta sięga setek tysięcy. Niezliczone sowieckie ofiary wojny zimowej zginęły w drodze na front, ale przede wszystkim ginęły, wracając z frontu. Setki kilometrów na piechotę, w bardzo ciężkich warunkach, często bez jedzenia... Na froncie zginęło ok. 200 tys. sowieckich żołnierzy. Finlandia straciła 24 918 zabitych, wliczając w to cywili, m.in. ofiary bombardowań Helsinek oraz działalności sowieckich „partyzantów", którzy atakowali przygraniczne wioski i wyrzynali ich mieszkańców. Wydano u nas książkę z listą wszystkich poległych w obronie ojczyzny żołnierzy. Przy każdym nazwisku było zdjęcie.

Jak dziś Finowie wspominają tę wojnę?

Chociaż minęło już 80 lat, to wciąż jest to źródło wielkiej dumy dla Finlandii. To przypomnienie, że czasem można osiągnąć niemożliwe. Wiem, że wielu ludzi widzi w Finlandii agresora z powodu naszego późniejszego sojuszu z Niemcami. Dla Finów to jednak jeden konflikt.

Mieliśmy rok przerwy w wojnie z ZSRS i w 1941 r. faktycznie to my zaatakowaliśmy Stalina. Zrobiliśmy to, by odebrać nasze ziemie. Finowie widzieli, co bolszewicy robili w Polsce i państwach bałtyckich. Nasz rząd zdawał sobie sprawę, że ZSRS prędzej czy później znów się na nas rzuci. Staraliśmy się sformować sojusz wojskowy z Norwegią i ze Szwecją. Nic z tego nie wyszło. Wielka Brytania była bardzo daleko. Jedynym partnerem, który mógł realnie pomóc Finlandii, były Niemcy.

Mannerheim był świetnym głównodowodzącym, ale w czasie wojny popełnił jeden poważny błąd – zatrzymał naszą armię po dojściu do naszych granic z 1939 r. Czołowi generałowie przekonywali go, że należy wykorzystać słabość Sowietów i zepchnąć ich dalej, ale Mannerheim obstawał przy swojej strategii. Uważał, że jego podejście – zajęcie tylko tych terenów, które Sowieci nam zabrali – jest moralne. Wojna mogła się potoczyć inaczej, gdyby Finowie weszli głębiej w Związek Sowiecki...

Dla wielu ludzi jedno zdjęcie z Hitlerem to wystarczający powód do wiecznej infamii. Jakie miejsce zajmuje Carl Gustaf Mannerheim dziś w Finlandii?

Mannerheim to wciąż najbardziej szanowany Fin w naszej historii. Jego decyzja, by nie przekraczać naszych granic z 1939 r., sprawia, że na tle innych polityków z tamtych czasów jawi się jak dżentelmen. I dlatego nawet lewica go za bardzo nie atakuje. Finowie pamiętają, że przeprowadził nasz kraj przez najmroczniejszy okres w naszej historii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

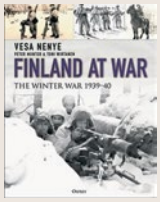

VESA NENYE
„FINLAND AT WAR. THE WINTER WAR 1939 – 40"
OSPREY

Vesa Nenye
jest fińskim badaczem zajmującym się konfliktem fińsko-sowieckim w czasie drugiej wojny światowej.

eprasa.pl 31e9a37c40

Broń wojny zimowej

Michał Mackiewicz
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Potencjał militarny przeciwników był nieporównywalny, ale sprzęt bojowy armii fińskiej i sowieckiej odpowiadał ówczesnemu europejskiemu standardowi

Finowie i Sowieci używali karabinów powtarzalnych systemu Mosina kal. 7,62 mm, chociaż różniących się pewnymi istotnymi rozwiązaniami konstrukcyjnymi. Fińskie, zmodernizowane i produkowane w okresie dwudziestolecia międzywojennego (kilka wzorów), uchodzą zresztą za najlepsze wśród licznej rodziny, której protoplastą był carski wzór 1891.

Finowie, w przeciwieństwie do Rosjan, dość szybko dostrzegli potencjał tkwiący w pistoletach maszynowych. W wojnie zimowej z doskonałym skutkiem użyli słynnych suomi, czyli peemów wzór 1931 kal. 9 mm wyposażonych m.in. w 70-nabojowy bęben. To właśnie ta krwawa lekcja otworzyła stalinowskim wojskowym oczy, dzięki czemu w okresie wielkiej wojny ojczyźnianej czerwonoarmiści dysponowali już ogromną liczbą własnych peemów. Były zresztą i inne zapożyczenia.

Otóż Finowie zaopatrzyli część swoich cekaemów systemu Maxima (wzór 32–33 na zdjęciu) w wielce praktyczne szerokie wlewniki chłodnicy, dzięki czemu mogli łatwo uzupełniać zapas wody, ale także napełniać ją śniegiem i lodem. To rozwiązanie skopiowali potem Rosjanie w swoich maximach wzór 1910. W przypadku sprzętu artyleryjskiego przewaga Rosjan była bezdyskusyjna i to zarówno jeśli chodzi o ilość, jak i jakość – dotyczy to zwłaszcza cięższych kalibrów. Tylko na Przesmyku Karelskim Armia Czerwona skupiła m.in. blisko 100 haubic kal. 203 mm i niemal 30 moździerzy wielkiej mocy kal. 280 mm (ciężar pocisku 286 kg).

Część fińskiego sprzętu pochodziła jeszcze z czasów pierwszej wojny światowej, były to m.in. eksrosyjskie armaty polowe wzór 1902 kal. 76 mm, niezupełnie już odpowiadające warunkom pola walki. Z nowoczesnego sprzętu warto wspomnieć o dobrze u nas znanych szwedzkich armatach Boforsa: przeciwpancernej kal. 37 mm i przeciwlotniczej kal. 40 mm. Finowie dysponowali nielicznymi egzemplarzami tej doskonałej broni, ale wykorzystali je nad wyraz efektywnie. Sowiecka broń przeciwpancerna, wobec minimalnej liczby fińskich czołgów, nie znalazła szerszego zastosowania w swej zasadniczej roli.

Pancerniacy Mannerheima dysponowali nielicznymi archaicznymi wolnobieżnymi Renault FT, dodatkowo w trakcie wojny skierowali na front kompanię angielskich vickersów uzbrojonych w szwedzkie „trzydziestkisiódemki". Sowiecki sprzęt pancerny był natomiast imponujący pod względem ilości (w szczytowym okresie wojny naprzeciwko Linii Mannerheima stanęło 3 tys. czołgów!) i różnorodności, począwszy od lekkich pływających tankietek T-37, a na wielowieżowych ciężkich T-28 skończywszy. W ciągu trzymiesięcznych zmagań utracono w walkach ponad 2 tys. tanków – duża część padła łupem koktajli Mołotowa.

Nie mniejsza dysproporcja dotyczyła potencjałów lotniczych. Sowieci rzucili przeciwko Finlandii m.in. bombowce: dalekiego zasięgu (Ił DB-3) i szybkie (Tupolew SB-2), a nawet monstrualne czterosilnikowe tupolewy TB-3; te ostatnie mogły zabrać 2 tony bomb, a uzbrojenie defensywne składało się z 10 szybkostrzelnych kaemów. W sumie napastnicy skoncentrowali blisko 700 maszyn, a liczba ta zwiększyła się blisko trzykrotnie podczas wojny. Z początku Finowie mieli zaledwie ponad setkę sprawnych samolotów bojowych, a wśród nich holenderskie myśliwskie Fokker D.XXI, które w toku konfliktu odniosły wiele sukcesów. Z czasem siły powietrzne zostały wzmocnione dostawami z zagranicy, w tym ok. 30 brytyjskimi dwupłatowymi myśliwcami Gloster Gladiator. ©℗

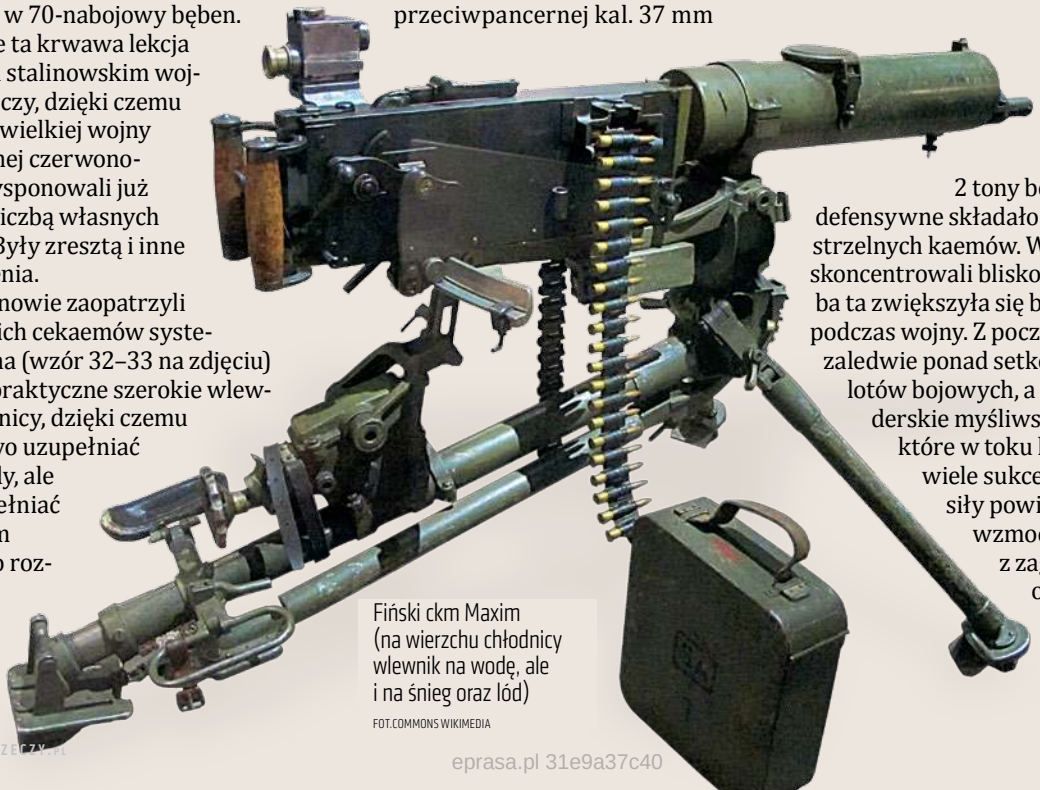

Fiński ckm Maxim (na wierzchu chłodnicy wlewnik na wodę, ale i na śnieg oraz lód)

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl 31e9a37c40

Zdobyczny arsenał

Wojna zimowa została przez Finów ostatecznie przegrana, ale przyniosła im ogromną zdobycz. Pułkownik Hjalmar Siilasvuo pisał: „Zdobyliśmy [w bitwie pod Suomussalmi – przyp. M.M.] nieprawdopodobnie dużo materiałów wojskowych, o których nasze jednostki nie mogły nawet śnić. Zdobyty sprzęt był całkowicie sprawny, armaty były nowe, jeszcze błyszczały […]. Zdobyliśmy: 40 armat polowych i 29 przeciwpancernych, 27 czołgów, 6 samochodów pancernych, 20 ciągników, 160 samochodów ciężarowych […]. Szczególnie cenne okazały się pojazdy pancerne, a zwłaszcza czołgi. Szacuje się, że było ich ponad 160. Większość wykorzystano do stworzenia brygady pancernej, która wzięła udział w kolejnej wojnie z Sowietami, tzw. kontynuacyjnej (1941–1944).

Podobnie było z artylerią; Finowie wzbogacili się m.in. o wiele stosunkowo nowoczesnych armat kal. 76 mm oraz haubic kal. 122 mm. Wśród trofeów była oczywiście ogromna liczba broni strzeleckiej, w tym 3,4 tys. erkaemów DP. Zdobywcy cenili je znacznie bardziej od swoich Lahti-Soloranta. Z uwagi na podobieństwo talerzowego magazynka do patefonu karabin został ochrzczony imieniem Emma, pochodzącym od tytułu popularnego w Finlandii walca. Na koniec warto wspomnieć o licznym parku transportowym, w tym blisko 460 ciężarówkach i kilkudziesięciu ciągnikach gąsienicowych (na zdjęciu zdobyczny komsomolec). ©℗

Zdobyty na Sowietach ciągnik gąsienicowy zwany komsomolcem
FOT. WIKIPEDIA

Na sznurku

W 1939 r. uzbrojenie, wyposażenie i umundurowanie żołnierza Armii Czerwonej stało na europejskim poziomie, a jakość sprzętu, sądząc po nielicznych zachowanych egzemplarzach wyprodukowanych w latach 30., była zupełnie dobra. Wielu czerwonoarmistów pozbawionych było jednak regulaminowych części ekwipunku i umundurowania. Brakowało butów, pasów głównych, kociołków, manierek czy masek przeciwgazowych.

Podstawowe uzbrojenie żołnierza piechoty stanowił karabin systemu Mosina wz. 1891/30. Stosowano do niego tulejowy kłujący bagnet, który przenoszono stale na karabinie w pozycji bojowej. Oczywiście każdy karabin powinien mieć pas nośny, jednak wskutek braków wiele było ich pozbawionych. Żołnierze adaptowali zwykłe paski skórzane lub zwykłe sznurki. Na pasie głównym czerwonoarmista przenosił dwie podwójne skórzane ładownice.

Głowę chronił hełm wzór 1936, który w marszu troczono do pasa lub tornistra. Był pierwszym zaprojektowanym w ZSRS i masowo stosowanym hełmem. Miał półsferyczny kształt i otwór wentylacyjny umieszczony w szczycie dzwonu, chroniony niewielkim grzebieniem. Silnie profilowane dolne krawędzie miały zabezpieczać kawalerzystów przed cięciami szabli; taki kształt był podobno wynikiem nalegań samego marszałka Budionnego. ©℗

Pancerna pięść Stalina

Imponujący, okupiony krwią milionów ludzi rozwój przemysłowy ZSRS umożliwił Stalinowi rozbudowę wojsk zmechanizowanych w skali niespotykanej nigdzie na świecie. W 1928 r. na stanie Armii Czerwonej znajdowało się mniej niż 100 czołgów, jednak w połowie lat 30. było ich już ponad 10 tys., a w 1939 r. prawie 30 tys. (włącznie z kilkoma tysiącami samochodów pancernych). Był to oczywiście sprzęt różnej jakości i o różnej przydatności na nowoczesnym polu walki.

Do wybuchu drugiej wojny i w pierwszych jej latach podstawowym sowieckim czołgiem był lekki T-26 z armatą kal. 45 mm, będący wersją angielskiego Vickersa E. W toku produkcji powstało kilka wersji oraz liczne pojazdy specjalne. T-26 przeznaczony był do wsparcia piechoty, pancerne zagony zaś wykonywać miały jednostki wyposażone w czołgi szybkie BT (bystrochodnyj tank). Wyposażono je w kołowo-gąsienicowe podwozie pomysłu amerykańskiego inż. J.W. Christiego. BT mogły poruszać się zarówno na gąsienicach, jak i na kołach; w tym ostatnim przypadku zdolne były osiągnąć na utwardzonej drodze prędkość ponad 70 km/h.

Czołgami przeznaczonymi do przełamywania umocnionych pozycji wroga były średni T-28 i ciężki T-35. Ten pierwszy miał armatę kal. 76 mm i pięć kaemów rozmieszczonych w trzech wieżach (masa sięgała 30 ton); drugi, z armatą kal. 76 mm i dwiema kal. 45 mm oraz pięcioma–sześcioma kaemami, posiadał aż pięć wież i masę 40 t. Wszystkie sowieckie czołgi napędzane były silnikami gaźnikowymi. Na zdjęciu: czołg pływający T-37. ©℗

Sowiecki czołg pływający T-37 FOT. ARCHIWUM

eprasa.pl 31e9a37c40

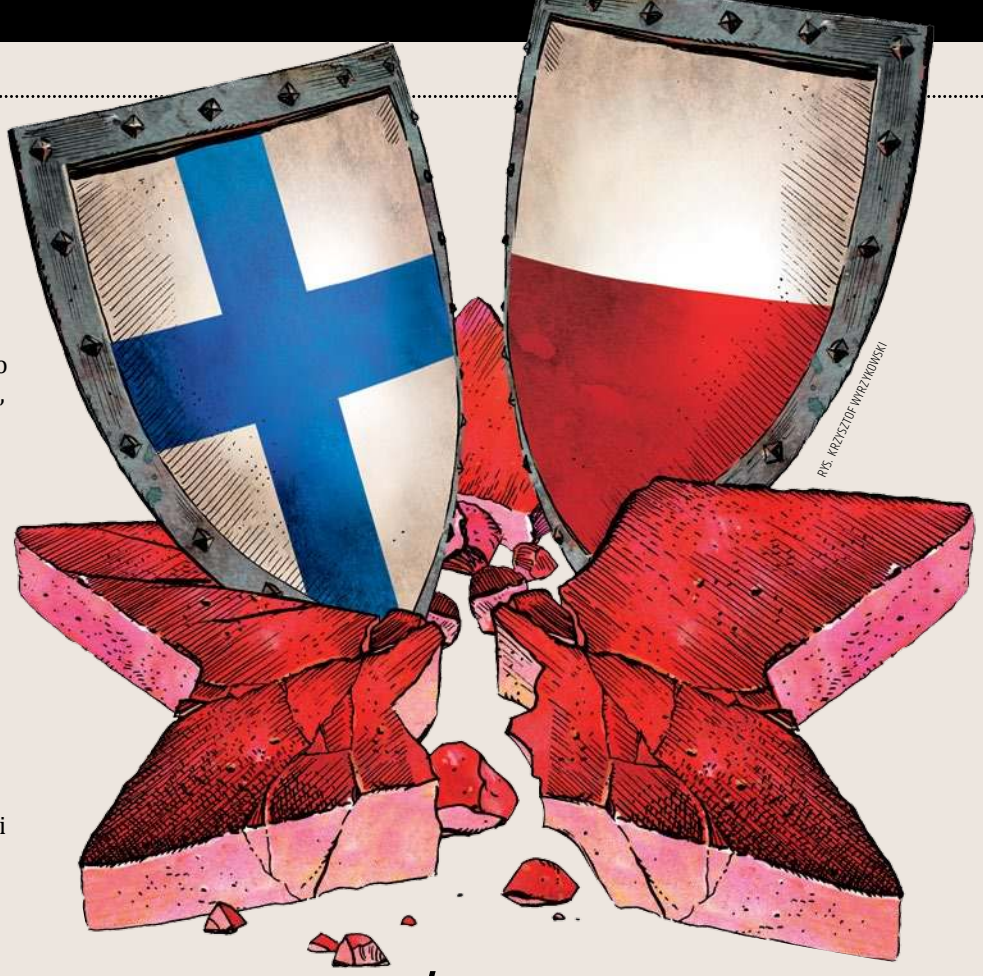

Wojna światowa / Nasi na Linii Mannerheima

Polacy na odsiecz Finlandii

Piotr Zychowicz

Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie szykowały się do przyjścia na ratunek zaatakowanej przez bolszewików Finlandii. Niestety – wojna skończyła się zbyt szybko

To sprawa mało znana, acz fascynująca. W 1940 r. Wielka Brytania i Francja poważnie rozważały… atak na imperium Stalina. Oba mocarstwa doszły bowiem do wniosku, że nie uda się pokonać Niemiec, jeżeli nie odetnie się ich od dostaw ropy ze Związku Sowieckiego. A ponieważ Moskwa była wówczas najbliższym sojusznikiem Berlina, logiczne wydawało się zaatakowanie bolszewików.

Brytyjczycy i Francuzi rozważali uderzenie na dwóch kierunkach – na pola naftowe i rafinerie Kaukazu oraz w Finlandii. Na ratunek skandynawskiego państwa zaatakowanego przez czerwonego kolosa miał zostać wysłany potężny, liczący 100 tys. żołnierzy korpus ekspedycyjny.

– Olbrzymią rolę w tej operacji mieli odegrać Polacy – mówił w udzielonym mi przed laty wywiadzie historyk prof. Tadeusz Panecki. – Zgodnie z planem gen. Władysław Sikorski miał przeznaczyć do wspierania Finów brygadę piechoty oraz dywizjon myśliwski. Do akcji miały również przystąpić polskie okręty, które udało się ewakuować we wrześniu 1939 r., a więc „Burza", „Błyskawica" i „Grom" oraz okręty podwodne „Orzeł" i „Wilk".

Oddział lotniczy, o którym mowa, to pierwszy polski dywizjon myśliwski (145. w nomenklaturze francuskiej) formowany na lotnisku Bron pod Lyonem. Chociaż z planu ataku ostatecznie nic nie wyszło, to jednostka ta jeszcze długo nieformalnie nazywana była „Dywizjonem Fińskim", a brygada piechoty, która miała bić się z Armią Czerwoną w Finlandii, to oczywiście Samodzielna Brygada Strzelców Podhalańskich gen. Zygmunta Szyszko-Bohusza.

– Nie przez przypadek, formując jednostkę, nadano jej właśnie taką nazwę. To miało być wojsko przystosowane do walki w trudnych, zimowych warunkach, przy ekstremalnie niskich temperaturach Finlandii. W taki sposób również je szkolono, na wzór francuskich strzelców alpejskich – mówił prof. Panecki.

Polacy rwali się do udzielenia pomocy Finom. Władysław Sikorski potępiał „nowy gwałt" i „nową agresję". „Rosja zdradziła, idąc zbrojnie na pomoc Niemcom i uderzając nas w umówionym z nimi momencie nożem w plecy. Odtąd jesteśmy w stanie wojny z Sowietami,

eprasa.pl 31e9a37c40

na równi z Niemcami" – mówił Sikorski, podkreślając, że sojusz sowiecko-niemiecki jest „głównym źródłem niebezpieczeństwa grożącego ludzkości".

19 lutego 1940 r. polski premier i wódz naczelny pisał do głównodowodzącego wojsk francuskich gen. Maurice'a Gamelina, że „entuzjazm żołnierzy przewidzianych do ekspedycji do Finlandii jest pełny". Polacy mieli bić się właśnie pod dowództwem Francuzów, którzy zobowiązali się, że na potrzeby operacji dostarczą najwięcej wojska, m.in. jednostki Legii Cudzoziemskiej. Brytyjczycy mieli zaś zapewnić siłom sprzymierzonych przede wszystkim okręty i wsparcie powietrzne.

Co ciekawe, Polaków o pomoc prosili zresztą sami Finowie. Marszałek Carl Gustaf Mannerheim kontaktował się z attaché wojskowym RP w Helsinkach ppłk. Władysławem Łosiem i próbował przekonać go do pomysłu przerzucenia do Finlandii całej armii polskiej formowanej we Francji!

Kolejne polskie jednostki miały zostać sformowane z żołnierzy Września internowanych na terenie państw bałtyckich. Helsinki powoływały się na wspólnotę losów narodów polskiego i fińskiego, które zostały najechane przez Stalina.

Już w połowie grudnia 1939 r. sprzymierzeni rozpoczęli dostarczanie Helsinkom broni, sprzętu i zapasów. Jednocześnie Najwyższa Rada Aliancka przystąpiła do opracowania planu wojskowej odsieczy. Zgodnie z założeniem polsko-francusko-brytyjski Aliancki Korpus Ekspedycyjny miał dysponować olbrzymią ilością nowoczesnego sprzętu. Jego celem było uderzenie na Armię Czerwoną i przełamanie frontu.

– Przystąpienie do wojny zimowej tak potężnej siły jak Aliancki Korpus Ekspedycyjny rzeczywiście mogło mieć poważny wpływ na przebieg tej kampanii – mówił Tadeusz Panecki. – Armia Czerwona prowadziła ją bowiem nieudolnie i słabo radziła sobie nawet z nielicznym, nie najlepiej uzbrojonym wojskiem fińskim. Wszystkie te plany stały się jednak nieaktualne 13 marca 1940 r., gdy Finlandia skapitulowała. Po tym dniu nie było już komu pomagać – dodaje.

O motywacji Wielkiej Brytanii i Francji mówił w wywiadzie udzielonym mi w 2012 r. dr Michał Leśniewski z Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego.

Wręczenie sztandaru Samodzielnej Brygadzie Strzelców Podhalańskich FOT. NAC

Walki o Narvik, kwiecień 1940 r. FOT. WIKIPEDIA/ARKIV I NORDLAND

– Oba mocarstwa podjęły decyzję o zaatakowaniu Związku Sowieckiego – tłumaczył. – Uderzając na Stalina, Paryż i Londyn chciały rzucić na kolana Hitlera. Uznały bowiem, że Związek Sowiecki stał się zapleczem surowcowym Niemiec. Jeżeli zostanie rozbity, to III Rzesza zostanie pozbawiona dostaw ze Wschodu i również będzie musiała skapitulować.

Operacja „Pika"

14 grudnia 1939 r. pod naciskiem Wielkiej Brytanii i Francji Związek Sowiecki został z hukiem wyrzucony z Ligi Narodów. Paryż i Londyn zaczęły zaś szykować się do konfrontacji z nowym przeciwnikiem.

Kluczowe było uderzenie na południu, gdzie lotnictwo państw sprzymierzonych miało przeprowadzić olbrzymią operację powietrzną wymierzoną w szyby naftowe nad Morzem Kaspijskiem, które dostarczały wówczas 80 proc. ropy dla Związku Sowieckiego.

Bomby miały spaść również na Baku i Batumi. Miały zniszczyć zarówno szyby naftowe, jak i porty oraz linie kolejowe, którymi Sowieci transportowali ropę na Zachód. Dodatkowo planowano przerzucenie przez cieśninę Bosfor (rozmowy z Turcją na ten temat były daleko posunięte) okrętów na Morze Czarne.

Ich zadaniem byłoby zniszczenie sowieckiej Floty Czarnomorskiej oraz prawdopodobnie wysadzenie desantu, który miałby działać na terenie Zakaukazia. Jak przypuszczał Michał Leśniewski, gdyby wszystko poszło dobrze, zajęto by również Krym, Odessę i południową Ukrainę. Jednocześnie Paryż i Londyn planowały wzniecić antysowiecką rebelię muzułmańskich narodów Kaukazu.

– Francuzi i Brytyjczycy – mówił Leśniewski – nie mieli oczywiście

eprasa.pl 31e9a37c40

ochoty na okupowanie całego Związku Sowieckiego. Celem ataku byłoby raczej skłonienie Stalina do kapitulacji i porzucenia planów wspierania III Rzeszy. Wskazywano na przykład wojny krymskiej z lat 1853–1856, kiedy to wcale nie trzeba było zajmować Moskwy, żeby pokonać Rosję. Paryż i Londyn liczyły również, że zniszczenie Baku wywoła kryzys i zdestabilizuje Sowiety.

Atak od południa miałyby przeprowadzić wojska stacjonujące we francuskim Lewancie, brytyjskim Iraku oraz Turcji i Iranie. Amerykański historyk Patrick R. Osborn, autor książki „Brytyjskie plany ataku na ZSRR 1939–1941", wskazywał, że prawdopodobnie z myślą o tej kampanii Francuzi w 1940 r. sformowali w Syrii polską Samodzielną Brygadę Strzelców Karpackich płk. Stanisława Kopańskiego.

Jednostka ta była tworzona u boku Armii Lewantu gen. Maxime'a Weyganda, tego samego, który wspierał Polaków podczas wojny z bolszewikami w 1920 r. Zgodnie z planami Paryża i Londynu to właśnie Weygand miał przewodzić wojskom sprzymierzonych atakującym Sowiety od południa w 1940 r. Niewykluczone, że pamiętając o kampanii sprzed 20 lat, francuski generał podczas kolejnej wojny z Moskwą chciał mieć Polaków u swego boku.

Na początku 1940 r. przygotowania do kampanii przeciwko Stalinowi szły pełną parą. Brytyjski samolot szpiegowski typu Lockheed 14 Super Electra wykonał precyzyjne zdjęcia lotnicze Baku i okolic. Na poligonie w Woolwich testowano zaś bomby zapalające, które miały wywołać niezwykle trudne do ugaszenia pożary sowieckich szybów naftowych. Na Bliski Wschód transportowano bombowce, a Francuzi budowali w Syrii nowe pasy startowe.

Jak wynika z dokumentów, alianci mieli bardzo niskie mniemanie o Armii Czerwonej. Uważano Sowiety za kolos na glinianych nogach. Siły zbrojne Stalina wydawały się osłabione przez niedawną czystkę przeprowadzoną w ich korpusie oficerskim, a opinię tę potwierdziły sowieckie porażki w wojnie zimowej.

„Armia Czerwona jest bandą fatalnie dowodzonych, przestraszonych wieśniaków" – przekonywał Weygand. Ewentualny sowiecki odwet miał być bardzo słaby i ograniczyć się do natarcia na iracki Kurdystan, Afganistan czy Iran. Alianci nie spodziewali się, żeby bolszewicy byli w stanie wyrządzić im większą krzywdę.

TADEUSZ PANECKI
„SAMODZIELNA BRYGADA STRZELCÓW PODHALAŃSKICH"
BELLONA

PATRICK R.OSBORN
„BRYTYJSKIE PLANY ATAKU NA ZSRR 1939–1941"
AMBER

Wojna na Bliskim Wschodzie

Chociaż plany ataku były utrzymywane w ścisłej tajemnicy, to Stalin dzięki swoim agentom w Paryżu i Londynie doskonale wiedział o tym, co się szykuje. Z raportów wywiadowczych z 1940 r. wynika, że wiosną przerzucił on spore siły na południe.

Rosyjski historyk Mark Sołonin ujawnił w wydanej właśnie w Polsce książce „Nic dobrego na wojnie", że sztab Armii Czerwonej opracowywał własne plany wojny zaczepnej przeciwko sprzymierzonym.

Jak wynika z tajnego dokumentu NKWD z 5 marca 1940 r., „31 stycznia dowódca Syberyjskiego Okręgu Wojskowego Kalinin w okręgowym klubie Armii Czerwonej oznajmił o nieuchronności wojny wiosną 1940 r., w której weźmie udział Związek Sowiecki w bloku z Niemcami, Japonią i Włochami przeciwko blokowi angielsko-francuskiemu".

– Wielka Brytania i Francja w planach operacyjnych Armii Czerwonej z tego okresu uznawane były za najbardziej prawdopodobnych przeciwników. Atak Niemiec uznawano za znacznie mniej prawdopodobny – mówił mi Mark Sołonin. – Teatrem działań, na którym Moskwa chciała rozprawić się z Paryżem i Londynem, był Bliski Wschód. Planowano działania na olbrzymią skalę. Armia Czerwona chciała dotrzeć aż do Indii – dodaje.

Sołonin wylicza, że sowieckie lotnictwo miało zbombardować Aleksandrię w Egipcie, Hajfę w Palestynie, Maltę oraz Kanał Sueski, który miał zostać w efekcie całkowicie zablokowany dla Brytyjczyków. Bolszewicy przygotowali także wykazy obiektów przemysłowych Iraku, Turcji, Afganistanu, Iranu, Syrii, Palestyny i Egiptu.

Przygotowania obu stron wskazują więc na to, że wojna na Bliskim Wschodzie wcale nie musiała się skończyć na krótkiej, lokalnej kampanii. Prawdopodobnie przeistoczyłaby się w długi krwawy konflikt. Kiedy miała wybuchnąć? Francuzi i Brytyjczycy kilka razy przekładali ostateczny termin operacji – której nadano kryptonim „Pika" – ostatecznie jednak ustalono go na wrzesień 1940 r.

Znowu jednak plany te pokrzyżował rozwój wypadków wojennych. 10 maja Niemcy zaatakowały Francję, a niecałe półtora miesiąca później kraj ten skapitulował. Brytyjczycy stracili kluczowego sojusznika i nie pozostało im nic innego, jak tylko odłożyć plan ad acta. Anglia musiała teraz sama walczyć o przetrwanie. Wojna potoczyła się znanym nam dziś trybem. 22 czerwca 1941 r. Związek Sowiecki rzeczywiście został zaatakowany, ale przez swojego dotychczasowego sojusznika – III Rzeszę. Stalin automatycznie znalazł się w obozie aliantów i Winston Churchill, zamiast bombardować bazy Armii Czerwonej, zaczął jej dostarczać sprzęt, broń i amunicję.

Patrick R. Osborn w swojej książce o operacji „Pika" stawia zaskakującą tezę. Według badacza Stalin wiosną 1940 r. zdecydował się na wymordowanie polskich oficerów w Katyniu dlatego, że wiedział o brytyjsko-francusko-polskich planach ataku na Sowiety.

Według badacza Stalin pamiętał o lekcji z czasów wojny domowej i podjętych wówczas zachodnich interwencji. Przebywający na terenie Rosji czescy i słowaccy jeńcy utworzyli wówczas słynny Korpus Czechosłowacki. Związali się z Francuzami, wystąpili zbrojnie przeciwko bolszewikom i przysporzyli im olbrzymich problemów.

Józef Stalin – dowodzi Patrick R. Osborn – postanowił w 1940 r. nie powtórzyć błędu sprzed 20 lat. Kazał eksterminować polskich oficerów, aby w momencie ataku aliantów nie mogli utworzyć na terenie jego państwa piątej kolumny.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31e9a37c40

Wydawnictwo Graf_ika

www.sklep.graf-ika.pl
e-mail: sklep@graf-ika.pl

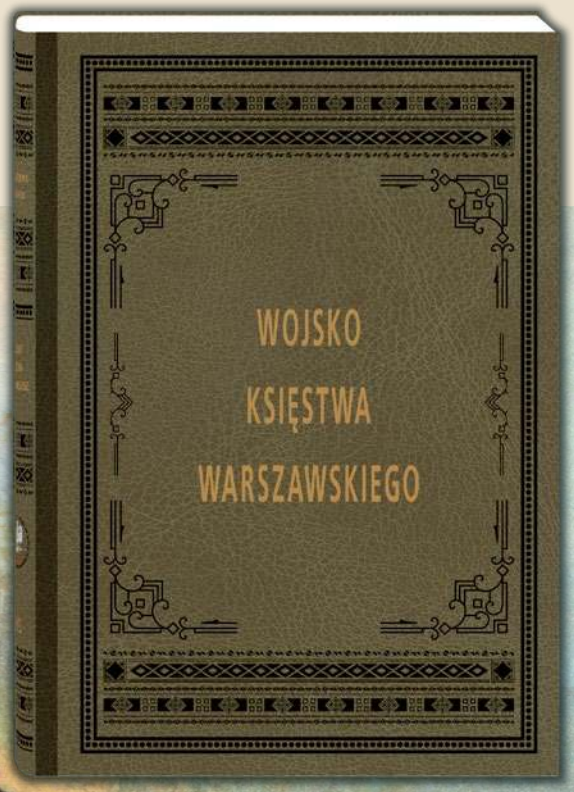

HISTORIA WOJSKA KSIĘSTWA WARSZAWSKIEGO NA TLE WOJEN NAPOLEOŃSKICH

Album A. Malibrana po raz pierwszy przetłumaczony na j. polski z oryginału z 1913 r., z 48 ilustracjami obrazów J.W. Chełmińskiego, prezentującymi umundurowanie i uzbrojenie Armii KW

Zadanie publiczne finansowane przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

eprasa.pl 31e9a37c40

Maciej Rosalak

Simo Häyahä sprawdzał broń i amunicję, szedł na kolejną pozycję jak na polowanie. I zabijał

Fachowcy nazwali Simo Häyahä najskuteczniejszym snajperem w historii, a czerwonoarmiści – „Białą Śmiercią". I jedno, i drugie określenie trafnie charakteryzuje tego fińskiego strzelca wyborowego, posługującego się rodzimą wersją rosyjskiego karabinu Mosin. I to bez celownika optycznego. Otóż Simo Häyahä podczas wojny zimowej Finlandii ze Związkiem Sowieckim uzyskał 542 potwierdzone trafienia w czasie poniżej 100 dni!

Jeśli dodamy do tego ok. 200 śmiertelnych strzałów oddanych przez niego z pistoletu maszynowego Suomi oraz z pistoletu Lahti L-45, to liczba blisko 750 zabitych wrogów jest absolutnym rekordem okresu drugiej wojny światowej. To ponad 1,5 proc. wszystkich 130 tys. żołnierzy Armii Czerwonej poległych podczas sowieckiego najazdu na Finlandię, trwającego od końca listopada 1939 do niemal połowy marca 1940 r. Dodajmy, że Simo Häyahä dokładnie tydzień przed zawarciem rozejmu został wyeliminowany z walki straszliwą raną głowy. Jego bojowych wyników nie powstydziłby się cały batalion, a może nawet pułk. Jeszcze inaczej licząc, ów 35-letni Karel uśmiercał co dnia średnio siedmiu, ośmiu krasnoarmiejców...

Simo Häyahä na stanowisku

FOT. ARCHIWUM

Strzelec wyborowy / Zabił blisko 750 czerwonoarmistów

Biała śmierć czerwonych

Karel Simo

A nie wyglądał na zabijakę. Niewysoki, krępy, z typową twarzą ugrofińskiego chłopa o niewielkich oczkach, przypominał poczciwy typ często spotykany zwłaszcza na terenach dawnego państwa moskiewskiego. Pozory jednak mogą mylić. Co czuł, gdy śmiertelnie trafiał kolejnego nieprzyjaciela? Takie pytanie zadano mu w jednym z wywiadów. Odpowiedział: – Odrzut karabinu. (Na marginesie: przypomina się nasz znakomity kolarz Stanisław Szozda, który na pytanie, co najlepiej zapamiętał ze swej kariery, odpowiedział: – Przednie koło!).

Simo urodził się 17 grudnia 1905 r. w Rautjärvi należącej do regionu Karelia Południowa, blisko granicy z Rosją na południowym wschodzie dzisiejszej Finlandii – wówczas całej pod panowaniem carów moskiewskich. Kiedy dorósł, zajmował się głównie myślistwem, oswajając się z bronią i dość beznamiętnym zabijaniem oraz oprawianiem zwierząt, poznając ogromne fińskie lasy i wody, zmieniające się podczas kolejnych pór roku, a zwłaszcza radząc sobie ze śniegami i z mrozami dochodzącymi do –40 st. C. W połowie lat 20. powołano go do wojska i – jako myśliwego o niebywale celnym oku – skierowano na szkolenie w charakterze strzelca wyborowego.

Jako taki został zmobilizowany jesienią 1939 r. i trafił do swego 34. Regimentu Piechoty, w którego szeregach walczył od 30 listopada 1939 do 6 marca 1940 r., na ogół w swoich rodzinnych okolicach.

Regulamin postępowania strzelca wyborowego, będący wynikiem doświadczeń tych snajperów, którym udało

eprasa.pl 31e9a37c40

się przeżyć, sprowadzał się do jednej podstawowej prawdy. Brzmiała ona: zabijaj i nie daj się zabić! Strzelec wyborowy Wehrmachtu Bruno Sutkus („Snajper. Z frontu wschodniego na Syberię", Vesper, 2012) tak ujmował to, jak każdy snajper powinien postępować:

Instynktownie wie, że musi pamiętać o wielu rzeczach. Wcześniej sprawdza, dobrze przygotowuje i wypróbowuje broń, z której musi trafiać za każdym razem w ten sam punkt. Właściwie ocenia odległość, kierunek i siłę wiatru i odpowiednio ustawia przyrządy celownicze. Rozpoznaje cel mimo zamaskowania. (Rosjanie byli prawdziwymi mistrzami maskowania się, a ich snajperzy także byli zwykle myśliwymi z tajgi, którzy dorastali w jedności z przyrodą.) O broń należycie dba. Lufa musi być w środku czysta, bez najmniejszych nawet zabrudzeń i dobrze naoliwiona, bo od tego często zależy życie snajpera. Na własnej broni trzeba móc zawsze polegać.

Nie wolno zwlekać, kiedy cel pojawi się na muszce, ale natychmiast nacisnąć spust. Cyngiel musi działać bardzo delikatnie, żeby jego uruchomienie nie poruszyło bronią. Trzeba trafić nieprzyjaciela za pierwszym razem, inaczej on trafi ciebie. Snajper nie oddaje strzału na wprost, ale około 40 stopni w bok od swojego stanowiska, aby trudniej było go wykryć. Konieczne są dobra kryjówka i maskowanie miejsca, z którego ma się dobre pole ostrzału stanowisk przeciwnika. Snajper absolutnie nie może zajmować miejsca eksponowanego, na przykład na drzewie, bo nieprzyjaciel łatwo może go wypatrzyć, a kamuflaż trzeba niezwykle precyzyjnie dopasować do otaczającej przyrody.

Bez lunetki

Zgodnie z tym wszystkim działał Simo Häyahä, który przecież nie mógł czytać powojennych wspomnień pochodzącego z Prus Wschodnich Sutkusa i wcale tego nie potrzebował. Działał instynktownie i automatycznie; po prostu nienagannie wykonywał powierzoną mu pracę. Pracował na ogół sam – bez obserwatora i tragarza. Dokładnie tak, jak wcześniej polował. Był skryty i żadnych emocji nie uzewnętrzniał. Kiedy jego jednostka obejmowała kolejne stanowiska, dokładnie oglądał nowy teren działań, oceniał stanowiska ogniowe własnych sił i nieprzyjacielskich, dokonywał wyboru własnej pozycji.

Tapio A.M. Saarelainen („Biały Snajper. Simo Häyahä", Vesper, 2018) pisze o dużej wadze, jaką Simo przywiązywał do tego wyboru. Jego stanowisko musiało umożliwiać jak najgłębszą i najszerszą obserwację wrogiego ugrupowania oraz prowadzenie przezeń skutecznego ognia. Jednocześnie jednak musiało jak najlepiej osłaniać go z obu boków i od tyłu. Gęste lasy borealne oraz polodowcowe wzniesienia tworzyły takie możliwości dzięki obalonym drzewom, wykrotom i licznym głazom narzutowym.

Do wybranego miejsca zbliżał się zwykle przed świtem i starał się jak najlepiej je zamaskować oraz praktycznie urządzić, mając przede wszystkim pod ręką całą broń. W ciszy i bez zbędnych ruchów szykował stanowisko główne i często zapasowe. Karabin strzelca wyborowego od razu umieszczał tak, aby przed strzałem, już za dnia, nie trzeba go było ruszać. Biały pokrowiec niepostrzeżenie ściągał z niego dopiero tuż przed przyjęciem pozycji strzeleckiej. Sam też był odziany na biało – zwłaszcza w długą, obszerną, niekrępującą ruchów kurtę z kapturem. Ciepła bielizna, grube swetry, watowane spodnie, filcowe walonki stanowiły bliższą ciału ochronę przed mrozem. Twarz chroniła i czyniła niezauważalną biała maska.

Wojna była zimową w całym tego słowa znaczeniu: mróz od –20 do –40 st. C trzymał bez przerwy, a zwały śniegu stanowiły dla Simo wspaniały materiał maskujący. Sypał go na swoją pozycję i na siebie, tworzył też z niego przedpierśnik. Jeśli nocą spadł świeży śnieg, to polewał go nieco wodą, aby warstewka lodu uniemożliwiała wznoszenie się śnieżnych dymków po strzale. W niskich temperaturach w wydychanym powietrzu skraplają się ogromne ilości pary wodnej. Aby chmurki oddechu go nie zdradziły, wkładał do ust śnieg zatrzymujący parę wodną.

Strzelał zaś z fińskiego wariantu karabinu wyborowego Mosin M28 bądź M28/30 „Pystykorva". Nie używał celownika optycznego, czyli lunetki, której soczewka pozwalała innym precyzyjnie namierzyć cel, a powiększała – czyli zbliżała obraz – kilkakrotnie. Celował tradycyjnie i ze znakomitym skutkiem tylko dzięki muszce i szczerbince. Uzasadniał to tym, że przy używaniu celownika optycznego musiałby podnosić głowę wyżej, a odbicie światła na soczewkach celownika mogłoby go dodatkowo zdradzić. Głęboko miał wpojoną maksymę: zabijaj, ale nie daj się zabić! Po trafieniu przeciwnika – bardzo często podobnego mu snajpera sowieckiego – natychmiast repetował broń, niemal się nie poruszając, i trzymał gotową do strzału.

Po wykonaniu zaplanowanej pracy – czyli zabiciu kilku wrogów – wycofywał się dyskretnie do tyłu, a następnie szedł do obozu. Raport z wykonanego zadania składał dowódcy jednostki i ustalał z nim swój plan na dzień następny. Potem najpierw zajmował się bronią – rozkładaniem zamków, czyszczeniem ich i lufy, oliwieniem, składaniem. Dopiero wtedy sam się posilał, unikając przejedzenia. A na koniec kładł się spać. Usypiał szybko, koszmary mu się nie śniły, budził się długo przed wschodem słońca. Ubierał się, sprawdzał broń i amunicję, szedł

eprasa.pl 31e9a37c40

na kolejną pozycję jak na polowanie. I zabijał.

Żony nie znalazł

Rzecz jasna, nie zawsze tak gładko się wszystko układało. Rosjanie zorientowali się, że jakiś cały w bieli egzekutor dziesiątkuje ich oddziały. Siał strach. Demoralizował czerwone wojsko. Sowieccy snajperzy nic nie mogli zdziałać i ginęli jeden po drugim. Nie pomogły ostrzał z ciężkiej artylerii ani naloty bombowe. Miał też dużo szczęścia. Odłamek szrapnela zniszczył mu płaszcz, ale jego nie drasnął. Innym razem wybuch go poranił – ale niegroźnie.

I oto 6 marca ruszył groźny atak czerwonoarmistów na fiński obóz. Simo walczył ramię w ramię z kolegami wśród gwiżdżących wokół kul. Jedna z nich trafiła go tak nieszczęśliwie, że zgruchotała mu szczękę, nos, kość policzkową – „urwała pół głowy", jak zauważył jeden z kolegów niosących go do punktu opatrunkowego. Dobrze, że wypatrzyli go, jeszcze żywego, wśród stosu trupów, który urósł po sowieckim natarciu. Podobno podczas boju, zanim stracił przytomność, zdołał zabić tego, który jego samego o mały włos nie pozbawił życia.

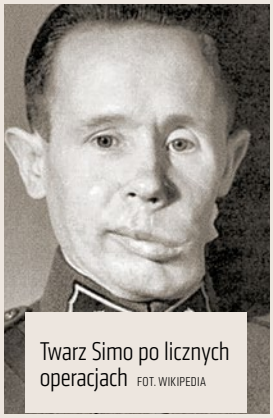

Twarz Simo po licznych operacjach FOT. WIKIPEDIA

Sama lecząca rany, pozbawiona części terytorium, ale zachowująca niepodległość ojczyzna zajęła się, jak mogła, swym bohaterem. Odznaczano go i fetowano, a naczelny wódz marszałek Carl Gustaf Mannerheim awansował go z kaprala na porucznika (!). Był operowany kilkakrotnie przez najlepszych chirurgów w najlepszych szpitalach. Jak mogli, tak złożyli mu kości twarzy, oczy i znakomity wzrok zachował, ręce i nogi działały jak trzeba. Ale jakoś nie zdołał się ożenić… Polował, hodował psy. Proszony o skomentowanie swego rekordu snajperskiego, odpowiadał: – Robiłem to, co mi kazano – najlepiej, jak mogłem. Żył jeszcze długo – do 1 kwietnia 2002 r., gdy umarł w Haminie nad Zatoką Fińską.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Kurpik snajper

Maciej Rosalak

Historia snajpera fińskiego Simo Häyahä przypomina innych doskonałych strzelców z borealnych lasów Europy Wschodniej. Chodzi o naszych Kurpiów zamieszkujących od XVI w. Puszczę Zieloną, stanowiącą myśliwski rezerwat królewski. Osiedlać się tu mogli tylko bartnicy, smolarze, rybacy i myśliwi. Nie byli oni ani chłopami, ani szlachtą, ale traktowano ich jako ludzi wolnych i – co jeszcze ważniejsze – oni sami się za takich uważali. Okrutnie doświadczyli tego szwedzcy najeźdźcy podczas potopu, kiedy zasieki i celne strzały z rusznic Kurpików (od „kurpisi", nazwy obuwia z lipowego łyka) uniemożliwiły im marsz przez Puszczę. Odtąd nazywa się owe lasy Puszczą Kurpiowską i niech tak zostanie.

Strzelców wyborowych miały oczywiście i inne nacje. Bez wyjątku korzystały z ludzi „leśnych". „Jäger" po niemiecku znaczy „myśliwy". Właśnie z myśliwych tworzono w Prusach formacje strzelców wyborowych zwane jegrami. W odróżnieniu od fryderycjańskich grenadierów, chłopów na schwał, jegrów formowano z mężczyzn niewysokich (w owym czasie poniżej 160 cm wzrostu), za to obdarzonych wspaniałym wzrokiem i umiejętnościami strzeleckimi. Sprawdzali się na polach bitew dzięki tym właściwościom oraz używaniu sztucerów o gwintowanych lufach, zwiększających celność i zasięg strzałów.

Toteż ościenni mocarze z Rosji i Austrii również formowali regimenty jegrów. W połowie XVIII w. także we Francji utworzono oddziały strzeleckie zwane szaserami (fr. chasseurs – łowca, myśliwy), co wskazywało na genezę ich powstania. Za czasów Napoleona powołano na początku XIX w. woltyżerów (fr. voltigeur) prowadzących skuteczny ogień podczas ataku w tyralierze. Lekką piechotę mającą podobne zadania zwano zaś w Anglii rifles (strzelcy) oraz Royal Green Jackets (Królewskie Zielone Kubraki – strój myśliwych). Wszystko to są słynni w tradycji swych krajów żołnierze, ale my doskonale wiemy, że gdzie tam im do naszych Kurpików… (Dodajmy, że poznał się na nich Napoleon, polecając wystawić cały pułk kurpiowski na wyprawę przeciw Moskwie w 1812 r.).

Strzelcy celni powołani zostali przez Tadeusza Kościuszkę do wojny z Rosją w obronie Konstytucji 3 maja. Stanowili polski odpowiednik nie tyle jegrów, ile północnoamerykańskich rangersów – myśliwych i farmerów, potrafiących dzięki strzelbom o gwintowanych lufach trzymać brytyjskich piechurów na dystans przekraczający zasięg skutecznego strzału ze zwykłego karabinu piechoty. Kurpie nadawali się na polskich rangersów jak nikt i z nich przede wszystkim sformowano siedem regimentów liczących łącznie blisko 900 strzelców. Podobne oddziały – 11 batalionów – powstawały w latach 1830–1831 podczas powstania listopadowego. Naczelnikowi przypisuje się również powstanie wytwórni sztucerów w Kozienicach. Wytworzono ich tam w latach 1792–1794 pół tysiąca, a wcześniej kupiono 400 sztucerów pruskich.

To oczywiście nie koniec kurpiowskich tradycji walk za ojczyznę. Mieszkańców Puszczy Kurpiowskiej widzimy i w powstaniu styczniowym, i wśród legionistów Piłsudskiego, w Wojsku Polskim odpierającym bolszewicką nawałę, jak również w czasie drugiej wojny – od Września '39 do czasu Żołnierzy Niezłomnych, Wyklętych. Na szczęście tam nie zapomina się o tradycjach zrodzonych z polskiego przywiązania do wolności. ©℗

eprasa.pl 31e9a37c40

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"
+ W PREZENCIE GRA PLANSZOWA „BITWA WARSZAWSKA"

POPROWADŹ SWOJĄ ARMIĘ DO ZWYCIĘSTWA W JEDNEJ Z NAJWIĘKSZYCH BITEW W HISTORII!

Jest upalny sierpień 1920 roku. Dwie potężne armie szykują się do rozstrzygającego starcia w bitwie, która zadecyduje o losach obu krajów. Stań po jednej ze stron konfliktu i poprowadź swoje wojska do zwycięstwa. Wykorzystaj umiejętności dowódców, siłę oddziałów oraz posiadane zasoby, aby pokonać nieprzyjaciela. Twoje decyzje pokażą, jak przebiegnie i zakończy się Bitwa Warszawska!

Bitwa Warszawska to strategiczna gra historyczna, która przenosi graczy w czasie do jednego z najważniejszych wydarzeń XX wieku. Gracze wybierają strony, po których się opowiedzą: Wojsko Polskie lub Armia Czerwona. Następnie prowadzą swoje oddziały do decydującego starcia na przedpolach Warszawy. Armie są zbudowane niesymetrycznie, co oznacza, że każda z nich ma swoje słabe i mocne strony, które trzeba wziąć pod uwagę przy planowaniu wojennej strategii. Od graczy zależy jak wykorzystają posiadane umiejętności dowódców i oddziałów.

119 zł

oszczędność 138 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NR.
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 31e9a37c40

Finlandia XX w. / Obrona niepodległości

Mannerheim, fiński bohater

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 31e9a37c40

Tomasz Stańczyk

Józef Piłsudski konspirował przeciwko carskiemu reżimowi. Carl Gustaf Mannerheim służył w rosyjskiej armii. Obaj walczyli później z bolszewizmem

Parada zwycięstwa nad czerwonymi w Helsinkach, 1918 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

Mannerheim, urodzony w 1867 r., pochodził ze szwedzkiej rodziny, która zamieszkała w Finlandii w XVIII w. Do początku XIX w. kraj ten należał do Szwecji, potem został zdobyty przez Rosję. O ile część ziem polskich zagarniętych przez imperium Romanowów tylko przez jakiś czas cieszyła się autonomią (Królestwo Polskie 1815–1830) i utraciła ją po powstaniu listopadowym, o tyle Wielkie Księstwo Finlandii mogło poszczycić się autonomią, jakkolwiek z czasem ograniczaną, do upadku caratu.

Mannerheim mógł służyć w armii fińskiej (zlikwidowano ją na początku XX w.), ale reżim w szkole kadetów był dla Mannerheima zbyt brutalny, a i on nie był pokornym debiutantem w zawodzie żołnierskim i został relegowany. Wybrał więc służbę w szkole kawalerii w Petersburgu, a był zawołanym jeźdźcem. Wziął udział w wojnie rosyjsko-japońskiej, potem zaś pod przykrywką uczonego wypełniał szpiegowską misję w Chinach. W 1899 r., a potem 10 lat później, stacjonował w Przywiślańskim Kraju, dawnym Królestwie Polskim w ramach cesarstwa rosyjskiego, w Kaliszu, Mińsku Mazowieckim i Warszawie. A ponieważ z pochodzenia był arystokratą, nic dziwnego, że stał się członkiem ekskluzywnego Klubu Myśliwskiego.

Podobno był bliskim przyjacielem Zdzisławy Lubomirskiej. O niej jednak, zapewne z powodu dyskrecji i dżentelmenerii, nic nie napisał w swoich pamiętnikach. „Trudno wnioskować, czy była to tylko głęboka przyjaźń" – stwierdzała Barbara Szordykowska, autorka „Historii Finlandii". Cytowała też opinię Mannerheima, że nie trzeba było się specjalnie za nimi oglądać, gdyż natychmiast za jedną piękną podążała następna, jeszcze piękniejsza.

Doskonale rozumiał położenie Polaków, gdyż jego kraj był także w rękach rosyjskich. Jednak, zapewne z powodu lojalności oficerskiej wobec cesarza Mikołaja II, nie podejmował rozmów politycznych z polskimi znajomymi.

Bolszewicy po raz pierwszy

Podczas pierwszej wojny światowej walczył na ziemiach polskich, m.in. w ważnej bitwie pod Kraśnikiem i wtedy został uhonorowany Krzyżem św. Jerzego. Gdyby nie wojna, Carl Gustaf Mannerheim, choć nie akceptował dążeń do rusyfikacji kraju, byłby lojalnym poddanym cara. Ten jednak został obalony przez rewolucję lutową w 1917 r., a po październikowej bolszewicy szermowali na pokaz hasłem samostanowienia narodów, liczyli jednak, i to wcale nie bez realnych powodów i szans, że Finlandia stanie się republiką socjalistyczną i wejdzie jako taka w skład Kraju Rad. A fińska socjaldemokracja, „czerwoni", była silnym ugrupowaniem. W parlamencie miała niemal tylu posłów co partie „białych", czyli konserwatywne, burżuazyjne.

Kraj stanął w obliczu wojny domowej. I wtedy na scenie pojawił się Mannerheim. Niezbyt często się zdarza, by 50-letni człowiek zaczął dopiero w tym wieku odgrywać ważną polityczną rolę. Przejął kierownictwo nad antybolszewickimi siłami samoobrony, potem armii w swoim kraju, która walczyła z czerwoną gwardią. Został na krótko regentem, wszak Finlandia była wciąż formalnie wielkim księstwem, i zapewnił rodaków, jak napisał w swoich wspomnieniach, że cały naród fiński zjednoczy się, by ostatecznie wywalczyć wolność i niepodległość. Naród był jednak podzielony.

Podczas walk o niepodległość Finlandii w 1918 r. zdarzył się pewien polski epizod. Chodziło o ważną pozycję w walce o Helsinki, wyspę Sveaborg. Jak pisze biograf Mannerheima Jonathan Clements: „Gdyby przyszło do szturmu białych, komuniści mogli z powodzeniem wykorzystać broń i skierować siłę ognia na miasto". Mannerheim nie zamierzał walczyć z garnizonem na Sveaborg. Wysłał na wyspę swoich ludzi, by negocjowali, i okazało się, że byli tam rosyjscy oficerowie sympatyzujący z „białymi", a także żołnierze – Polacy, zawiadujący łącznością. Dzięki jednym i drugim ważne strategicznie miejsce zostało rozbrojone.

Mannerheim został mianowany przez szwedzkich niepodległościowych polityków szefem sił zbrojnych. Rodziły się jednak kłopoty, większość oficerów

eprasa.pl 31e9a37c40

była bowiem praktycznie emerytami. Co ważniejsze – jak pisał Clements – w kwaterze głównej obowiązywał język szwedzki i w nim wydawano rozkazy. Szwedzki był bowiem językiem elit i sam Mannerheim dopiero wtedy zaczął opanowywać biegle język fiński. Wiedział, co znaczy fińska duma, dlatego postanowił, że rozkazy mają być wydawane po fińsku. „Mimo że szwedzki był językiem mojego dzieciństwa, nigdy nie odczuwałem, by moi fińskojęzyczni rodacy odnosili się do mnie z rezerwą i zawsze uważałem się za Fina" – stwierdził we wspomnieniach.

Wojna domowa, wygrana także dzięki zaangażowaniu się militarne Niemiec, przyniosła liczne ofiary po obu stronach konfliktu. Nie byli to tylko polegli w walkach, ale skazani na śmierć, rozstrzelani – jedni, bo byli „białymi", drudzy – „czerwonymi". Mannerheim nie był tym, który chciał brutalnej rozprawy z wrogami niepodległości Finlandii. „Biały terror" był usprawiedliwiony chęcią wykorzenienia w Finlandii komunizmu jako dywersji w interesie potężnego sąsiada – bolszewickiej Rosji. Mannerheim stwierdzał, że Finowie byli pierwszym narodem, który w roku 1918 postawił tamę bolszewizmowi.

Adolf Hitler z wizytą u Carla Mannerheima na froncie, 1942 r. FOT. WIKIPEDIA

Rozmowa z Piłsudskim

Politycy fińscy po pokonaniu sił bolszewickich pod przywództwem Mannerheima uznali, że zrobił swoje, a resztę powinien zostawić im. On jednak próbował pozostać aktywnym działaczem w niepodległej Finlandii, lecz wycofał się z polityki po przegraniu wyborów prezydenckich. Odwiedził Warszawę, w której jego polscy przyjaciele przechowali przez lata pierwszej wojny światowej należące do niego rzeczy. Złożył w Belwederze wizytę Józefowi Piłsudskiemu.

Dyskutowali o czerwonej Rosji. „Co mam począć – relacjonował Mannerheim słowa marszałka – skoro przywódcy białych nie rozumieją, że w trakcie procesu, który obserwujemy, powstaje nowa Rosja i że Polska, podobnie jak Finlandia, nie wejdzie w skład tego państwa. We wrześniu wysłałem do Denikina delegację wojskową na czele z gen. Karnickim, by go zawiadomić, że jesteśmy w zasadzie gotowi przelać naszą polską krew za Rosję, by nie była komunistyczna. Jednak Denikin zaczął mówić – wspominał wypowiedzi Piłsudskiego – o niepodzielność Rosji". W tej sytuacji rokowania z Denikinem nie mogły doprowadzić do niczego innego, jak tylko fiaska w zakresie współdziałania przeciw Armii Czerwonej.

W 1931 r. Carl Gustaf Mannerheim został przewodniczącym rady obrony kraju, skarżył się jednak we wspomnieniach na cięcia w budżecie przeznaczonym na rozwój sił zbrojnych. „Niechętny stosunek do wydatków na obronę w sposób wyraźny żywił się nadziejami niektórych środowisk, związanymi z międzynarodowymi dążeniami rozbrojeniowymi" – stwierdzał nie bez żalu Mannerheim.

W 1939 r. Kreml zażądał cesji terytorialnych, m.in. na odcinku granicy niedaleko Leningradu, tak jakby mała Finlandia mogła zagrozić niedawnej stolicy Rosji. Stalin chciał też bazy dla marynarki wojennej na wyspie Suursaari. Te żądania były pochodną paktu niemiecko-sowieckiego (Ribbentrop-Mołotow), którego tajna klauzula przewidywała, że Finlandia, tak jak inne kraje nadbałtyckie – Litwa, Łotwa i Estonia – znajdzie się w kręgu interesów sowieckich.

Oceniając bardzo krytycznie stan przygotowań wojennych swego kraju, związanych z niedostatecznymi funduszami zależnymi od decyzji parlamentu, Mannerheim podał się do dymisji. Tak ją argumentował: „[…] zachowanie przeze mnie funkcji przewodniczącego rady obrony mogłoby stworzyć w społeczeństwie wrażenie, że ja także jestem odpowiedzialny za podjęte niedostateczne działania". Wycofał się jednak po zapewnieniu polityków, że głos rady obrony będzie traktowany z należytą powagą.

„Napaść Niemiec na Polskę oznaczała, że Finlandia również znalazła się w strefie zainteresowań rosyjskich" – wspominał Mannerheim. Jesienią 1939 r. Litwa, Łotwa i Estonia zostały zmuszone do podpisania ze Związkiem Sowieckim paktów o „pomocy", a faktycznie oznaczało to początek zniewolenia tych krajów i przygotowanie do aneksji. Co do Estonii, pretekstem narzucenia swoich warunków była ucieczka z Tallina ORP „Orzeł". Moskwa twierdziła, wbrew faktom, że „władze estońskie umożliwiły ucieczkę polskiego okrętu podwodnego i złamały neutralność".

Wojna zimowa

Mannerheim, jak konstatował w swoich wspomnieniach, widział braki w wyposażeniu armii i wyszkoleniu rezerw. Do tego dochodziła wyraźna dysproporcja sił ludzkich w armii. Widząc to – choć zdawał sobie sprawę z zagrożenia dla obronności kraju przez żądania Kremla wybudowania sowieckiej bazy w Hanko i przesunięcie granicy na Przesmyku Karelskim – Mannerheim sugerował politykom ustępstwa. Jednak, jak sam stwierdzał, wobec nacisku Moskwy „we wszystkich klasach społecznych nastę-

eprasa.pl 31e9a37c40

powała patriotyczna i obywatelska integracja, jakiej nigdy dotąd nie widziano w naszym kraju".

Wojna rozpoczęła się w listopadzie 1939 r., a jej początek dała sowiecka prowokacja. Moskwa głosiła, że fińska artyleria ostrzelała pozycje Armii Czerwonej. Nie była to prawda. Rosjanie mieli też braki zaopatrzeniowe, a dowodzenie pozostawiało wiele do życzenia. Finowie bronili się dzielnie, zadając straty napastnikowi, atakując jego czołgi butelkami z benzyną.

Jednak Mannerheim zdawał sobie sprawę, że na dłuższą metę walka przeciw Sowietom skończy się porażką. Po trzech miesiącach walk, w marcu 1940 r., Helsinki podpisały z Moskwą traktat pokojowy, tracąc część swego terytorium. Obroniły się jednak – władzy nad krajem nie przejął marionetkowy, złożony z fińskich targowiczan rząd „ludowy", tak jak w Polsce w 1920 r. nie zaczął urzędować rząd polskich targowiczan. Mannerheim, jak pisał jego biograf, dobrze pamiętał słowa Stalina: „Zdaję sobie sprawę, że pragniecie zostać neutralni. Ale to nie jest możliwe. Wielkie mocarstwa na to nie pozwolą".

Zachód, Francja i Anglia nie udzieliły Finom realnej pomocy podczas wojny zimowej. Podobnie jak Polsce niewiele wcześniej. A Polacy chcieli pomóc. Jak pisał we wspomnieniach Mannerheim, gen. Sikorski, premier i Naczelny Wódz, zgłosił gotowość udziału polskich okrętów podwodnych w rejonie Petsamo, „by go zablokować, a tym samym odciąć wysadzonym tam na ląd wojskom rosyjskim połączenie z Murmańskiem". Sikorski też planował pomóc Finom przez stworzenie polskiego korpusu ekspedycyjnego. Oczywiście dobra wola Sikorskiego nic nie znaczyła, skoro był uzależniony od zdania Francji i Wielkiej Brytanii.

Mannerheim był jak najdalszy od akceptowania idei niemieckiego narodowego socjalizmu, uciął rozmowy z Berlinem w sprawie deportacji fińskich Żydów do obozów zagłady i nie popierał fińskiego ochotniczego oddziału SS, który powstał wbrew jego woli. Jednak Finlandię i III Rzeszę łączył wspólny wróg – Związek Sowiecki. Niemieckie siły zbrojne uderzyły na stalinowskie imperium także z terenów Finlandii. A celem Finów było odbicie utraconych w 1940 r. na rzecz Moskwy terytoriów. Jednak Mannerheim nie zamierzał pomóc Niemcom w zdobyciu oblężonego Leningradu. „Ta informacja rozwścieczyła Niemców" – pisał Clements. W 1944 r. Mannerheim napisał do Hitlera list, w którym stwierdził, że Finowie są wykrwawieni i niezdolni do dalszej walki. „Moim obowiązkiem – kontynuował Mannerheim – jest przeprowadzić mój naród bezpiecznie przez wojnę". Uważał, że dużo bardziej liczebny naród niemiecki może kontynuować walkę jeszcze długo, lecz Finowie wyczerpali już swoje możliwości walki, a poza tym – jak twierdził – w razie klęski czeka jego naród wysiedlenie lub unicestwienie. Dlatego opowiadał się za rozmowami pokojowymi z Kremlem. I dlatego nalegał, by wojska niemieckie wycofały się z Finlandii. Doszło nawet do walk z nimi.

Zgodził się też zostać prezydentem do chwili ukończenia wojny, a miał już prawie 80 lat. W 1946 r. zrezygnował z urzędu ze względu na podeszły wiek i zły stan zdrowia. Zmarł pięć lat później. „Dziesiątki tysięcy Finów stało na mrozie nawet sześć godzin, by oddać cześć swojemu bohaterowi" – pisał w zakończeniu biografii marszałka Jonathan Clements.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Fińscy żołnierze na pozycjach podczas wojny zimowej FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 31e9a37c40

Arkadiusz Karbowiak

1941–1945 / Ciąg dalszy wojny zimowej...

Wojny kontynuacyjna i lapońska

Finowie ruszyli po swe ziemie tydzień po napaści Hitlera na ZSRS. We wrześniu 1944 r. zmienili front

Podpisany 13 marca 1940 r. w Moskwie układ pokojowy między Finlandią a ZSRS zakończył wojnę zimową, czyli pierwszy, jak się potem okazało, etap konfrontacji sowiecko-fińskiej. Na mocy zawartego traktatu Finlandia zmuszona była przekazać Sowietom obszary strategiczne leżące na Przesmyku Karelskim oraz półwysep Hanko. W Helsinkach nie wierzono, że te cesje terytorialne stanowić będą kres ostatecznych żądań Sowietów. W ówczesnych realiach jedyną możliwą opcją było nawiązanie bliższych kontaktów z III Rzeszą. Szansą dla Helsinek okazały się zmiany w polityce zagranicznej III Rzeszy – od chwili, gdy Adolf Hitler podjął decyzję o ataku na ZSRS. Już w sierpniu 1940 r. Niemcy zaoferowali Finom zakup broni i sprzętu wojskowego, z czego Helsinki skwapliwie skorzystały. Kolejnym krokiem była, zawarta 22 września 1940 r., umowa tranzytowa dająca możliwość tranzytu żołnierzy niemieckich przez terytorium Finlandii do Norwegii. Trasy ich przewozu zabezpieczać miały pododdziały Wehrmachtu. Obok umów wojskowych zacieśniano kontakty gospodarcze. Na podstawie podpisanego porozumienia Finowie wyrazili zgodę na wydobywanie przez Niemców 60 proc. niklu ze złóż zlokalizowanych w Petsamo.

Fiński żołnierz z pistoletem maszynowym Suomi KP 31, w towarzystwie renifera

FOT.WIKIPEDIA/OSWALD HEDENSTROM

Razem z III Rzeszą

Stalin, obserwując te posunięcia, uznał, że naruszają one marcowy traktat pokojowy. W ZSRS prasa rozpoczęła antyfińską kampanię propagandową. Tymczasem zbliżający się termin ataku na Związek Sowiecki skłonił Niemców do zainicjowania w maju 1941 r. rozmów z Finami na temat ewentualnej współpracy militarnej w nadchodzącym konflikcie. 20 maja pojawił się w Finlandii wysłannik kanclerza Rzeszy z niemieckiego MS Karl Schnurre. Efektem tego spotkania były prowadzone od 25 maja 1941 r. w Salzburgu, Berlinie, a potem Helsinkach uzgodnienia sztabowe. Finlandia rozpoczęła przygotowania do wzięcia udziału w wojnie z ZSRS.

Kiedy 22 czerwca 1941 r. wybuchł konflikt niemiecko-sowiecki, Helsinki ogłosiły neutralność. Ten krok, choć miał w zamyśle pokazać, że Finlandia nie przyłączyła się do inwazji, nie uchronił Finów od konsekwencji bliskich relacji z III Rzeszą. Neutralne stanowisko Finów podważył zresztą sam kanclerz Adolf Hitler, w którego przemówieniu związanym z wybuchem wojny znalazł się passus: „Bohaterowie z Narwiku wraz ze swymi fińskimi towarzyszami broni stoją na skraju Oceanu Arktycznego. Niemieckie oddziały pod dowództwem zdobywcy Norwegii i fińscy bojownicy o wolność pod dowództwem ich marszałka chronią terytorium Finlandii”.

eprasa.pl 31e9a37c40

Fińscy żołnierze przy wraku zniszczonego przez Niemców czołgu T-34 FOT. WIKIPEDIA

Obszar Finlandii był wykorzystywany przez stronę niemiecką do działań przeciw Sowietom. Od pierwszego dnia wojny startujące z lotnisk w Prusach Wschodnich samoloty Luftwaffe po wykonaniu swych zadań lądowały na trzech fińskich lotniskach, m.in. w Utti, gdzie znajdująca się tam niemiecka obsługa naziemna Luftwaffe dotankowywała do nich paliwo, dokonując przy okazji drobnych napraw.

Sami Finowie również zdecydowali się na kilka posunięć militarnych. W dniu rozpoczęcia wojny o godz. 4.30 fiński desant wylądował na zdemilitaryzowanych Wyspach Alandzkich. Wtedy też lotnictwo sowieckie zbombardowało dwa fińskie okręty obrony wybrzeża, a dzień później grupa 16 fińskich komandosów ubranych w niemieckie mundury próbowała bez powodzenia wysadzić wrota do jednego z kanałów. 25 czerwca 1941 r. całe terytorium Finlandii znalazło się w strefie działań sowieckiego lotnictwa. Tego dnia sowieckie samoloty zbombardowały 19 fińskich lotnisk, ale także kilka większych miast, takich Rovaniemi i Helsinki. W odpowiedzi występujący przed parlamentem premier Johan Rangell oświadczył, że Finlandia znajduje się w stanie wojny z ZSRS.

29 czerwca 1941 r. fińska armia rozpoczęła działania ofensywne. Wzięło w nich udział 14 dywizji i trzy brygady piechoty. Celem Finów było odzyskanie zajętych w wyniku wojny zimowej, a okupowanych przez ZSRS terytoriów. Ofensywę rozpoczęto 10 lipca na północ od jeziora Ładoga siłami dwóch korpusów – VI i VII. Natomiast 31 lipca ruszyło natarcie korpusów IV i II na północnym odcinku Przesmyku Karelskiego. Podczas tej operacji 29 sierpnia zdobyty został Wyborg. 2 września Finowie dotarli do starej przedwojennej granicy sowiecko-fińskiej. Armia na rozkaz marszałka Carla Mannerheima zatrzymała się w odległości ok. 30–32 km od Leningradu. Marszałek nie zgodził się z sugestiami strony niemieckiej, aby wojska fińskie wzięły udział w oblężeniu miasta. Nie widział też powodu zajmowania i okupowania obszarów ZSRS, dlatego działania wojenne armii fińskiej zostały wstrzymane. Równocześnie 6 grudnia 1941 r. parlament ogłosił uroczyste przyłączenie do Finlandii odzyskanych terytoriów.

Teatrem wojennym, na którym najszybciej Finowie rozpoczęli zmagania militarne, był arktyczny odcinek frontu sowiecko-niemieckiego. Tam w okolicach Petsamo w ramach operacji „Srebrny Lis" już 29 lipca 1941 r. ruszyła niemiecko-fińska ofensywa. Jej celem było zdobycie portu w Murmańsku. Sowieckie oddziały powstrzymały przeciwników i wojska niemiecko-fińskie utknęły w martwym punkcie. Zresztą Finowie ze względów politycznych, a konkretnie z uwagi na presję USA, nie prowadzili działań na pełną skalę, rezygnując m.in. z odcięcia połączeń komunikacyjnych z Murmańskiem, gdzie przychodziły drogą morską konwoje z amerykańskimi dostawami na podstawie Lend-Lease Act dla ZSRS.

Kacety dla Rosjan

Jedynym wyłomem w tej konsekwentnie realizowanej strategii odzyskania ziem utraconych w 1940 r. było zajęcie tzw. Karelii Wschodniej, będącej obszarem, do którego Finlandia rościła sobie terytorialne pretensje jeszcze w 1918 r. Siedzibą terenowych organów okupacyjnych stało się miasto Pietrozawodsk. Zajęty obszar Karelii zamieszkiwało ok. 83 tys. ludzi. Ponad 44 proc. miało fińskie korzenie – m.in. Finowie, Karelowie, Wepsowie. Traktowano ich w sposób bardziej uprzywilejowany niż pozostałą część ludności pochodzenia słowiańskiego. Bojąc się ewentualnej współpracy z sowiecką partyzantką (sowieccy partyzanci zamordowali w Karelii 182 cywili), postanowiono sporą jej część umieścić w obozach koncentracyjnych (internowania). Dekret o ich utworzeniu wydano już 8 lipca i podpisał go marszałek Mannerheim.

Latem 1942 r. za drutami obozowymi znalazły się 23 984 osoby (w 1944 r. nieco ponad 14 tys. osób), z których większość stanowili Rosjanie. Panujące w obozach warunki, głód i niedożywienie wywołane trudnościami aprowizacyjnymi doprowadziły do śmierci w latach 1941–1944 4631 osób (śmiertelność wynosiła 18,2 proc.). Poza cywilami do fińskich obozów, tyle że jenieckich, trafiło 64 188 sowieckich jeńców, z których 19 085 zmarło. Jak pokazują liczby, śmiertelność w nich była jeszcze wyższa niż w obozach koncentracyjnych i wynosiła 29,6 proc. Ponadto część jeńców w ramach transakcji wymiennej w liczbie 2270 przekazano Niemcom, a oni oddali Finom 2214 jeńców pochodzenia fińskiego.

Analizując krytycznie fińską politykę okupacyjną w okresie drugiej wojny światowej, należy jednak podkreślić, że kraj ten, pomimo iż był sojusznikiem III Rzeszy, nie współuczestniczył w Holokauście. Liczba żydowskich mieszkańców Finlandii była stosunkowo niewielka i wynosiła 1,7 tys. osób. W 1942 r. Niemcy podjęli próbę zainteresowania Finów tematem deportacji Żydów do niemieckich obozów koncentracyjnych. Rozmowę w tej sprawie przeprowadził z premierem Johanem Rangellem SS-Reichsführer Heinrich Himmler. Premier nie pozostawił szefowi SS żadnych złudzeń odnośnie do stanowiska władz fińskich, oznajmiając swemu gościowi, że w Finlandii nie ma żadnej kwestii żydowskiej.

eprasa.pl 31e9a37c40

Adolf Hitler, Carl Mannerheim i Risto Ryti, prezydent Finlandii, 1942 r.
FOT. THE READERWIKI

Incydentem, który nieco zakłócił ten pozytywny obraz postępowania władz fińskich, było wydanie aresztowanych przez Valpo (Valtiollinen poliisi), fińską policję państwową, w ręce Niemców 12 żydowskich uchodźców. Osoby te zostały deportowane do KL Auschwitz. Pobyt tam przeżył tylko jeden z deportowanych. Dowodem tego, jak głęboko Żydzi wrośli w fińskie społeczeństwo i jak dalece stali się jego integralną częścią, był fakt służby w armii fińskiej, będącej podczas wojny kontynuacyjnej sojuszniczą armią III Rzeszy 260 Żydów. Z tej grupy ośmiu zginęło w trakcie działań wojennych, oddając życie za swój kraj.

Znane są nawet trzy przypadki fińskich Żydów zgłoszonych przez Niemców do odznaczenia Krzyżem Żelaznym (cała trójka odmówiła przyjęcia odznaczeń). Jednym z nominowanych był mjr Leo Skurnik, lekarz frontowy, który zorganizował ewakuację znajdującego się pod ostrzałem sowieckim niemieckiego szpitala polowego z 600 rannymi żołnierzami, także z Waffen-SS. Dwie pozostałe osoby to kpt. Salomon Klass i członkini kobiecej służby pomocniczej Lotta Svärd Dina Poljakov.

Połowa roku 1944 przyniosła zmianę sytuacji na frontach wojny kontynuacyjnej. Panujący tam względny spokój przerwała rozpoczęta 9 czerwca 1944 r. sowiecka ofensywa. Po intensywnym ostrzale artyleryjskim do natarcia na fińskie umocnienia na Przesmyku Karelskim bronione przez dwa korpusy ruszyło 260 tys. żołnierzy Armii Czerwonej wspartych 630 czołgami oraz 3 tys. dział i moździerzy. Ogromna dysproporcja sił spowodowała, że Sowieci z łatwością przebili się przez fińską obronę. Próby jej odtworzenia na linii Vammelsuu-Taipale nie dały rezultatu. Pochód czerwonoarmistów zatrzymano dopiero na linii Viipuri-Kaparsari-Taipale.

Marszałek Mannerheim skierował do obrony wszelkie posiadane rezerwy. Na jego prośbę również Niemcy przysłali niewielkie posiłki. Pod Tali-Ihantala rozegrała się zasadnicza i jednocześnie największa w historii Skandynawii bitwa, która zadecydowała o losach kampanii i poniekąd o losach Finlandii. Sowietom, pomimo zaangażowania olbrzymich sił w postaci pięciu korpusów wzmocnionych olbrzymią ilością broni pancernej, nie udało się pokonać Finów. Po bitwie sowieckie działania ofensywne wytraciły swój impet. Stalin osłabił siły walczące z Finami, nakazując przerzucenie część wojsk na inne ważniejsze z punktu widzenia geostrategicznego odcinki frontu wschodniego.

28 lipca 1944 r. podał się do dymisji prezydent Risto Ryti. Fińskie elity polityczne uznały, że jedyną osobą mogącą wyprowadzić Finlandię z trudnego położenia politycznego, w jakim się znalazła, jest marszałek Mannerheim. Stąd decyzją parlamentu 4 sierpnia 1944 r. został on powołany na stanowisko prezydenta państwa. 25 sierpnia 1944 r. Finlandia wystąpiła o warunki zawarcia rozejmu. Rozmowy w tej kwestii okazały się możliwe, Stalin wycofał się bowiem ze swojego wcześniejszego żądania dotyczącego bezwarunkowej kapitulacji. Sowieci domagali się od Finów zapłacenia reparacji, oddania ZSRS terytoriów anektowanych w 1940 r. oraz zmuszenia Niemców do opuszczenia Finlandii. To ostatnie żądanie oznaczało de facto zbrojną konfrontację Finów ze swymi niedawnymi sojusznikami.

Przeciw Niemcom

W związku z toczącymi się rozmowami fińsko-sowieckimi marszałek Mannerheim 4 września 1944 r. postanowił napisać do Hitlera list, w którym przedstawił powody wyjścia Finlandii z koalicji z państwami Osi. Marszałek pisał w nim: „Być może naród, który ma 90 mln ludzi, jest na siłach, by toczyć taką walkę. Finowie jednak już są wykrwawieni i niezdolni do dalszej walki. Potężna ofensywa, jaką Rosjanie przypuścili na nas w lipcu, pozbawiła nas wszystkich rezerw. Nie możemy pozwolić na dalszy rozlew krwi, który zagroziłby istnieniu niewielkiej Finlandii [...]. Już wkrótce nasze drogi się rozejdą. Moim obowiązkiem jest przeprowadzić bezpiecznie naród przez wojnę. Mam nadzieję, że choć z pewnością poczujesz się urażony tym listem, podzielisz pragnienie moje i wszystkich Finów, że zmiana w naszych stosunkach nie będzie oznaczać wrogości".

19 września Finlandia zawarła z ZSRS układ rozejmowy. Niepodległość kraju została uratowana. Armia fińska, wywiązując się z podjętych zobowiązań, zaczęła 27 września 1944 r. działania militarne skierowane przeciwko Niemcom, rozpoczynając tzw. wojnę lapońską. Celem było wyparcie oddziałów Wehrmachtu z północnych obszarów Finlandii.

Przeciwnikiem amii fińskiej była niemiecka 20. Armia Górska dowodzona przez generała chorwackiego pochodzenia Lothara Rendulica, a od stycznia 1945 r. gen. Franza Böhmego. Toczone walki nie należały do szczególnie intensywnych. Podczas nich śmierć poniosło 774 fińskich żołnierzy i 1,2 tys. niemieckich. Ciekawostką jest, że wśród poległych było aż 113 weteranów Finnisches Freiwilligen-Bataillon der Waffen-SS, czyli Fińskiego Ochotniczego Batalionu SS wchodzącego do maja 1943 r. w skład dywizji SS „Wiking".

Wycofujący się z Finlandii Niemcy wyrządzili olbrzymie straty materialne, niszcząc w ramach stosowanej taktyki „spalonej ziemi" wszelką infrastrukturę. W listopadzie 1944 r. praktycznie walki zamarły, w związku z czym Finowie dokonali wymiany żołnierzy w swoich jednostkach. Dotychczasowych weteranów zastąpiono młodymi niedoświadczonymi poborowymi. 27 kwietnia 1945 r. ostatni niemieccy żołnierze opuścili terytorium Finlandii. Prawie rok po zakończeniu działań wojennych 4 marca 1946 r. zrezygnował z dalszego pełnienia funkcji głowy państwa Carl Mannerheim.

Premier Juho Paasikivi w przemówieniu radiowym w następujących słowach podziękował marszałkowi za służbę ojczyźnie: „Nikt inny nie dokonałby tego zadania, ponieważ nikt poza nim nie cieszy się takim zaufaniem większości narodu. Za to, podobnie jak i za całą pozostałą, ofiarną pracę dla ojczyzny, naród Finlandii wyraża prezydentowi Mannerheimowi głęboką wdzięczność."

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31e9a37c40

Niedziela
w Telewizji Republika

REPUBLIKA

W Punkt
9:06
zaprasza Katarzyna Gójska

Studio prasowe
10:06
zaprasza Adrian Stankowski

Salonik polityczny
11:00
zaprasza Rafał Ziemkiewicz

Polityczna kawa
12:00
zaprasza Tomasz Sakiewicz

oglądaj również na www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl 31e9a37c40

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/PAP

FOT. PAP

Wywiad / Z Józefem Walaszczykiem, najstarszym polskim Sprawiedliwym wśród Narodów Świata

rozmawia Piotr Włoczyk

Kilogram złota za życie

eprasa.pl 31e9a37c40

– Oficer nazwiskiem Hoffman zarządził moją egzekucję. Postawili mnie pod ścianą, naprzeciw mnie stanęło kilku żołnierzy. Unieśli karabiny, a on zaczął odliczać: Eins, zwei… – mówi Józef Walaszczyk

PIOTR WŁOCZYK: Ilu Żydów znalazło schronienie w zarządzanym przez pana majątku w Rylsku?

JÓZEF WALASZCZYK: Trzydziestu. Wszyscy byli młodzi, najstarsi mieli 23–24 lata. Jedną trzecią stanowiły kobiety. Cała ta grupa pojawiła się u mnie na początku 1940 r.

W jaki sposób ci ludzie znaleźli się pod pańską opieką?

Poprosił mnie o to pan Wengrow, ważna postać w społeczności żydowskiej w Rawie Mazowieckiej. Znaliśmy się jeszcze z czasów przedwojennych – poratował mnie, kiedy potrzebowałem pożyczki. Pan Wengrow poprosił mnie o zatrudnienie w majątku w Rylsku 40 młodych Żydów, w tym jego dzieci. To było nie lada wyzwanie. Wiedziałem jedno – musiałem pójść w tej sprawie do dyrektora Millera z Arbeitsamtu (urząd pracy) w Rawie Mazowieckiej. Inaczej się tego załatwić nie dało. Początkowo Miller nie chciał o tym słyszeć. W końcu jednak udało mi się go przekonać.

Jakich użył pan argumentów?

Tych, na których najbardziej mu zależało – finansowych. Taka umowa wymagała przekazywania Millerowi „załączników". Niemiec musiał jednak pokazać, że on tu rządzi, i ostatecznie zgodził się na zatrudnienie 30, a nie 40 Żydów. Bardzo wyraźnie powiedział mi, że jestem za nich osobiście odpowiedzialny… Co dwa tygodnie musiałem się meldować u Millera z łapówką, za którą otrzymywałem przedłużenie zezwolenia na pracę.

Co należało do obowiązków pańskich nowych pracowników?

Gdy tylko Niemcy ich do mnie przywieźli, powiedziałem im, że mogą w majątku robić, co tylko chcą, byleby tylko byli na godz. 7 w pracy w naszej fabryce mąki ziemniaczanej. Żyli osobno, ale chyba nie mieli zbyt wielu powodów do narzekań. Wiedli w miarę normalne życie – o ile oczywiście w tamtych czasach w ogóle można było mówić o normalności. Po zakończeniu dnia pracy można było czasem usłyszeć w majątku żydowską muzykę i śpiewy.

Jak duża była łapówka dla dyrektora Arbeitsamtu?

Cholernie duża. To były tysiące złotych. Niemieccy urzędnicy z Generalnego Gubernatorstwa, wbrew stereotypom o „niemieckim porządku", byli potwornie skorumpowani. Oczywiście zdarzali się tacy, którzy na widok łapówki wyciągali pistolet i byli gotowi zastrzelić człowieka na miejscu, ale ci, którzy brali, łupili Polaków na potęgę.

Co drugi poniedziałek wszyscy pracujący u mnie Żydzi byli zwolnieni z obowiązków w fabryce. Mieli uważać, czy nie jadą po nich Niemcy. Gdyby zobaczyli niemieckie samochody jadące do majątku, mieli uciekać do przygotowanych wcześniej kryjówek. Za każdym razem bałem się, że to już będzie ostatni poniedziałek.

Jak wyglądała pańska ostatnia wizyta u dyrektora Millera?

To było latem 1941 r. Żydzi byli już z nami półtora roku. Za każdym razem dzwoniłem do Arbeitsamtu i uprzedzałem, że właśnie się do nich wybieram. Tym razem sekretarka Millera powiedziała mi, że szefa nie ma, ale i tak muszę przyjechać po stempel. Nie spodobało mi się to. Powiedziałem jej, że zawsze umawiałem się z Millerem na osobiste przekazanie papierów, ale ona stwierdziła, że tym razem będzie inaczej. Nietrudno było się domyślić, że coś jest nie tak…

Przekazałem naszym Żydom, żeby tym razem byli wyjątkowo czujni, żeby naprawdę byli gotowi uciekać do swoich kryjówek, bo coś złego wisi w powietrzu. Większość uwierzyła, miała się na baczności i w porę uciekła, ale niestety kilka osób przyzwyczaiło się do ciszy i spokoju w Rylsku i nie wzięło sobie do serca mojego ostrzeżenia… Tych kilku Żydów wpadło, kiedy do majątku przyjechali Niemcy. Tak jak podejrzewałem, nasza umowa z Millerem przestała obowiązywać.

Co się stało z pańskimi podopiecznymi?

W lasach za Pilicą działała partyzantka żydowska. Początkowo niektórzy przychodzili do majątku po jedzenie, ale po jakimś czasie ślad po nich zaginął. Nie mam pojęcia, co się z nimi dalej działo. Najważniejsze jednak, że mieli szansę na przeżycie. Gdyby pozostali w getcie w Rawie Mazowieckiej, ich los byłby przypieczętowany – zostaliby wysłani do obozu zagłady. A tak mieli szansę.

Powiedział pan, że dyrektor Arbeitsamtu uczynił pana osobiście odpowiedzialnym za Żydów. Co ich ucieczka oznaczała dla pana?

Umschlagplatz w Warszawie. Żydzi czekający na transport do obozu zagłady FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 31e9a37c40

Józef Walaszczyk z Ireną Front (Bartczak) FOT. ARCHWIUM JÓZEFA WALASZCZYKA

Byłem pewien, że ukarzą mnie za to w jakiś sposób. Przez jakieś dwa tygodnie niespokojnie wyglądałem ich samochodów, przekonany, że lada chwila po mnie przyjadą. A jednak, ku mojemu zaskoczeniu, nic się nie stało. Kompletnie nic, jakby ta ucieczka nigdy się nie wydarzyła. Podejrzewam, że skorumpowany Miller chciał jak najszybciej zamieść sprawę pod dywan, zapewne bał się wyników śledztwa.

Jak to się w ogóle stało, że w tak młodym wieku dostał pan w zarząd majątek w Rylsku?

To była nasza ostoja. Majątek należał do mojej dalszej rodziny. Zarządzał nim Stanisław Okęcki. Od najmłodszych lat spędzałem tam wakacje i zapoznawałem się z tym, jak to wszystko działa. Jeszcze będąc w liceum, tuż przed wojną, reprezentowałem majątek w interesach w Warszawie – chociaż nie miałem jeszcze 20 lat, to odpowiadałem za zakupy.

Moja mama pracowała w Rylsku jako felczerka. Opiekowała się właścicielami majątku i ich pracownikami. Pan Okęcki bardzo mnie polubił i wprowadzał mnie w arkana działalności tego dużego i świetnie zorganizowanego przedsiębiorstwa rolnego. Poza fabryką mąki ziemniaczanej w majątku hodowano też setki koni i krów. Po przegranej kampanii '39 Stanisław Okęcki nie mógł patrzeć na Niemców, nie chciał mieć z nimi nic wspólnego, ale przedsiębiorstwo musiało działać. W związku z tym mnie zrobił pełnomocnikiem. Na moją korzyść działało to, że świetnie znałem niemiecki – jestem za to dozgonnie wdzięczny mojej nauczycielce z gimnazjum, która bezlitośnie pilnowała, żebym miał jak najlepsze stopnie (śmiech). W ten sposób zostałem kierownikiem handlowym fabryki mąki ziemniaczanej. Ponad połowa produkcji musiała trafiać do niemieckich magazynów, ale pewną częścią mogliśmy handlować. Towar przewoziliśmy do Warszawy do naszego magazynu przy ul. Kruczej 34.

Jak wiadomo, Warszawa była fatalnie zaopatrzona...

Tymczasem ja miałem wszelkie możliwe przepustki i mogłem bez większych obaw wozić żywność, leki i inne niezbędne towary do znajomych i rodziny z Warszawy – znaczną część dzieciństwa przeżyłem właśnie w stolicy, więc znałem tam mnóstwo ludzi. Wraz z panem Okęckim wyznaczyliśmy sobie takie zadanie – pomagać tym, którzy nie mieli tyle szczęścia co my.

I to właśnie podczas jednego z takich biznesowych wyjazdów do Warszawy poznał pan swoją okupacyjną miłość?

Tak. Nazywała się Irena Bartczak. A przynajmniej tak się przedstawiła na początku naszej znajomości – wpadliśmy na siebie wiosną 1941 r. Szybko okazało się jednak, że Irena skrywała tajemnicę.

Kiedy się pan o tym przekonał?

Kiedy do pensjonatu przy ul. Żurawiej 15, w którym wynajęliśmy pokój, wpadło gestapo. Przerażona Irena wyznała, że nie nazywa się Bartczak. Powiedziała mi, że jest Żydówką i naprawdę nazywa się Irena Front... Najgorsze było to, że jej papiery były fatalnie podrobione. Wydawało się, że znaleźliśmy się w sytuacji bez wyjścia – gestapo musiało nas aresztować!

Co pan zrobił?

Wyszedłem z pokoju, zamknąłem Irenę na klucz i zacząłem symulować potworny ból żołądka. Na szczęście pani Grabowska, właścicielka pensjonatu, potwierdziła przed gestapowcami, że jestem sam i często tu goszczę. Niemcy uwierzyli nam na słowo i nie chcieli zajrzeć do mojego pokoju. Biedna Irena musiała w tym momencie żegnać się z życiem...

Następnego dnia przeniosłem Irenę do mojej kawalerki przy ul. Kruczej 34. W tym samym budynku znajdował się nasz magazyn. Dozorca miał się nią opiekować, gdy mnie nie było w Warszawie. Załatwiłem jej też nowe dokumenty. Wystawiono je na moje nazwisko, żeby było bezpieczniej. W ten sposób na papierze Irena została moją żoną. Dołączyły do niej dwie inne Żydówki: Hanka i Helena. Na szczęście żadna z nich nie miała typowo semickiej urody, co ułatwiało ukrywanie się po „aryjskiej stronie". Irena była sama jak palec, ponieważ jej rodzice byli akurat w Indiach, kiedy wybuchła wojna. Nie mieli jak ratować swojej córki.

W końcu jednak Irena wpadła. Wyzwanie, które przed panem stanęło, przytłoczyłoby chyba każdego.

31 października 1942 r. dostałem telefonogram. Irena została aresztowana i jest na gestapo w Warszawie! Popędziłem do stolicy. Ponieważ miałem kontakt w warszawskiej AK, dowiedziałem się, że w policji granatowej jest ktoś, kto mógłby mi pomóc. To był ojciec mojego kolegi. I to on wszystko zorganizował. Powiedział mi jednak coś, co było nie lada niespodzianką: Irena nie została aresztowana sama. Niemcy złapali ją w grupie 21 Żydów! Ale i tu korupcja wśród Niemców dawała nam szansę: gestapowiec dowodzący tą akcją zgodził się zapomnieć o całej sprawie za kilogram wyrobów jubilerskich.

Jak się załatwia w pięć godzin kilogram złota?

Chodziłem od znajomego do znajomego. Na szczęście miałem dużą sieć kontaktów biznesowych. Kto nie miał złota, ten pożyczał mi pieniądze, za które kupowałem wyroby jubilerskie. Działałem jak w amoku, zdeterminowany, że to musi się udać. I faktycznie się udało. O godz. 17 w umówione miejsce przyjechała ciężarówka z aresztowanymi Żydami. Niemiec obejrzał łapówkę, wsadził ją do kieszeni i zwolnił tych biednych ludzi. Jakże wspaniale było ujrzeć radosną Irenę!

Warszawa była fatalnie zaopatrzona, ale prawdziwy dramat rozgrywał się jednak w getcie. Ile razy pan tam wchodził?

eprasa.pl 31e9a37c40

Ciężko powiedzieć. W getcie warszawskim miałem wielu przyjaciół. Jednym z nich był dr Marczewski. Wspaniały człowiek, mógł stamtąd uciec, ale postanowił zostać, żeby opiekować się rodziną i znajomymi. Dostarczałem im jedzenie, leki i inne niezbędne towary. Jak wiadomo, przez getto przejeżdżał tramwaj. Umawiałem się z motorniczym, że w pewnym momencie zwolni, żebym mógł wyskoczyć. Na to samo byliśmy umówieni w drodze powrotnej. To jednak było strasznie ryzykowne, naprawdę nie rozumiem, jak to wszystko mogło się udawać...

W getcie zakładałem opaskę, żeby nie wyróżniać się z tłumu. Panowały tam straszne warunki, wprost nie do opisania. Dziś wydaje nam się, że pandemia koronawirusa to koniec świata. Nie jest łatwo, ale proszę mi wierzyć, że bywało u nas dużo gorzej. Choroby dosłownie zżerały getto. W końcu w czasie jednej z wizyt sam zaraziłem się tyfusem. Najgorszemu wrogowi nie życzyłbym przechodzenia przez tę chorobę.

Kiedy był pan najbliżej śmierci?

Takich sytuacji było bardzo wiele. Chodzenie do getta było proszeniem się o śmierć, ale najbliżej rozstrzelania byłem na stacji kolejowej w Nowym Mieście nad Pilicą. Właściwie to już mnie rozstrzeliwali.

Co pan tam robił?

Byłem kurierem AK i miałem ze sobą dokumenty dla tamtejszego podziemia. To był 1941 r. Niemcy otoczyli pociąg, którym jechałem, i zarządzili rewizję. Na szczęście na tej stacji byli AK-owcy, którzy na mnie czekali. I dzięki nim mój bagaż w tajemniczych okolicznościach „zaginął". To jednak nie był koniec moich kłopotów – Niemcy uznali pasażera bez bagażu za bardzo podejrzane zjawisko...

Przesłuchiwali mnie, bijąc mnie bez opamiętania. Strzelali mi pod nogi i nad głową, kazali mi tańczyć w rytm takiej „muzyki". W końcu dowodzący nimi oficer nazwiskiem Hoffman zarządził moją egzekucję. Postawili mnie pod ścianą, naprzeciw mnie stanęło kilku żołnierzy. Unieśli karabiny, a on zaczął odliczać: Eins, zwei… Wiedziałem, że tym razem to już naprawdę mój koniec. Zaraz padnę trupem.

Tymczasem zamiast „Feuer!" usłyszałem „Halt!". Hoffman powiedział, że śmierć na miejscu byłaby dla mnie zbyt łatwa. Postanowił mnie zabrać ze sobą do komendantury, gdzie chciał mnie dalej katować. Zagroził mi, że gdy już ze mną skończy, wyśle mnie do Auschwitz, żeby tam się mną „zajęli".

Co pana uratowało przed obozem?

Uratował mnie... inny Niemiec. Z zatrzymanych na stacji Polaków utworzyli kolumnę i zaczęli nas pędzić na gestapo w Nowym Mieście. Aż tu nagle podjeżdża motocyklista i daje Hoffmanowi świstek papieru. Ten przeczytał go i wściekły kazał mnie zawołać. W wiadomości napisano, że należy mnie natychmiast zwolnić, ponieważ jestem „niezbędny dla funkcjonowania fabryki". Okazało się, że na stacji była moja mama i widziała, co ze mną robią… Boże, co ona musiała wtedy przeżywać... Od razu zadzwoniła do Niemca – pana Albrechta – któremu podlegałem jako zarządca fabryki mąki ziemniaczanej i przekonała go, że trzeba mnie niezwłocznie ratować.

Co pan mówi, kiedy młodzi ludzie pytają pana o stosunek Polaków do Żydów w czasie drugiej wojny światowej?

Odpowiadam, że Polacy zachowywali się generalnie przyzwoicie.

Mimo że nie brakowało szmalcowników?

Jeżeli na 100 tys. ludzi było 100 szmalcowników, to jednak nie była to duża liczba. Proszę pamiętać, że w czasie wojny uaktywniają się w niektórych ludziach najpodlejsze cechy. Tak jest w każdym narodzie, szczególnie jeżeli okupant zachęca do zbrodni, wręcz wynagradza je. Polacy mogą mówić z dumą, że odkrycie szmalcownika zazwyczaj powodowało, iż w niedługim czasie zaczynały na nim rosnąć kwiaty. Tak reagowało państwo podziemne.

A jak pan wspomina II RP pod tym kątem?

Pyta mnie pan o sytuację Żydów? Nie mieli łatwo, ale bardzo ciężko też nie mieli. Różni byli Żydzi, różni też byli Polacy. Pamiętam lato 1939 r., kiedy byłem na obozie przysposobienia wojskowego pod Lidzbarkiem, przy granicy z Prusami Wschodnimi. Było nas ok. 3 tys. młodych mężczyzn. Ja nie miałem jeszcze 20 lat. Wśród nas była też grupa Żydów. No cóż, zdarzyło się tak, że członkowie orkiestry napadli na tych chłopców i pobili ich. Ja byłem w takim plutonie, który bardzo nie lubił takich numerów. Chwyciliśmy więc za saperki i spuściliśmy tym bandytom łomot. Ponieważ biliśmy się z członkami orkiestry, nie obyło się bez strat w sprzęcie muzycznym.

To się nie mogło spodobać dowódcy obozu...

Dowódca oświadczył oczywiście, że winowajców, czyli nas, spotka kara. Gdy jednak dotarły do niego informacje, jaka była nasza motywacja, kiedy okazało się, że to nie był z naszej strony chuligański wybryk, inaczej nas potraktowano. Pokryliśmy koszt naprawy uszkodzonych instrumentów i sprawa jakoś rozeszła się po kościach. To prawda, że zdarzały się kanalie, ale nie było u nas systemowego rasizmu.

W 2000 r. instytut Yad Vashem, na wniosek Ireny Front, przyznał panu tytuł Sprawiedliwego wśród Narodów Świata. Jak pan na to zareagował?

Nigdy nie szukałem wdzięczności ludzi, którym udało się pomóc. Uważałem, że to mój psi obowiązek – walczyć i chronić ludzi narażonych na śmierć. Z Ireną rozstałem się tuż po wojnie, ale ona pamiętała o tym, co przeszliśmy w czasie okupacji. Pod koniec życia stwierdziła, że bardzo chce, żebym został uhonorowany tytułem Sprawiedliwego. Mówiła, że to jej „obowiązek". Skoro tak jej na tym zależało, to stwierdziłem: niech już jej będzie (śmiech). Dobrze się czuję z myślą, że coś mi się w życiu udało zrobić. To wszystko było jednak możliwe tylko dzięki jednej osobie – Matce Boskiej. Głęboko wierzę, że właśnie dzięki jej wstawiennictwu udało mi się przejść przez to wszystko.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Józef Walaszczyk
(ur. 1919 r.) jest wiceprezesem Polskiego Towarzystwa Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. W czasie drugiej wojny światowej pomógł uratować 53 Żydów.

eprasa.pl 31e9a37c40

Więźniowie obozu w Potulicach
FOT. IPN

1945–1949 / Centralny Obóz Pracy w Potulicach

Żłobek za drutami

Bogusław Kopka

Komuniści urządzili w „małym Oświęcimiu" piekło dla Niemców i Polaków z Pomorza, w tym kobiet oraz dzieci

O losie dzieci z komunistycznego obozu pracy w Potulicach mało się pisze i mówi w wolnej Polsce. O tragicznej historii niemieckiego obozu przesiedleńczego dla Polaków w Potulicach wiemy znacznie więcej. Dość powiedzieć, że w powojennym obozie zmarło więcej ludzi niż w tym samym miejscu w okresie okupacji niemieckiej. W latach 1941–1945 straciło życie w „małym Oświęcimiu" w Potulicach 1297 osób, w tym 767 dzieci. Natomiast pod rządami komunistycznej dyktatury w latach 1945–1949 w potulickim obozie pracy poniosło śmierć 4495 osób.

Więźniami powojennego obozu byli zarówno Niemcy, folksdojcze oraz niewielka grupa jeńców wojennych, jak i rodzima ludność Pomorza oraz sami Polacy. Pracowali oni w przyobozowych warsztatach (ślusarskim, stolarskim, szewskim, krawieckim, wikliniarskim i samochodowym). Najwięcej osób zatrudniano jednak poza obozem, w majątkach rolnych zarządzanych przez komendanturę obozu potulickiego, PGR-ach i u indywidualnych rolników. Więźniowie pracowali również przy karczowaniu lasu i odgruzowywaniu Bydgoszczy, z kolei jeńców wykorzystywano przy pracach ekshumacyjnych osób pomordowanych w hitlerowskim obozie Potulice.

Więźniowie mieszkali w 23 drewnianych barakach; 12 z nich przeznaczono dla 250 osób, a 11 – dla 320. W barakach znajdowały się trzyosobowe drewniane łóżka. Zwykle do jednej izby kwaterowano dwa razy więcej osób. Na jednej pryczy leżało po dwóch więźniów, z niektórymi kobietami jeszcze dzieci. Obóz otoczony był podwójnym ogrodzeniem z drutu kolczastego; również baraki oddzielone były od siebie drutem. Na terenie obozu znajdowały się pomieszczenia mieszkalne dla strażników i warsztaty wikliniarskie, mechaniczne, konfekcyjne oraz garaże i stolarnia.

Była tu także kaplica, w której do 1946 r. odprawiano nabożeństwa. Z pisma wikariusza generalnego Kurii Metropolitarnej w Gnieźnie z 16 marca 1946 r., skierowanego do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, dowiadujemy się jednak o zakazie odprawiania mszy świętej na terenie obozu w Potulicach. List z kurii kończy się bowiem prośbą: „Ponieważ, jak słyszymy, propaganda niemiecka wykorzystuje ten fakt, ażeby szkodzić w opinii Rządowi Rzeczypospolitej Polskiej, prosimy uprzejmie o udzielenie zezwolenia dla księdza kapelana w Potulicach na wstęp

eprasa.pl 31e9a37c40

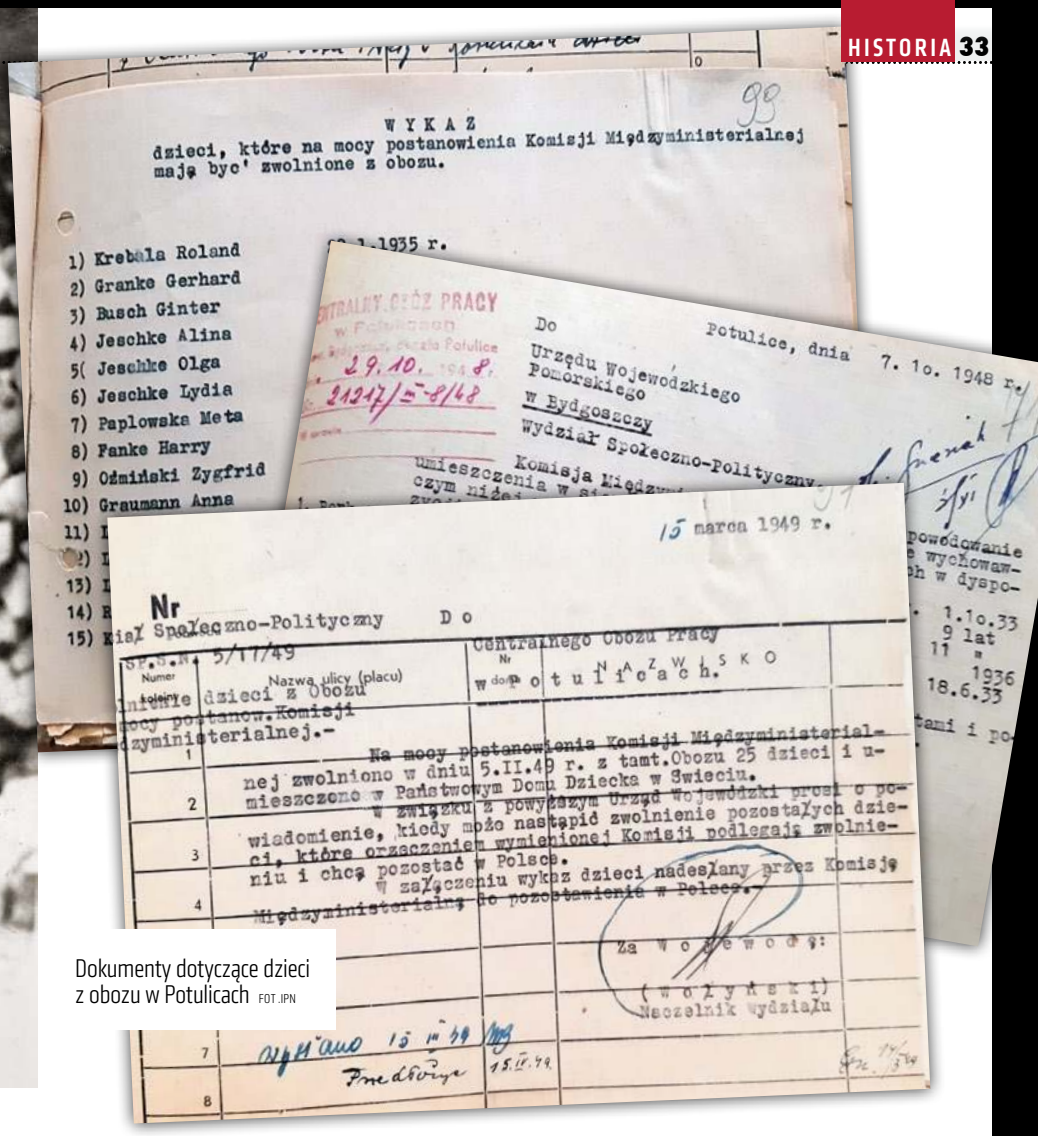

WYKAZ
dzieci, które na mocy postanowienia Komisji Międzyministerialnej mają byc' zwolnione z obozu.

1) Krebala Roland
2) Granke Gerhard
3) Busch Ginter
4) Jeschke Alina
5(Jeschke Olga
6) Jeschke Lydia
7) Paplowska Meta
8) Fanke Harry
9) Oźmiński Zygfrid
10) Graumann Anna

Do Potulice, dnia 7. 1o. 1948 r.
Urzędu Wojewódzkiego Pomorskiego
w Bydgoszczy
Wydział Społeczno-Polityczny

15 marca 1949 r.

Nr
Wydział Społeczno-Polityczny Do
Centralnego Obozu Pracy
w Potulicach.

Na mocy postanowienia Komisji Międzyministerialnej zwolniono w dniu 5.II.49 r. z tamt. Obozu 25 dzieci i umieszczono w Państwowym Domu Dziecka w Swieciu.
W związku z powyższym Urząd Wojewódzki prosi o powiadomienie, kiedy może nastąpić zwolnienie pozostałych dzieci, które orzeczeniem wymienionej Komisji podlegają zwolnieniu i chcą pozostać w Polsce.
W załączeniu wykaz dzieci nadesłany przez Komisję Międzyministerialną do pozostawienia w Polsce.-

Za Wojewodę:
(Wołyński)
Naczelnik Wydziału

Dokumenty dotyczące dzieci z obozu w Potulicach FOT. IPN

do obozu, odprawianie w kościółku nabożeństw, zaopatrywanie chorych, chrzest dzieci itd.”.

Dzieci z folkslisty

Bardzo dużą grupę więźniów komunistycznego obozu w Potulicach stanowiła ludność cywilna, zwłaszcza – o czym już wspomniano – kobiety i dzieci (podobnie zresztą jak w okresie hitlerowskim). Były to przede wszystkim dzieci Niemek lub osób z Pomorza Nadwiślańskiego, które wpisano na folkslistę. Imienny wykaz dzieci internowanych w obozie zawierał 3445 nazwisk. Lekarz obozowy odnotował w sprawozdaniu istnienie w Centralnym Obozie Pracy w Potulicach oddziału położniczego na 30 łóżek i żłobka dla 50 niemowląt. Pod koniec 1945 r. wydzielono w obozie tym również oddziały dla nieletnich, chłopców i dziewcząt.

Zarządzeniem z 20 grudnia 1945 r. szef więziennictwa MBP Dagobert Łańcut nakazywał: „Dzieci internowanych, znajdujących się dotychczas w obozach i więzieniach […] będą oddane do zakładów wychowawczych, pozostających pod zarządem Ministerstwa Oświaty. […] W terminie od 1 I do 10 I 1946 r. należy odstawić pod opieką pracowników wychowawczo-politycznych lub strażników obozowych wzgl[ędnie] więziennych dzieci volksdeutschów (z wyjątkiem niemowląt, tj. nieumiejących jeszcze chodzić) do Szpitala Psychiatrycznego w Świeciu (woj. pomorskie), który został przeznaczony na zakład wychowawczy dla dzieci”. Na końcu wytłuszczoną czcionką podano: „Dzieci narodowości i obywatelstwa niemieckiego zostaną przetransportowane z obozów i więzień w terminie późniejszym”.

Wymieniony w dokumencie dom dziecka w Świeciu przy ul. Średniej 10 utworzony został w styczniu 1946 r. z przeznaczeniem dla dzieci niemieckich, ściślej – dzieci i młodzieży w wieku od czterech do 18 lat. Była to placówka świecka, utrzymywana ze środków Skarbu Państwa i podległa kuratorium w Toruniu. Ze względu na brak wystarczającej liczby łóżek w jednym łóżku sypiało dwoje dzieci. W sierocińcu brakowało także sienników, poduszek, prześcieradeł, a nawet żywności, w tym mleka dla najmłodszych. Przed powstaniem domu dziecka w Świeciu dzieci z COP w Potulicach przebywały w Państwowym Domu Dziecka w Bydgoszczy przy ul. Traugutta 5 oraz w Zakładzie św. Jana w Świeciu. Ten drugi, prowadzony przez Zgromadzenie Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo, znajdował się w tym samym kompleksie budynków przy ul. Średniej 10, był jednak o wiele starszy – funkcjonował od 1922 r. 28 marca 1946 r. między Państwowym Domem Dziecka w Świeciu a Zakładem św. Jana doszło do pierwszej wymiany 32 podopiecznych. Siostry zobowiązały się przyjąć dzieci do lat trzech, w zamian oddały taką samą liczbę dzieci starszych.

eprasa.pl 31e9a37c40

W ciągu pięciu lat w potulickim obozie urodziło się ok. tysiąca dzieci, przy czym część ciąż była wynikiem gwałtów. W sprawozdaniu lekarza obozowego Ignacego Cedrowskiego z 1 lutego 1948 r. czytamy:

„Dwie istnieją zasadnicze sprawy, które w dużej mierze utrudniają pracę sanitarno-lekarską na terenie obozu w Potulicach. Przede wszystkim ogromna ilość dzieci (1285) do lat 14, co stanowi prawie ¼ część stanu liczbowego obozu. Przy tym należy zwrócić uwagę na 2 kwestie: około 900 dzieci znajduje się w obozie bez matek i z tego powodu wymagają specjalnej opieki ze strony władz obozowych. Następnie, utrzymanie tych dzieci na wymaganym poziomie zdrowotnym jest niemożliwe, przy zupełnym braku mleka dla większości i bardzo ograniczonej ilości tłuszczu i cukru (do pierwszego roku życia otrzymują 500 g mleka, 30 g cukru i 30 g tłuszczu, a powyżej tego wieku – bez mleka i tylko 10 g cukru i 10 g tłuszczu). Trudno jest brać na siebie odpowiedzialność za zdrowie tych dzieci w takich warunkach. Rzeczą konieczną jest odciążenie obozu z tych dzieci, posyłając je za Odrę, gdzie na pewno każde ma swoich bliższych czy też dalszych krewnych, którzy się zaopiekują nimi. Wielu trosk przysparzała obozowi ogromna liczba starców – tysiąc trzystu – przebywających bezczynnie w obozie; stanowili jedną czwartą stanu liczebnego obozu. Wziąwszy więc pod uwagę dzieci i starców, widzimy, że stanowią połowę więźniów znajdujących się w obozie".

Gwałcone kobiety

Kilka miesięcy później, w sprawozdaniu z działalności Departamentu Więziennictwa MBP za kwiecień 1948 r., alarmowano: „W Obozie Pracy Potulice jest stosunkowo wielka ilość ciężarnych kobiet (obecnie 19). Kobiety te zachodzą w ciążę w majątkach, względnie gospodarstwach prywatnych, często w wyniku gwałtu i wracają brzemienne do obozu. Mimo istnienia w OP stacji opieki nad matką i dzieckiem oraz żłobka niemowlęta zrodzone przez te kobiety niedostatecznie odżywione bardzo często umierają, zwłaszcza że przewidziane normą dodatki żywnościowe dla matek karmiących i dzieci do pierwszego roku życia są niewystarczające. W miesiącu sprawozdawczym zmarło w OP Potulice 14 noworodków. Ogólna ilość dzieci do lat 12 w tym obozie wynosi 1100, a liczba starców od lat 70–80 około 500".

Doktor Cedrowski w cytowanym sprawozdaniu zapisał:

„Jeszcze chciałbym krótko poruszyć sprawę dość dużej ilości kobiet ciężarnych. Kwestia ta o tyle się komplikuje, że młode dziewczęta wysyłane do pracy pozaobozowej na majątki, względnie do innych placówek, wracają po kilku miesiącach w stanie ciężarnym i po przeprowadzeniu śledztwa okazuje się, że w przeważającej części ich zwierzchnicy, gdzie pracują, nakłaniają je do stosunków, owocem czego są później ciąże. Jest to również ciężarem dla obozu, o czym świadczy konieczność utrzymywania oddziału położniczego oraz żłobka, co z jednej strony jest bardzo kosztowne, a poza tym na dłuższy okres czyni dobre młode siły robocze niezdolnymi do pracy".

W październiku 1948 r. Komisja Międzyministerialna ds. Volksdeutschów z niepokojem zauważyła, że „przetrzymywanie dzieci w obozie (w skupisku) sprzyja rozwijaniu się nieprzychylnemu stanowisku do polskości, co znajdowało swój wyraz między innymi i w tym, że dzieci będące poza obozem (głównie u gospodarzy) wbrew woli rodziców oświadczały, iż są Polakami". Wizytujący obóz kierownik referatu Jeńców Wojennych Departamentu Więziennictwa MBP Józef Lipski pisał w raporcie z 14 maja 1949 r. „Będąc w COP Potulice, chodząc po terenie i warsztatach, widziałem zatrudnione młodociane dzieci obojga płci w wieku od 10 do 14 lat. Niektórzy pracują na warsztatach. Około 15 pełni funkcje gońców. Nastrój panujący wśród internowanych, przybywających do obo-

Baraki obozu w Potulicach

FOT. IPN

eprasa.pl 31e9a37c40

zu celem repatriacji, jest niedobry. Przypuszczalnie jest to również związane z istniejącymi porządkami i rygorem. W końcu kwietnia, przed odejściem transportu internowanych, niektórzy z nich zostali pobici przez strażników".

Specjalna komisja powołana przez premiera Józefa Cyrankiewicza do zbadania sytuacji w obozach pracy dla Niemców zapisała w raporcie po inspekcji potulickiego obozu z 16 sierpnia 1949 r.: „W obozie stwierdzono 5 dzieci samotnych: 1. Kern Wanda, lat 10 – przybyła do obozu z Domu Dziecka w Świeciu dnia 24 lipca 1949 r. Od pięciu lat rozłączona z matką, której los nie jest znany ani jej, ani administracji obozu. 2. Brauer Heinrich, lat 10 – pasł krowy u gospodarza (wynajęty z obozu), nie figurował jednak w ewidencji obozowej. Natomiast w ewidencji obozowej figuruje matka jego Brauer Anna, jednak w stanie rodzinnym nie podany jest fakt posiadania dzieci – wyjechała do Niemiec 22 V br. 3. Werner Oskar, lat 9 – w ewidencji figuruje matka Werner Gertruda jako panna bezdzietna. Werner Gertruda wyjechała transportem dnia 27 kwietnia br. 4. Schlack Erik, wiek nieustalony (około 10 lat) – dziecko cofnięte umysłowo. Bliższych danych odnośnie rozłączenia go od matki, która wyjechała do Niemiec, ani dziecko, ani administracja obozu udzielić nie mogła. 5. Sukor Ula, lat 9 – ani administracja, ani ona nie może wyjaśnić, skąd przybyła. Zaznaczyła jedynie, że od kilku lat nie ma żadnych wiadomości o matce".

Sprawozdanie to potwierdza wcześniej sygnalizowany problem – część matek porzucała dzieci (w założeniu czasowo), by szybciej i łatwiej wyjechać do Niemiec. W innym sprawozdaniu Komitetu Przesiedleńców Obozu Przejściowego w Lipsku o położeniu Niemców w obozie w Potulicach czytamy: „Wykorzystanie zezwolenia na wyjazd do Niemiec przeprowadza się w obozie zupełnie bezplanowo, ponieważ większość członków rodziny zmuszona jest żyć oddzielnie; bardzo często zdarza się, że matki wyjeżdżają, a dzieci zostają albo na odwrót".

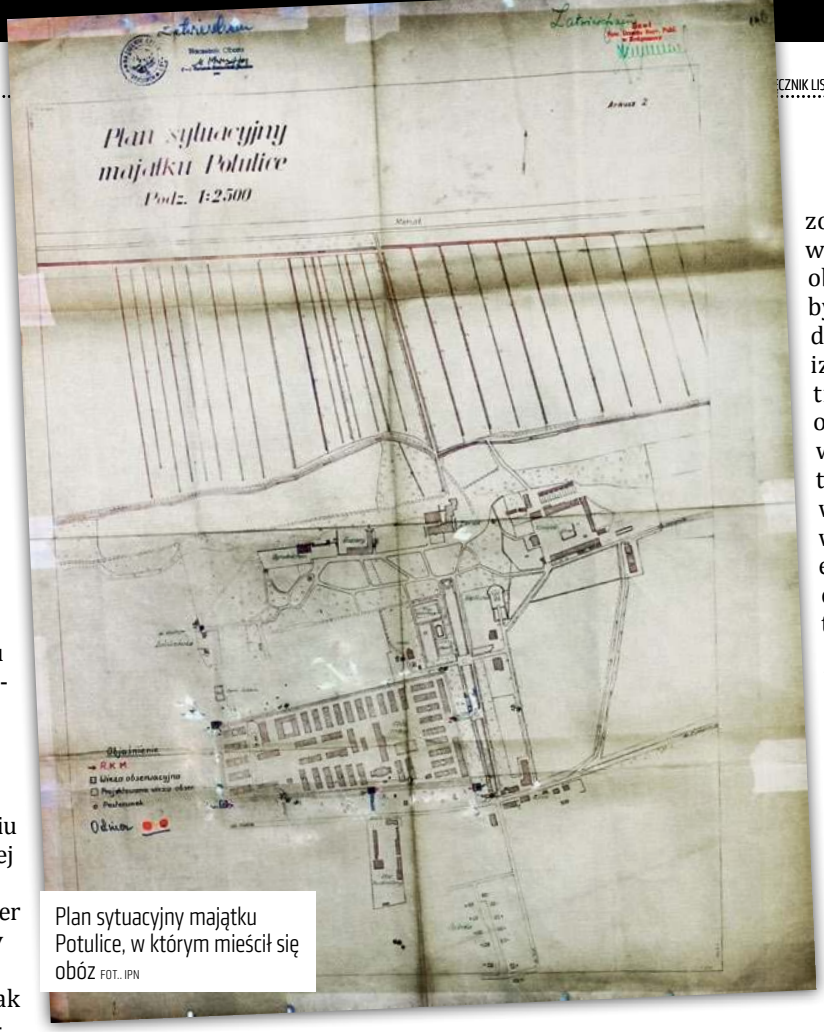

Plan sytuacyjny majątku Potulice, w którym mieścił się obóz FOT. IPN

Komisja premiera Cyrankiewicza ustaliła także los dzieci wysłanych do sierocińca w Świeciu. Administracja COP w Potulicach zażądała odesłania ich do obozu, gdzie internowane były ich matki. W dniu 24 lipca 1949 r. sprowadzono 38 dzieci, z których 11 nie znalazło swoich rodziców i które ponownie odesłano do domu dziecka w Świeciu. Stwierdzone przypadki rozłączania dzieci i matek tłumaczono brakiem pełnej ewidencji personalnej dzieci, pośpiechem przy repatriacji internowanych, który „skłaniał nieraz matki do wyjazdu bez dzieci, znajdujących się poza obozem, z obawy przed utratą transportu", a także ukrywaniem przez matki faktu posiadania dzieci nieślubnych. Ponadto stwierdzono, że „w latach 1945–1946 matki spodziewające się internowania zostawiały swe dzieci u krewnych i znajomych i często traciły z różnych przyczyn kontakt z nimi".

Zbrodnia bałaganu

Przytoczone obszerne fragmenty dokumentów z korespondencji obozowej jednoznacznie wskazują na to, że obóz w Potulicach nie był przygotowany do swoich funkcji izolacyjnych, repatriacyjnych oraz jako organizator pracy więźniów na tym terenie. Panowało w nim niedożywienie, wybuchały epidemie, często dochodziło do gwałtów na więźniarkach – to wszystko było na porządku dziennym. O skali nadużyć i bezprawia świadczy liczba zgonów w COP w Potulicach i poza nim w latach 1945–1949. Według zachowanych dokumentów śmierć poniosło 4495 osób, w tym 2915 Niemców.

Po zakończeniu „repatriacji" ludności niemieckiej władze więziennictwa postanowiły przekształcić dotychczasowy obóz pracy w Potulicach w więzienie dla przestępców antypaństwowych „rekrutujących się z byłych członków nielegalnego podziemia". Tak naprawdę chodziło o więźniów politycznych, ale używanie takiego określenia w dokumentacji UB było zabronione. Z dniem 17 lipca 1950 r. COP w Potulicach przemianowano na Centralne Więzienie Karne w Potulicach. Jednym z powodów likwidacji obozu i jego przekształcenia w placówkę penitencjarną o obostrzonym rygorze było wykrycie wśród więźniów obozu organizacji konspiracyjnej. Więźniowie ci – jak podawano w informacji MBP – rekrutowali się „z byłych członków nielegalnego podziemia".

Dzięki wspólnej inicjatywie byłych więźniów obozów (niemieckiego i komunistycznego) w Potulicach – Stanisława Gapińskiego i Gustava Bekkera – na miejscowym cmentarzu w Potulicach w latach 90. XX w. wmurowano tablicę pamiątkową ku czci dawnych polskich i niemieckich więźniów obozu potulickiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31e9a37c40

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

1831–1863 / Weterani powstania listopadowego w powstaniu styczniowym

Herosi dwóch powstań

Marek Gałęzowski

Na 239 dowódców oddziałów powstania styczniowego 22 było weteranami poprzedniego zrywu niepodległościowego

Trzy tygodnie po wybuchu powstania styczniowego, kiedy jego rozmach pozwalał jeszcze z nadzieją patrzeć w przyszłość, 14 lutego 1863 r. w wyzwolonym od władzy Moskali świętokrzyskim Staszowie gen. Marian Langiewicz „rozkazał, aby całe wojsko w pełnym rynsztunku bojowym wystąpiło i stanęło na rynku". Jak pisze jeden z powstańców, Ludomir Grzybowski, zażądał tego „niejaki pan Krzesimowski. Starzec siwy zupełnie, z dużą brodą, wysoki, a tytułowali go pułkownikiem".

Przegląd był imponujący, gdyż objął ok. tysiąca ludzi, a gen. Langiewicz, prowadząc pod rękę starego pułkownika, w otoczeniu sztabu „obchodzili nas ze wszystkich stron, a co najważniejsze, przepowiadali niechybne zwycięstwo", co pamiętnikarz skomentował z przekąsem, że znając opowieści ojca z czasów powstania listopadowego, był „w zupełnej sprzeczności ze zdaniem pułkownika Krzesimowskiego o zwycięstwach".

76-letni generał

Ów starzec – którego z właściwą młodości pobłażliwością wspominał mogący być jego wnukiem Grzybowski – stanowił, bez fałszywego patosu, żywy pomnik walk o niepodległość. Urodzony jeszcze w niepodległej Rzeczypospolitej, rok przed rozpoczęciem Sejmu Czteroletniego, należał do licznego grona weteranów powstania listopadowego, którzy wzięli udział w insurekcji 1863 r. przeciw Rosji.

Wedle kompetentnych ustaleń Karola Jadczyka na 239 dowódców oddziałów powstania styczniowego 22 było weteranami poprzedniego zrywu niepodległościowego. Znacznie większa liczba działała jednak na zapleczu walk i w organizacji cywilnej. Wśród tych drugich był ów „starzec siwy zupełnie" – pochodzący ze szlachty sandomierskiej Stanisław Krzesimowski. Po ukończeniu studiów w Wiedniu wstąpił do armii Księstwa Warszawskiego, przechodząc wszystkie szczeble awansu, od zwykłego żołnierz aż do porucznika, ostatni stopień otrzymując w przededniu wyprawy cesarza Napoleona na Rosję. Przeszedł rosyjskie śniegi, walczył pod komendą ks. Józefa Poniatowskiego pod Lipskiem, a po jego śmierci, z innymi Polakami, bronił Francji przed wojskami koalicji antynapoleońskiej. Wróciwszy do kraju, osiadł w majątku Rembów na ziemi sandomierskiej.

Kiedy wybuchło powstanie listopadowe, nie rozważał jego szans, lecz przystąpił do organizacji batalionu strzelców, na którego czele w drugiej połowie marca 1831 r. zaczął działania zaczepne przeciw Rosjanom. Na początku kwietnia oddział mianowanego majorem Krzesimowskiego włączono do korpusu innego dawnego napoleończyka, gen. Juliana Sierawskiego. Krótko jednak trwała kampania naszego bohatera. Idąc w awangardzie korpusu Sierawskiego, pokonał Rosjan w starciu pod Zawicho-

eprasa.pl 31e9a37c40

stem, a kilka dni później w niepomyślnej bitwie pod Wronowem, dzięki męstwu podkomendnych Krzesimowskiego, pozostałe oddziały polskie wycofały się bez większych strat.

Niestety, już następnego dnia batalion Krzesimowskiego, osaczony w zamku w Kazimierzu, po zaciekłej obronie trwającej do wystrzelenia ostatniego pocisku musiał się poddać. Jego dowódca został zesłany na dwa lata do Wiatki, po czym pozwolono mu wrócić do Rembowa, gdzie w spokoju przeżył 30 kolejnych lat.

Rola Krzesimowskiego w 1863 r. nie była jedynie symboliczna, jak zdają się uważać niektórzy autorzy. Chociaż wiek uniemożliwiał mu udział w walce zbrojnej, to zaangażował się w działalność spiskową przed wybuchem powstania, budując organizację narodową w powiecie staszowskim, a zaraz po nocy styczniowej zaczął tworzyć oddział jazdy. Wiemy już, że po zajęciu Staszowa przez wojsko gen. Langiewicza uroczyście przywitał dowódcę tego największego wówczas zgrupowania powstańczego, który następnie mianował weterana generałem.

Krótko po podziale sił Langiewicza i jego internowaniu przez Austriaków, o czym dalej, Krzesimowski opuścił zabór rosyjski. Przybywszy do Krakowa, włączył się w organizowanie oddziałów powstańczych, które miały działać w województwie krakowskim (w jego części znajdującej się w zaborze rosyjskim) i sandomierskim. Nie trwało to jednak długo, gdyż już w nocy z 11 na 12 kwietnia został aresztowany przez Austriaków i osadzony w więzieniu na Wawelu. Liczący 76 lat generał był tam przetrzymywany aż 10 miesięcy, a po zwolnieniu w lutym 1864 r. natychmiast nakazano mu opuścić Austrię. Wyjechał do Drezna – do końca aktywny, uczestniczył we wsparciu przybywających tam uczestników upadającego powstania, aż do śmierci, która nastąpiła rok później.

Generał Stanisław Krzesimowski wyróżniał się nie tylko udziałem w powstaniu listopadowym, lecz także tym, że należał do kilku ostatnich żyjących oficerów Księstwa Warszawskiego i uczestników kampanii napoleońskich, którym siły pozwoliły zadokumentować wierność sprawie niepodległości Polski w 1863 r. I możemy przypuszczać, że chwila, kiedy patrzył w młode twarze tych, którzy urodzili się blisko 40 lat po III rozbiorze Polski, a teraz wyruszali do walki o nią, była jedną z najszczęśliwszych w jego życiu.

Ataki kosynierów

Młodszy o 11 lat Józef Śmiechowski w 1863 r. także dawno już przekroczył wiek, który zobowiązywał go do służby w polu. Absolwent Szkoły Podchorążych w warszawskich Łazienkach zamierzał poświęcić się karierze wojskowej, ale niespodziewanie po czterech latach ożenił się z Józefą Bedlińską i zamieszkał z żoną w majątku Cychry pod Grójcem. Sielskie życie ziemianina przerwał wybuch powstania listopadowego.

Śmiechowski wrócił do służby i jako kapitan 20. Pułku Piechoty Liniowej wziął udział w wielkiej bitwie pod Grochowem. Koniec powstania zastał Śmiechowskiego w twierdzy modlińskiej. Później przez pewien czas przebywał na emigracji, po czym wrócił do kraju, przez następne lata gospodarując w Cychrach i, po śmierci żony w 1842 r., opiekując się sześciorgiem małoletnich dzieci.

Podobnie jak Krzesimowski zaangażował się w konspirację przedpowstaniową, przyjmując funkcję naczelnika powiatu czerskiego. Po wybuchu powstania przystąpił do walki z licznym oddziałem, który zajął Grójec, a następnie pomaszerował w kierunku Rawy Mazowieckiej. Tam przyłączył się do partii Antoniego Jeziorańskiego i wraz z nim 4 lutego oswobodził miasto od władzy zaborcy, osobiście prowadząc do ataku kosynierów. Zajęcie Rawy – jak zgodnie podkreślają historycy – było jednym z największych sukcesów odniesionych w pierwszych tygodniach powstania. Pod koniec miesiąca Śmiechowski dołączył do zgrupowania gen. Langiewicza i mężnie uczestniczył w bitwie pod Małogoszczem.

„Chwila była krytyczna ,oczekiwaliśmy z kosami przy działach, pewni, że nas tu wszystkich skłują i działa zabiorą; już nas dosięgali, gdy gromkiem: hura! kosynierzy prowadzeni przez Śmiechowskiego uderzyli z boku z takim impetem, że Moskale zmieszani, słaby opór stawiali. Śmiechowski wrzeszczał »bijcie dobrze bugry«, a »bugry« też bili tak skutecznie, że nie dłużej jak po pięciu minutach Moskale tył podali" – wspominał Aleksander Zdanowicz [cyt. za: Karol Jadczyk, „Weteran dwóch powstań. Rzecz o Józefie Śmiechowskim (1798–1875)", „Niepodległość i Pamięć" 2017, nr 2] (Bugrami, czyli z francuska zuchami, Śmiechowski nazywał swoich żołnierzy).

Sukces dał Śmiechowskiemu awans generalski i dowództwo nad brygadą piechoty, mężnie bijącą się pod Chrobrzem i Grochowiskami. Kiedy Langiewicz zdecydował się udać do Galicji, 18 marca 1863 r. powierzył Śmiechowskiemu dowództwo jednej z trzech części, na które podzielił swój korpus, a jak się w praktyce okazało – większości pozostawionych sił. Tym samym – jak pisał Zbigniew Gnat-Wieteska – „przypadło mu w udziale niezwykle trudne zadanie uspokojenia ogromnie zmęczonych marszami, wygłodzonych, zniechęconych, zdemoralizowanych żołnierzy", którzy „nie chcieli iść w głąb województwa i wymogli marsz w stronę granicy". Wspomniany już Grzybowski wyraźnie pisał, że przyczyną demoralizacji była wieść o opuszczeniu wojska przez Langiewicza – „wszyscy potracili głowy, bo nikt nie wiedział, co i jak dalej poczynać", a dowodzący nimi Śmiechowski „wręcz oznajmia, że pozostawia każdemu swobodę i na tych, którzy by chcieli iść do domu, żadna odpowiedzialność nie ciąży".

Trzy dni później pod Igołomią Śmiechowskiemu pozostało zaledwie 800 ludzi z blisko 3 tys., które wojsko

Artur Grottger „Bitwa", z cyklu „Polonia"
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 31e9a37c40

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

powstańcze liczyło w chwili opuszczenia go przez gen. Langiewicza. Moskale bez trudu rozproszyli zgrupowanie, na szczęście nie ścigając zbyt uporczywie powstańców. Trudno jednak winić za tę porażkę Śmiechowskiego, który nigdy nie dowodził dużą jednostką. To wyłącznie Langiewicz jako głównodowodzący był odpowiedzialny za organizację swojego wojska w nowej sytuacji militarnej. Zrzucanie tej odpowiedzialność na podkomendnych przez wydanie rozkazu de facto sprowadzającego się do... „radź sobie sam" wydaje się co najmniej trudne do usprawiedliwienia. Zresztą to właśnie wiadomość o opuszczeniu wojska przez gen. Langiewicza walnie przyczyniła się do jego demoralizacji.

Godne podkreślenia jest to, że Śmiechowski nie załamał się porażką i już w końcu kwietnia 1863 r., ponownie pod komendą Antoniego Jeziorańskiego, wkroczył do Królestwa, dążąc do przebicia się na Lubelszczyznę. Nie powiodło się to. Już nad granicą austriacką powstańcy zostali zaatakowani pod Kobylanką. Rozegrane tam 1 i 6 maja bitwy wygrali – w drugiej Śmiechowski „dowodził lewym skrzydłem obrony, dając przy tym dowody wielkiej wytrwałości i odwagi" (Jadczyk). Niestety, mimo sukcesu straty okazały się tak duże, że pięć dni później Śmiechowski, który po rannym Jeziorańskim objął dowództwo oddziału, mając już tylko setkę ludzi, został rozbity pod Hutą Krzeszowską i wycofał się za granicę.

Do końca życia pozostał już w zaborze austriackim, chroniąc się tam przed pewnym Sybirem. Jego Cychry, gdzie tak szczęśliwie przez wiele lat żył z żoną i z gromadką dzieci, zostały skonfiskowane przez władze rosyjskie. Dzielny generał, lubiany przez młodych podkomendnych, który gniewał się jedynie wtedy, kiedy ktoś mu niezręcznie wypomniał jego wiek, zmarł we Lwowie i tam spoczął na cmentarzu Łyczakowskim.

Polegli nad granicą

Do służby powstańczej przystępowali również ci uczestnicy powstania listopadowego, których klęska wygnała z rodzinnego kraju i teraz, po przeszło 30 latach, posiwiali, wkraczali na ojczystą ziemię z orężem, który dawał nadzieję spełnienia marzeń o Niepodległej. Byli wśród nich pułkownicy Franciszek Horodyński, rocznik 1806, i młodszy odeń o 10 lat Michał Domagalski. Pierwszy – jak pisał Piotr Łossowski – „wyróżniający się zdolnościami porucznik saperów", w czasie powstania listopadowego służył w sztabie Armii Królestwa Polskiego. „Nie siedział jednak stale za biurkiem", pod Grochowem i Ostrołęką „znajdował się na placu boju, służąc radą i pomocą przy budowie i wykorzystaniu urządzeń saperskich, a gdy trzeba było – stając bezpośrednio do walki" (Łossowski). Później były gorycz klęski i wiele lat emigracji we Francji, gdzie pracował jako inżynier, kierując pracami nad regulacją Loary.

Kiedy w 1848 r. wybuchło powstanie w Wielkopolsce, z garścią weteranów Horodyński pieszo ruszył przez Niemcy do kraju. Nie zdążyli dotrzeć na czas. W tej sytuacji Horodyński udał się na Węgry, gdzie trwała walka „bratanków" o niepodległość z zaborcami Polski – Austrią, a później spieszącą jej z pomocą Rosją.

Podobną drogę odbył Michał Domagalski. Uczeń korpusu kadetów w Kaliszu, jako zaledwie 14-letni chłopiec, wstąpił do wojska i odznaczył się w obronie Warszawy w czasie szturmu Moskali 6 września 1831 r. I on znalazł się na emigracji we Francji, będąc jednym z najmłodszych. Wiedząc, że walka nieskończona, za swój cel uznał kontynuowanie kształcenia wojskowego na obczyźnie. Długo starał się o przyjęcie do francuskiej szkoły wojskowej, którą ukończył na początku lat 40. XIX w. Udało mu się to, co nie powiodło się Horodyńskiemu – wziąć udział w postaniu wielkopolskim. Po jego upadku, wraz z Ludwikiem Mierosławskim, który dowodził zrywem w zaborze pruskim, udał się na Sycylię. Wsparli tam republikanów walczących o zjednoczenie Włoch. Domagalski odznaczył się w bitwie pod Taorminą – gdzie został ranny.

Drogi pułkowników Franciszka Horodyńskiego i Michała Domagalskiego zbiegły się w czerwcu 1863 r. Obaj znaleźli się w dużym, sformowanym w zaborze austriackim zgrupowaniu gen. Józefa Wysockiego (również weterana z Węgier). Horodyński objął dowództwo jednego z trzech oddziałów. Domagalski, który porzucił służbę w armii włoskiej, został szefem sztabu.

Wysocki zamierzał wkroczyć do zaboru rosyjskiego i ruszyć na Wołyń. Pierwszym celem było opanowanie nadgranicznego Radziwiłłowa, który miał stać się bazą wypadową dla dalszych działań zaczepnych powstańczego wojska. Horodyński wyruszył do walki jako pierwszy, zamierzając uderzyć na Rosjan w Radziwiłłowie od południa. Początkowo atakował z sukcesem, lecz szybko okazało się, że nie tylko siły rosyjskie przeważają nad powstańczymi, lecz przede wszystkim atak nastąpił zbyt wcześnie, zanim jeszcze spóźniony gen. Wysocki nadciągnął z większością swoich ludzi. Pułkownik dał rozkaz do odwrotu i osłaniając swoich żołnierzy, poległ, do końca ostrzeliwując się Moskalom.

Dopiero trzy godziny później Radziwiłłów zaatakowała reszta sił powstańczych. Był wśród nich płk Domagalski, który w tym boju został ciężko ranny i zmarł kilka dni później. „W ciągu swego trudnego, pracowitego i burzliwego życia wyznawał zasadę: dopóki się człowiek z nóg nie zwali, dopóty czynnym być powinien" – charakteryzowano mężnego oficera w „Polskim słowniku biograficznym". Dewiza ta trafnie oddaje intencje tych weteranów powstania listopadowego, którzy przeszło 30 lat później, w jesieni życia, stanęli na wezwanie do kolejnego boju o niepodległość.

Autor jest pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN, profesorem Uczelni Łazarskiego.

eprasa.pl 31e9a37c40

U-Boot U-156 u wybrzeży Aruby FOT. DOMENA PUBLICZNA

1942 r. / Wojna podwodna na zachodnim Atlantyku

U-156 atakuje Arubę

Jakub Ostromęcki

To była jedna z najbardziej brawurowych akcji w historii wojen podwodnych. Błąd niemieckich artylerzystów uratował karaibską rafinerię

Rafineria Lago Oil and Transport Company znajdująca się w Sint Nicolaas na Arubie była w latach 30. jedną z większych nad Atlantykiem. Na przełomie lat 1941 i 1942 produkowano tu prawie 10 proc. amerykańskich pochodnych ropy naftowej. Specjalne tankowce przystosowane do pływania na płytkich wodach przywoziły tu surowy produkt z jeziora Maracaibo w Wenezueli. Był on potem przetwarzany na benzynę lub olej napędowy, transportowany dalej ku brzegom USA przez większe oceaniczne tankowce.

Sukces owej rafinerii wziął się stąd, że na początku drugiej wojny światowej USA wierne były polityce izolacjonizmu, toteż tamtejsi naftowi giganci nie mogli bezpośrednio sprzedawać Wielkiej Brytanii swoich produktów. Chyba że mieli rafinerię poza terenem USA, wtedy było to jak najbardziej legalne – Aruba należała wszak do Holendrów. W Lago pracowało wówczas 10 tys. ludzi. 16 lutego 1942 r. cała ta gigantyczna instalacja mogła zostać zmieciona z powierzchni Ziemi. Zakład uratował głupi błąd niemieckiego artylerzysty lub – jak przekonywał przez całe życie on sam – ukryta wada techniczna pocisku.

Raj U-Bootów

Wydawałoby się, że Karaiby powinny być ostatnim miejscem, gdzie w 1942 r. można było spodziewać się Niemców. Nic bardziej mylnego. W 1942 r. ów rejon był rajem, ale bynajmniej nie dla turystów, lecz dla U-Bootów. „Nie można było stworzyć nazistowskim dowódcom okoliczności bardziej sprzyjających bezlitosnemu, błyskawicznemu sianiu zniszczenia na morzu" – pisał o sytuacji u wybrzeży USA i na Karaibach Samuel E. Morison, historyk US Navy. „W czerwcu (1942 r.) niemieckie okręty podwodne zniszczyły w Zatoce Meksykańskiej i Karaibach oraz na podejściach do nich więcej statków niż w całym świecie w którymkolwiek miesiącu przed 1942 r.".

Jedną z przyczyn owych klęsk była chciwość, pacyfizm i niefrasobliwość Amerykanów. „Amerykańskie niszczyciele były w tamtym okresie tak słabo wyposażone w sprzęt do poszukiwań [U-Bootów – przyp. J.O.], a załogi tak słabo wyszkolone w działaniach ofensywnych, że wykorzystanie ich w roli wędrownych zespołów do zwalczania okrętów podwodnych było w najlepszym razie marnotrawstwem" – pisał dalej historyk.

Zupełnie nieodpowiedzialnie zachowywało się też samo społeczeństwo. W 1942 r. administracja USA

eprasa.pl 31e9a37c40

zaproponowała, by wszystkie miasta na wybrzeżu atlantyckim oraz w pobliżu baz na Karaibach były całkowicie zaciemnione. Tankowiec płynący na tle rozświetlonego brzegu stanowił bowiem znakomity cel dla okrętu podwodnego. Wywołało to święte oburzenie lobby turystycznego, zwłaszcza na Florydzie. Kiedy bowiem na Atlantyku trwała wojna, w amerykańskich kurortach bawiono się w najlepsze. Zaciemnienie przeforsowano dopiero w kwietniu 1942 r. Cztery miesiące po przystąpieniu USA do wojny. W lutym 1942 r. na Arubie nikt nie wygaszał świateł miast ani portów. Życie koncentrowało się na handlu używanymi samochodami z USA, cenach owoców z Wenezueli, wiadomościach sportowych i amerykańskich melodramatach filmowych. Obrona praktycznie nie istniała. Kilka potężnych dział tkwiło jeszcze w portowych magazynach, na lotnictwo morskie nie można było liczyć.

U-156 dowodzony przez kmdr. ppor. Wernera Hartensteina należał do grupy Neuland składającej się z kilku okrętów, które 16 lutego 1942. miały siać spustoszenie na Karaibach. 19 stycznia U-Booty wypłynęły ze swojego legowiska w Lorient w Bretanii. Pierwsze tygodnie rejsu były nadzwyczaj spokojne, choć niezbyt miłe dla marynarzy. W zimie system grzewczy U-156 działał sprawnie dopiero przy maksymalnej prędkości okrętu, a przez Atlantyk płynął on w celu oszczędzania paliwa tylko na jednym silniku. Dyskomfort powiększała wilgotność, która potrafiła zamienić notesy załogi w bezkształtną masę papierową. O higienie nie było mowy, toteż rychło okręt wypełnił się mieszanką odoru potu, niemytych zębów, uryny, pleśni i przeróżnych smarów. Surrealistyczny był widok kiełbas i szynek z braku miejsca dyndających pośród torped i paneli nastawczych oraz konserw przez dużą część rejsu szczelnie wypełniających jedną toaletę z dwóch.

W tropikach dla odmiany temperatura pod pokładem zaczęła sięgać 40 st. C. Kapitanowie wiedzieli, że w takiej sytuacji nietrudno o awanturę, toteż kiedy tylko mogli, pozwalali załodze wygrzewać się na pokładzie, łowić ryby czy zażywać kąpieli morskiej. Takim sanktuarium dla U-156 były skaliste wysepki Los Monjes u wybrzeży Wenezueli, gdzie marynarze mogli na chwilę zapomnieć o skrajnej siermiędze czekającej pod pokładem. U-156 nie musiał korzystać z zasobów oferowanych przez ludność Karaibów, ale faktem jest, że niejednokrotnie niemieckie okręty podwodne zaopatrywały się u tubylczych żaglówek w świeże owoce, zwłaszcza tam, gdzie nie lubiano Jankesów.

Hartenstein był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Dla większości załogi była to pierwsza w życiu akcja bojowa, więc kapitan wyciskał z marynarzy ostatnie poty, katując ich nieustannym powtarzaniem przeróżnych procedur, ale wymagał też wiele od samego siebie. Załoga nadała mu pseudonim Wściekły Pies. Przez jego lewy policzek biegła blizna, pamiątka po pojedynku na szpady stoczonym kiedyś na studiach. Nie był zbyt towarzyski. Kiedyś w jakimś barze w Lorient przysiadł się do niego Erich Topp, jeden z podwodnych asów. Hartenstein, będąc już po kilku kolejkach, wycharczał do niego: „Moje nazwisko to Hartenstein. Ale jak ty się nazywasz, g.... mnie obchodzi".

Nic nie sprawiało wrażenia, że okręty grupy Neuland służą państwu wyznającemu chorą ideologię. Kapitanowie wyłapywali Radio Atlantic, gdzie grano murzyński jazz, a o polityce w ogóle nie wolno było rozmawiać. Kriegsmarine działała na zachodnim Atlantyku z dużo większym poszanowaniem praw wojny niż Luftwaffe, nie mówiąc już o Heer (wojska lądowe). Na palcach jednej ręki policzyć można ostrzeliwania amerykańskich rozbitków. Wszak Hartenstein zasłynie za pół roku ratowaniem ludzi ze storpedowanej przez siebie brytyjskiej Lakonii i w „podziękowaniu" zostanie za to zbombardowany przez amerykańskiego liberatora.

W Zatoce Meksykańskiej można było zaobserwować niecodzienne jak na tę wojnę sytuacje. Jak pisze Morrison: „Rozbitków [...] czasami częstowano wodą, jedzeniem lub papierosami, a następnie odsyłano ze standardowym żartem o wystawieniu rachunku Rooseveltowi. [...] Kiedy rozbitkowie mogli się w świetle dnia przyjrzeć U-Bootom, meldowali później, iż obsadzili je młodzi, zdrowi, opaleni Niemcy, którzy najwyraźniej świetnie się bawili". 6 maja 1942 r. raptem 100 mil od wybrzeży Alabamy zatopiono amerykański masowiec „Alcoa Puritan". Niemiecki kapitan, zanim zanurzył się w odmętach, krzyknął do rozbitków: „Przepraszam, że musiałem to zrobić. Mam nadzieję, że dacie sobie radę".

Grupa Neuland w akcji

Hartenstein przekazał reszcie dowódców rozkaz adm. Dönitza: „Skoncentrowany atak z zaskoczenia na podejścia do portów na Arubie i Curacao. Atakować pięć godzin przed wschodem słońca 16 lutego. Nie atakować statków niebędących tankowcami, chyba że napotkacie samotny pancernik lub lotniskowiec. Pod żadnym pozorem nie atakować statków, zanim znajdziecie się w przy Arubie, nie wiem, jak bardzo byłyby to kuszące zdobycze. Zdradzicie tylko swoją pozycję. Głównym zadaniem jest zniszczenie tankowców. Po ich zaatakowaniu można użyć artylerii przeciw celom lądowym już w godzinach porannych pierwszego dnia operacji Neuland, jeśli tylko okoliczności okażą się sprzyjające. W wypadku gdyby nie udało się namierzyć żadnego statku,

Werner Hartenstein, kapitan U-156, i znaczek upamiętniający wojenny epizod FOT. ARCHIWUM

eprasa.pl 31e9a37c40

pozwalam na użycie artylerii przeciwko celom lądowym wieczorem pierwszego dnia operacji".

13 lutego 1942 r., już niedaleko Aruby, oficer wachtowy U-156 zobaczył przez peryskop samotny statek pasażerski. Na jego pokładach, jak gdyby nigdy nic, tańczyły sobie pary nieświadome czyhającego pod powierzchnią stalowego drapieżnika. Niemiec nie zamierzał atakować żadnego celu bez rozpoznania okolicznych wód, raf, podejść do portów. U-156 ominął więc Arubę od południa i przyjrzał się położeniu rafinerii Lago w Sint Nicolaas. Laguna, w której znajdowały się port i przylegający do niego zakład, była dla U-Boota niebezpieczna – bardzo płytka, osłoniona zdradziecką rafą. Nocą powierzchnia morza lekko fosforyzowała. W sytuacji spotkania z lotnictwem morskim mogło to oznaczać kłopoty. U-156 popłynął potem nieco na północny zachód i wpłynął do innego portu Aruby – Oranjestad – przypatrując się tamtejszym dokom. Kapitan penetrował wody wokół wyspy przez kilka dni, po czym dał poszaleć marynarzom pośród skał Los Monjes.

16 lutego o godz. 1.35 U-156 był z powrotem przy porcie Sint Nicolaas, czatując w częściowym zanurzeniu. Rekonesans się skończył, przyszedł czas na atak. Załoga U-Boota była znakomicie wyszkolona, ale większość marynarzy nie wąchała jeszcze prochu. Na hasło: „Na stanowiska bojowe" zaczęli więc uwijać się z namaszczeniem i podnieceniem typowym dla młodych adeptów korsarskiego fachu.

Na redzie 900 metrów przed okrętem stał tankowiec „Pedernales". O godz. 2.01 Hartenstein wystrzelił ku niemu z wyrzutni nr 1 torpedę typu G7a, napędzaną klasycznym silnikiem spalinowym, a więc zostawiającym na powierzchni zdradziecki ślad z gazowych bąbli. Gdy znajdowała się jeszcze 700 metrów od celu, kapitan przechylił nieco okręt na sterburtę, aby uderzyć ponownie w inny punkt wrogiego kadłuba. Ta druga torpeda, G7e, miała napęd elektryczny. Teoretycznie bezpieczniejszy dla strzelających, bo nie zostawił śladu bąbli na powierzchni, ale wciąż niedopracowany.

Nie była to jednak walka na wzburzonym morzu, gdzie trzeba się liczyć z wrogimi niszczycielami, ale raczej egzekucja. Zakotwiczony tankowiec pięknie odznaczał się na tle rozświetlonego portu, pełnego niefrasobliwego jankesko-latynoskiego towarzystwa. Po 50 sekundach wstrząsnęły nim dwie eksplozje, unosząc na chwilę kolosa ponad wodę. Dwie minuty później podobny los spotkał okręt „Oranjestad". Hartenstein zapraszał majtków na mostek, aby mogli popatrzeć na swoje dzieło zniszczenia. Był to makabryczny spektakl, albowiem od strony płonących wraków dobiegały przerażające krzyki załóg.

RYS. JACEK GRAMBURG

Kapitan Robert Bruskin, adiutant gen. Franka Andrewsa – głównodowodzącego obrony Karaibów – wspominał widok płonącego „Pedernales": „Eksplozja wyrwała mnie z łóżka. Spojrzałem przez okna. Ogień strzelał wysoko w górę i zdawał się wręcz majestatyczny. Okręt zdawał się rozpadać na dwie części. Płonący olej rozlewał się po całym terenie z powodu ciągłego wiatru. Słyszałem krzyki dochodzące z wody, w której dodatkowo roiło się od barakud".

Felerne działo

Tankowce zostały zniszczone, można było zatem zabierać się do rafinerii. Okręt wynurzył się, odsłaniając działo 105 mm oraz mniejsze 37 mm. Za obsługę największego kalibru na okręcie odpowiadał Kapitänleutnant Dietrich von dem Borne, syn adm. Kurta von dem Borne. Harternstein dał sygnał: „Ognia!", ale z głębi kiosku zamiast typowego wystrzału usłyszał jedynie odgłos rozdzieranego metalu. Wybiegł zaniepokojony na pokład. Lufa działa była rozerwana na kawałki i przypominała surrealistyczny kwiat. Jeden z marynarzy ze strasznymi ranami brzucha leżał obok martwy, a sam dowódca działa miał strzaskaną i krwawiącą stopę. Działo było nie do użytku. Któryś z nieopierzonych marynarzy zapomniał bowiem przed strzałem odkręcić głowicę chroniącą lufę przed morską wodą. Pocisk rozerwał się więc w armacie. Wściekły Hartenstein kazał jeszcze strzelać do rafinerii z działka 37 mm, ale nie wyrządziło ono większej szkody zbiornikom z ropą. Rafineria ocalała. Oddaliło się zatem niebezpieczeństwo, że 10 proc. czołgów walczących z Rommlem w Afryce nie ruszy z miejsca.

Hartenstein obszedł się smakiem i na osłodę storpedował jeszcze tankowiec „Arkansas" w porcie Oranjestad, nie czyniąc mu jednak większej szkody. Okazało się jednak po wielu dniach, że działo na U-156 da się metodami chałupniczymi przywrócić do użytku. Wystarczyło odciąć kawałek zniszczonej lufy. Hartenstein spokojnie zakomunikował, że teraz trzeba będzie po prostu podpływać bliżej nieuzbrojonych tankowców, aby je zniszczyć ogniem działa. Naprawa się udała – marynarze piłowali lufę całą noc za pomocą brzeszczotów. Palnika używać nie mogli – mógł on zdradzić położenie okrętu. Za pomocą tak stworzonego obrzyna U-156 zatopił na Karaibach jeszcze jeden tankowiec. Cała grupa Neuland do marca 1942 r. zatopiła w sumie 45 tankowców.

Tragiczny artylerzysta von dem Borne miał szczęście w nieszczęściu. Rannego odstawiono bowiem po kryjomu na Martynikę, należącą do Francuzów wiernych rządowi w Vichy. Na wyspie amputowano mu stopę i pod koniec wojny przez Hiszpanię trafił do Niemiec. Tam dowiedział się, że wszyscy jego druhowie z U-156 zginęli 8 marca 1943 r. zbombardowani przez amerykański samolot do zwalczania okrętów podwodnych. Von dem Borne oczekiwał, że zostanie odznaczony za rany odniesione w boju. Kriegsmarine stwierdziła jednak, że powstały one na skutek jego niefrasobliwości i niedopełnienia obowiązków i medal się nie należy. Von dem Borne bronił jednak swojego honoru, próbując wykazać, że uderzenie pocisku w zakręconą głowicę ochronną lufy nie spowodowałoby jej rozerwania. Wadliwa musiała być więc sama amunicja. Nie przekonało to jednak dowództwa.

Część badaczy twierdzi, że rafinerię Lago uratował nie tylko błąd artylerzysty, lecz także ostrożność Hartensteina. Gdyby Niemiec zaatakował port z marszu, mógłby trafić w cumujący masowiec po brzegi wypełniony amunicją. Wówczas nie trzeba by nawet otwierać ognia do zbiorników z ropą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31e9a37c40

1941 r. / Świadectwo Guya Liddella z M15

Szczątki messerschmitta Bf 110, pilotowanego przez Rudolfa Hessa

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Polski zamach na Hessa

Radosław Golec

„Kilku polskich żołnierzy odkryło miejsce pobytu Hessa, próbowali się włamać i zostali ostrzelani" – czytamy w raporcie M15

Od czasu zakończenia drugiej wojny światowej w środowiskach jej weteranów i historyków krążyła pogłoska, jakoby przedstawiciele Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie planowali porwanie i zamordowanie Rudolfa Hessa, po dokonaniu przez niego jego słynnego lotu do Szkocji w maju 1941 r. Rewelacje te nie znajdywały jednak potwierdzenia w dokumentacji oraz oficjalnych zeznaniach naocznych świadków. Opublikowane pamiętniki jednego z szefów brytyjskich tajnych służb Guya Liddella, a także ujawniona część tajnych papierów dotyczących zastępcy Hitlera dowodzą jednak, że Polacy zamiary takie żywili.

Od początku lat 30. Liddell zatrudniony był w MI5. Do jego głównych zadań należały rekrutacja agentów i wykrywanie sowieckich szpiegów. Po wybuchu wojny objął stanowisko dyrektora sekcji B w kontrwywiadzie. Zarządzał inwigilacją podejrzanych jednostek na terenie Wielkiej Brytanii i przez jego ręce przepływały wszystkie informacje o działaniach wrogich agentów. Był osobą dobrze poinformowaną i, co dość niespotykane w jego branży, niemal codziennie dyktował swojej sekretarce dzienniki, w których dokładnie opisywał swoją pracę.

Wstępne, choć – jak się potem okazało – spóźnione informacje o planowanym spisku dotarły do kierownictwa MI5 na początku czerwca 1941 r. „Pewna grupa przedstawicieli polskich sił zbrojnych w Szkocji planowała porwanie i zabicie Hessa – zanotował Liddell w dzienniku 8 czerwca. – Trudno powiedzieć, jak daleko sprawa zaszła, w każdym razie istnieje wciąż niebezpieczeństwo, że do takiej próby dojdzie". Co ciekawe, sprawa ta nie zrobiła dużego wrażenia na Angliku. W brytyjskim wywiadzie panowała

eprasa.pl 31e9a37c40

bowiem opinia, że Polacy często inicjują spiski i intrygi, z których jednak nic nie wynika.

Próba zamachu

Pierwszą próbę realizacji swych planów zamachowcy podjęli 19 maja 1941 r. W akcji wzięło udział 17 polskich oficerów i dwóch brytyjskich. Jednym z Anglików był doskonały snajper Alfgar Hesketh-Prichard, syn znanego podróżnika i autora powieści przygodowych. Prichard studiował na Uniwersytecie Cambridge. W ostatnim roku nauki uległ wypadkowi podczas biegu z przeszkodami. Z powodu kontuzji odrzucono jego kandydaturę zarówno do brytyjskich sił powietrznych, jak i wojsk lądowych. Potem udało mu się zdobyć angaż szkoleniowca snajperów. Został pierwszym szefem czeskiej sekcji SOE. To on szkolił dwóch agentów, którzy pod koniec maja 1942 r. dokonali zamachu na Reinharda Heydricha w Pradze. Mógł okazać się niezwykle pomocny Polakom w likwidacji Hessa. Miał dostęp do ośrodka w Pirbright, gdzie przebywali oficerowie zajmujący się więźniem. Dzięki temu mógł zgromadzić niezbędne informacje o środkach bezpieczeństwa zastosowanych w przypadku nazisty.

Spiskowcy planowali podróż z Fortu William, gdzie znajdował się polski ośrodek szkoleniowy, do Aldershot w południowej Anglii. Niedaleko znajdowało się Mytchett, nowe miejsce pobytu Hessa. Zastępca Führera miał tam zostać przewieziony z Londynu 20 maja. Wskazywało to na próbę odbicia więźnia w czasie transportu bądź zaraz po przyjeździe do Mytchett. Polakom udało się dotrzeć jedynie do stacji kolejowej w Aldershot, gdzie zostali aresztowani przez brytyjskie służby. W ujawnionych w 1999 r. aktach MI5 znajduje się jednak notatka sugerująca, że doszło do strzelaniny pomiędzy spiskowcami a Anglikami. „Kilku polskich żołnierzy odkryło miejsce pobytu Hessa, próbowali się włamać i zostali ostrzelani" – czytamy w raporcie. Brak jest jednak szczegółowych informacji na ten temat, wobec tego nie wiadomo, czy do wymiany ognia doszło na dworcu czy w samym Camp Z (ośrodek w Mytchett, gdzie przebywał nazista).

Co kierowało spiskowcami? Część emigracyjnych oficerów obawiała się, że za ich plecami angielski rząd przyjmie propozycje pokojowe wysuwane przez Hessa. W przypadku podpisania przez Churchilla porozumienia z Niemcami sprawa niepodległości Polski pozostałaby na łasce Hitlera. Dotyczyło to zwłaszcza tych polskich żołnierzy, którzy nie mieli bezpośredniego kontaktu z dowódcami bliskimi Naczelnemu Wodzowi i byli odcięci od wiarygodnych informacji. Mogli liczyć tylko na te pochodzące z gazet i plotek przekazywanych drogą nieoficjalną.

Część żołnierzy domagała się natychmiastowych działań, a najbardziej krewka grupa zdecydowała się na desperacki krok, jakim było unieszkodliwienie zastępcy Hitlera i uniemożliwienie dalszych pertraktacji. „Polacy zdają się myśleć, że Hess przybył tu, aby zacząć negocjacje pokojowe i że brytyjski rząd może ulec pomysłowi pozostawienia Polaków w rękach Niemców" – wyjaśniał Liddell. Inną motywacją do przeprowadzenia zamachu mogłaby być chęć zemsty za zbrodnie dokonywane przez Niemców na ziemiach Rzeczypospolitej.

Na początku lipca 1941 r. Liddell wysłał raport w tej sprawie swojemu zwierzchnikowi Davidowi Petrie. Generalny dyrektor MI5 był wściekły, że tak późno dowiedział się o wykryciu spisku. Uważał, że sprawa jest niezwykle poważna. Gdyby zamach zakończył się powodzeniem, jego pozycja oraz reputacja kontrwywiadu byłyby nie do obrony. Liddell przeprosił go, że tak późno go informuje o wszystkim, i zapewniał, że afera jest należycie wyjaśniana. Dwa dni później spotkał się z dwoma ważnymi generałami brytyjskiej armii. Brytyjczycy przesłuchali Pricharda. Zdecydowali się działać szybko w celu powstrzymania Polaków. Podjęli kroki, aby dotrzeć do ich dowódców i wyjaśnić im, jakie szkody mogą wyrządzić swojej sprawie i sprawie sprzymierzonych.

Rudolf Hess FOT. BUNDESARCHIV BILD

Zdecydowali się wysłać do Szkocji „tajniaka" pod jakimś fałszywym pretekstem. Jego zadaniem było dyskretne wybadanie dalszych ewentualnych planów Polaków w tym zakresie. Miał spotkać się z dowódcą 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej Stanisławem Sosabowskim i odwiedzić Fort William, gdzie szkolili się polscy wojacy. Zastanawiano się także nad wysłaniem do obozu jakiegoś ważnego ministra, a nawet samego Churchilla, który uspokoiłby nastroje wśród polskiej kadry oficerskiej. „Wówczas Polacy nie martwiliby się z powodu nieodpowiedzialnych wypowiedzi polityków w brytyjskim parlamencie" – pisał lider MI5.

Z nudy?

Agenci brytyjskiego kontrwywiadu przypuszczali, że działania Polaków mogły wynikać po prostu z bezczynności i nudy. Pojawiła się zatem potrzeba zapewnienia im zajęcia. Wywiad sugerował zorganizowanie im jakiejś formy rozrywki, np. seansów filmowych z polskimi napisami. „To są wielcy patrioci i desperacko chcą brać aktywny udział w wojnie, przez co często odczuwają frustrację. W takich momentach są najbardziej podatni na knucie intryg i spisków" – konkludował Liddell.

Faktycznie, od czasu umiejscowienia armii na Wyspach Brytyjskich polscy żołnierze (poza lotnikami) nie dostali zbyt wiele szans na wykazanie się w walce z Niemcami. Ciągłe szkolenia

eprasa.pl 31e9a37c40

Brytyjczycy obawiali się, że polscy żołnierze będą dążyć do zabicia Hessa

FOT. DOMENA PUBLICZNA

nie mogły zastąpić im możliwości stanięcia oko w oko z wrogiem. Nuda i poczucie bezużyteczności nie tylko doskwierały zwykłym szeregowym, lecz także w ogólnym bilansie niezwykle licznej kadrze oficerskiej. Brytyjczycy zauważyli, że pewne kłopoty sprawiali nawet najstarsi oficerowie. Przykładowo, biorąc sobie za punkt honorowy wyszkolenie się w skokach ze spadochronem, podczas lądowań próbnych często tracili przytomność i doznawali uszczerbków na zdrowiu. Nie pomagało to w odzyskaniu przez warstwę dowódczą utraconego po klęsce wrześniowej poważania i zaufania wśród zwykłych szeregowców.

Mimo poczucia bezczynności, ciągłej tęsknoty za krajem ojczystym i zimnego, deszczowego klimatu Szkocji większość polskich żołnierzy dość dobrze zadomowiła się na nowej ziemi. Szkoci na ogół akceptowali obecność posługujących się dziwnie brzmiącym językiem żołnierzy. Ich dowódcy dbali o to, aby nie dochodziło do konfliktów.

Groźba „szalonych ludzi”

Mimo podjętych prób uspokojenia Polaków Brytyjczycy niezwykle poważnie traktowali groźbę ponowienia zamachu. 6 lipca 1941 r. do Mytchett przybył oficer MI5 Hinchley Cook w celu omówienia kwestii zapewnienia bezpieczeństwa słynnemu więźniowi. Cook rozmawiał w tej sprawie z dowódcami lokalnych garnizonów oraz komendantem Camp Z, Malcolmem Scottem. „Uzgodniono tajne hasła, które miałyby być użyte jako ostrzeżenie w przypadku opuszczenia przez podejrzanych ich dotychczasowego miejsca pobytu” – napisał w pamiętniku Scott. Komendant nakazał strażnikom nocne patrole wewnątrz ośrodka. Ponadto zarządził dodatkowe zabezpieczenie podwójnej bramy wjazdowej na wypadek próby staranowania jej przez Polaków ciężkim samochodem. Sam Hess nie został poinformowany o spisku.

O sprawie spisku na życie najważniejszego więźnia imperium brytyjskiego dowódcy MI5 osobiście poinformowali najwyższe władze. Od tamtego czasu strach przed porwaniem i zabiciem Hessa przez Polaków wywołał lekką paranoję w rządzie Jego Królewskiej Mości. Z ujawnionych w 1992 r. dokumentów wynika jasno, że przez cały pobyt Niemca w Camp Z obawy o jego bezpieczeństwo nie minęły. Wprowadzono dodatkowe zabezpieczenia i zwiększono liczbę strażników w ośrodku.

„Głównym powodem tak dużej ochrony (6 sanitariuszy, trzech oficerów i 20 innej rangi pracowników) jest to, jakkolwiek może wydawać się to niewiarygodne, iż mamy więcej niż jeden twardy dowód, że pewni przedstawiciele sił alianckich stacjonujących w tym kraju przygotowywali plan najazdu na obóz i porwanie więźnia. Utrzymywanie tak licznej ochrony nie ma na celu zapobieżenie ucieczce Hessa, lecz niedopuszczenie do niego szalonych ludzi” – wypowiedział się na ten temat w czerwcu 1942 r. minister spraw zagranicznych Anthony Eden.

Po roku pobytu w Mytchett zastępcę Hitlera zdecydowano się przenieść w bezpieczniejsze regiony Anglii. Ośrodek bowiem znajdował się zbyt blisko Londynu. Dowódcy wojskowi tłumaczyli urzędnikom Foreign Office, że do stolicy w czasie urlopów przyjeżdżali stacjonujący na Wyspach przedstawiciele krajów koalicji antyhitlerowskiej, zatem jakaś grupa mogłaby się zebrać i dokonać szybkiego najazdu na Camp Z. Poza tym obóz znajdował się zbyt blisko rejonu spodziewanej inwazji Niemców i Hess mógłby zostać przez nich łatwo odbity. Użycie go jako zakładnika byłoby wówczas niemożliwe.

W czerwcu 1942 r. słynny więzień został przewieziony do szpitala Maindiff Cort w zachodniej Anglii, gdzie pozostał aż do zakończenia drugiej wojny światowej. 10 października 1945 r. znalazł się w Norymberdze, gdzie zasiadł na ławie oskarżonych obok innych niemieckich zbrodniarzy wojennych. Otrzymał wyrok dożywotniego więzienia, który odsiedział w całości.

Do dziś nie wiadomo, czy próba porwania/zabicia Hessa została podjęta za zgodą i aprobatą polskiego rządu i wyższych oficerów, czy była tylko wybrykiem niezdyscyplinowanych żołnierzy stacjonujących w Szkocji. Należy powątpiewać, czy Naczelny Wódz zdawał sobie z niej sprawę. Trudno wręcz opisać negatywne dla sprawy polskiej konsekwencje międzynarodowe, gdyby się powiodła. Oficjalna pozycja Sikorskiego, jako osoby kontrolującej Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie, zapewne byłaby nie do odbudowania. Ucierpiałyby i tak już nierówne stosunki generała z Brytyjczykami, zwłaszcza w przeddzień niemieckiej napaści na ZSRS, po której Polacy stawali się coraz mniej istotni dla Albionu. Po 22 czerwca wujek Joe wysunął się bowiem na pierwsze miejsce w rankingu najważniejszego alianta koalicji antyhitlerowskiej.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31e9a37c40

Początek XX w. / Kanclerz Rzeszy – Theobald von Bethmann Hollweg

Zwiastun mrocznej epoki

Piotr Semka

To on wysunął w 1914 r. projekt Mitteleuropy zachowującej pozory równouprawnienia państw członkowskich, faktycznie jednak pod przywództwem niemieckim

O tej rocznicy nie będzie zapewne zbyt głośno, przynajmniej nad Wisłą. Sto lat temu, 1 stycznia 1921 r., zmarł Theobald von Bethmann Hollweg, kanclerz, który wprowadził Niemcy w pierwszą wojnę światową. Gdy umierał, jego polityczna ojczyzna – Cesarstwo Niemieckie, zwane także II Rzeszą – nie istniała już od ponad dwóch lat. Nowa republika była kojarzona z socjaldemokracją. Reichswehra była rozbrojona przez aliantów w myśl zapisów traktatu w Wersalu. Nad Strasburgiem i Metzem powiewał francuski tricolore, a Poznań i Bydgoszcz były polskie.

Jakże gorzkie musiało to być dla kogoś, kto stworzył program hegemonii Niemiec nad Europą i sporą częścią Afryki. I – co było paradoksem – kogoś, kogo odepchnięto od realizacji tego programu „niemieckiej woli" wskutek wzrostu znaczenia armii. Znaleźli się bowiem jeszcze twardsi i jeszcze bardziej bezwzględni realizatorzy walki o hegemonię Niemiec.

Świat to za mało

9 września 1914 r., w 40. dniu wojny, kanclerz Bethmann Hollweg zdefiniował w tajnym manifeście cele Niemiec w wojnie. Francji – i tak pozbawionej cztery dekady wcześniej Alzacji i Lotaryngii – postanowiono dodatkowo zabrać zagłębie górnicze Longwy-Briey i twierdzę Belfortu. Niemcy mieli kontrolować francuskie wybrzeże od Belgii do Boulogne. Belgia miała stracić Liège i doce-

FOT. BUNDESARCHIV/BEGW

eprasa.pl 31e9a37c40

lowo Antwerpię, jako kluczowy dla zamorskich planów Rzeszy port mający obsługiwać kolonie. Kraj Walonów i Flamandów miał być niemieckim wasalem. W Afryce i Azji cesarstwo miało zmodyfikować granice kolonii tak, aby scalić swoje posiadłości kolonialne. W przypadku Rosji zapowiadano bliżej niesprecyzowane aneksje terytorialne, które miały być dokładnie określone po ustaleniu się sytuacji wojennej na wschodzie. Chociaż dokument tego nie określał, to w elitach Rzeszy uważano za pewnik jakąś formę połączenia z Rzeszą państw bałtyckich, z tamtejszą niemiecką szlachtą jako elitą przywódczą.

Najciekawsza jest jednak inna, zawarta w dokumencie, inicjatywa Bethmanna Hollwega. Kajzerowski polityk postulował „utworzenie środkowoeuropejskiej unii gospodarczej [...] z udziałem Francji, Belgii, Holandii, Danii, Austro-Węgier, Polski i ewentualnie Włoch, Szwecji i Norwegii".

Jak pisał w swoim manifeście: „Związek ten [...] zachowując pozory równouprawnienia swoich członków, faktycznie jednak pod przywództwem niemieckim, musi ustalić hegemonię gospodarczą Niemiec nad Europą Środkową".

Takie zamierzenia brzmią dziś zaskakująco znajomo.

Mapa Cesarstwa Niemieckiego z 1892 r.

FOT. WIKIPEDIA

Sługa Cesarstwa

Gdy 29 listopada 1856 r. w Hohenfinow w Brandenburgii na dworze miejscowego junkra, Felixa von Bethmanna, święcono narodziny wyczekiwanego syna, wszyscy wróżyli dziecku podtrzymanie sławy rodu. Przygotowano nawet całą sekwencję imion nawiązujących do modnej wówczas maniery średniowiecznego etosu rycerskiego. Theobald Theodor Friedrich Alfred von Bethmann Hollweg był wychowywany w typowo pruskim etosie szlachty wiernej dynastii Hohenzollernów. Wpajano mu cnoty twardości wobec samego siebie, siły woli, lojalności i skrupulatnego wypełniania obowiązków. Trochę światowości i elegancji wprowadzały do tego surowego świata majątku Hohenfinow coroczne wizyty u ciotki w Paryżu. Ale w życiu młodego Theobalda dominowała nauka. Nawet za bardzo – bo inni pruscy synowie ze starych rodów kpili, że za dużo w Theobaldzie filozofa, a za mało „krzepkiego pruskiego rębajły".

Junkrzy mieli rację, wyczuwając w nim kogoś spoza swojej ziemiańskiej kasty. Był formalnie bezpartyjny, ale najbliżej politycznie sytuował się w okolicach Fortschrittlichen Volkspartei – Postępowej Partii Ludowej, ugrupowania mieszczan i wolnomyślicieli. Proponowała ona umiarkowane reformy, ale jednocześnie rygorystyczny rozdział państwa od Kościoła.

W 1905 r. po raz pierwszy dostał szansę na pokazanie, co umie w służbie dla państwa. Został pruskim ministrem spraw wewnętrznych. Jako polityk próbował powstrzymać rozchodzenie się dróg konserwatywnych militarystów z liberalnie nastawionym mieszczaństwem. Próbował też jakoś wmontować socjalistów z SPD w aparat państwa i postulował stworzenie w Prusach Urzędu Opieki Społecznej. Zachował się też dość spokojnie w czasie strajków w obronie polskiej mowy w szkołach Wielkopolski. Zablokował pomysły wysłania wojska i obronił nauczanie katechizmu po polsku.

W 1909 r. awansuje na stanowisko kanclerza Rzeszy. Wciąż jeszcze ma poglądy liberała. Stara się na przykład załagodzić spór z Wielką Brytanią, zaniepokojoną tempem gwałtownej rozbudowy niemieckiej floty. Przegrywa, gdyż cesarz uważniej słucha adm. Alfreda von Tirpitza, który głosi potrzebę wyścigu zbrojeń na morzu z „perfidnym Albionem". Powoli Bethmann Hollweg ulega fatalizmowi nieuchronności wojny. W końcu, mimo liberalnych poglądów, jest wytworem pruskiej machiny administracyjnej. A cesarz zaczyna snuć plany zwycięskiej wojny w celu rozbicia aliansu Rosji i Francji, a Wielką Brytanię pragnie zmusić do uznania niemieckich ambicji stworzenia imperium kolonialnego.

Wojskowi kontra cywile

Pierwsza wojna światowa była pierwszym konfliktem, w którym tak ogromną rolę zyskała propaganda państwowa. A ta od wybuchu wojny szukała jakiegoś wielkiego zwycięstwa do wprawienia Niemców w nacjonalistyczne uniesienie. Okazją do narodowej euforii stała się zwycięska dla Niemiec bitwa nad jeziorami mazurskimi rozegrana między 8 a 15 września 1914 r. Wykreowano wówczas na zbawców narodu dwie znaczące postacie niemieckiej armii – gen. Paula von Hindenburga i jego generalnego kwatermistrza gen. Ericha Ludendorffa. Ów duet zaczął z czasem powoli wierzyć w to, co gazety o nich pisały, i obaj dowódcy uznali, że mają epokową rolę do odegrania. Ludendorff – bardziej obrotny i bezwzględny w tym duecie – zaczął powoli dochodzić do wniosku, że w obliczu wyniszczającej wojny naród, rząd i państwo muszą skupić się wokół dominującej pozycji wojska.

Von Ludendorff miał coraz większy apetyt na władzę, a mało skomplikowany

eprasa.pl 31e9a37c40

wewnętrznie Hindenburg żyrował te działania swoim autorytetem. Obaj wojskowi zaczęli zabierać cywilnemu rządowi coraz więcej uprawnień. Szczególnie od chwili, gdy w 1916 r. Hindenburg został mianowany na stopień marszałka polnego, a nieodłączny Ludendorff objął funkcję szefa sztabu armii.

Na drodze do faktycznej dyktatury wojskowych stał już tylko szef rządu. Bethmann Hollweg, mimo zgadzania się z wojskowymi co do grabieżczych celów wojny, wciąż był przyzwyczajony do formuły rządów konstytucyjnych i władzy gabinetów cywilnych. Pierwszym polem tej cichej rywalizacji był pomysł Ludendorffa na stworzenie wojskowej administracji politycznej zajętych terenów Rosji w 1915 r.

Coś w rodzaju wojskowego państwa, które miało wykonać „niemiecką pracę państwową" na Wschodzie. Na drugi plan zaczął być spychany także cesarz, którego psychiczną słabość Ludendorff trafnie zauważył. Wojskowi przestali traktować kajzera jako partnera do dyskusji o swoich politycznych planach.

Było to coś nowego. Władcy Prus bywali brutalni, tak jak elektor Fryderyk Wilhelm, albo byli utalentowanymi dowódcami wojskowymi tak jak Fryderyk II, ale mieli zwyczaj trzymać władzę w swoich rękach. Szczególnie w czasie wojen.

Po odwołaniu Ericha von Falkenhayna ze stanowiska szefa Sztabu Generalnego 29 sierpnia 1916 r., Ludendorff jako zastępca Hindenburga, został prawdziwym szefem niemieckiej wojny. Stworzono Naczelne Dowództwo Armii zamiast Sztabu Generalnego. Ludendorff obsadzał swoimi ludźmi wszystkie najważniejsze stanowiska kierownicze, zmieniał struktury armii i jeszcze silniej koncentrował wpływy w swoich rękach. A gdy ktoś próbował protestować lub szukał wsparcia u cesarza, chował się za plecami Hindenburga.

Od połowy 1916 r. Naczelne Dowództwo Armii wprowadziło wojskowego męża zaufania do Ministerstwa Spraw Zagranicznych w osobie mjr. Edwina von Stülpnagela (1876–1933), który zaciekle konkurował z Matthiasem Erzbergerem (1875–1921), szefem Centralnego Biura Służby Zagranicznej. Ludendorff był też twórcą brutalnego programu podporządkowania gospodarki potrzebom armii w postaci tzw. programu Hindenburga. Pod tą propagandową nazwą weszła w życie ustawa o służbie pomocniczej z 5 grudnia 1916 r. Wprowadzała ona restrykcyjne środki w celu zapewnienia całościowej gospodarki wojennej, subsydiowania przemysłu zorientowanego na wojnę, obowiązku pracy, zapobiegania strajkom masowym i utrzymywania robotników w ryzach. Po 1917 r. ustawodawstwo to będzie wzorem dla Lenina w projektowaniu gospodarki planowej i komunizmu wojennego.

Kolejnym polem starcia była kwestia reakcji na brytyjską blokadę morską i związanej z tym idei wojskowych, by podjąć nieograniczoną wojnę podwodną przeciwko Wielkiej Brytanii. Bethmann Hollweg ostrzegał, że oznacza to wojnę z USA. Ludendorff i Hindenburg wraz z admirałami Reinhardem Scheerem i Henningiem von Holtzendorffem złamali opór kanclerza i przeforsowali wojnę U-Bootów o kontrolę nad Atlantykiem. Ludendorff pyszałkowato zakładał, że owszem, Waszyngton może przystąpić od wojny, ale lekceważył wartość bojową armii amerykańskiej i wierzył, że wygra wojnę, zanim jankesi się ruszą.

Co ważne – Ludendorff wolał zdominować Bethmanna Hollwega, niż go wysadzać z kanclerskiego siodła. Potrzebował kanclerza jako „piorunochronu", jako „kozła ofiarnego", na którego będzie można zrzucić błędy i niedoskonałości niemieckiej polityki. Ta taktyka się nie udała. Bethmann Hollweg odszedł 13 lipca 1917 r., mając dość roli figuranta.

Wczesnym latem 1917 r. Ludendorff niemal w pełni decydował o polityce zagranicznej i wojennej.

Aby uzyskać znaczny wzrost produkcji broni i amunicji – o 100–200 proc. – Ludendorff zreorganizował niemiecką gospodarkę w 1917 r., tworząc nowe centralne administracje, tylko formalnie zlokalizowane poniżej Ministerstwa Wojny. Do wprowadzania takiej polityki nakłonił czołowych przemysłowców swoich czasów, w tym Carla Duisberga (Bayer AG), Gustava Kruppa von Bohlena i Halbacha (Friedrich Krupp AG), Walthera Rathenau (AEG), Hugona Stinnesa (RWE).

W życie wprowadzono te pomysły Ludendorffa, których wzbraniał się realizować Bethmann Hollweg – pracę przymusową, deportację części ludności z terenów okupowanych, przymusowe zaangażowanie robotników z przemysłów niewojennych (np. włókienniczych) w przemyśle zbrojeniowym i przymusowe zaangażowanie kobiet do pracy przemysłowej.

Kolejni kanclerze byli już figurantami – Georg Michaelis, bezpartyjny fachowiec, rządził 110 dni. Po nim kanclerzem został Georg von Hertling, który wytrwał w fotelu szefa gabinetu 333 dni. Już u schyłku wojny – mianowany w październiku 1918 r. kanclerzem – książę Maksymilian Badeński zdymisjonował Ludendorffa, ale nic już nie było w stanie zapobiec rozlewającej się w Niemczech rewolucji.

To spychanie na dalszy plan urzędu kanclerza Rzeszy było procesem, którego podczas wojny niemal nie zauważało społeczeństwo niemieckie. A jednak była to swoista próba generalna likwidacji demokracji parlamentarnej i cywilnej przed zdobyciem władzy przez Hitlera 12 lat po śmierci Bethmanna Hollwega.

Tylko Hitler wyciągnął ze sprawy wojennej władzy Hindenburga i Ludendorffa konkretny wniosek. Nigdy nie ufał do końca generałom ani nie pozwalał im wpływać na swoje rządy. A po próbie puczu w lipcu 1944 r. z wyraźną satysfakcją podpisywał wyroki śmierci na pruskich generałów.

Paul Hindenburg, Wilhelm II i Erich Ludendorff FOT. WIKIPEDIA

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31e9a37c40

Premier Beniamin Netanjahu i prezydent Donald Trump FOT. SHEALAH CRAIGHEAD/OFFICIAL WHITE HOUSE PHOTO

USA / Izraelskie lobby

Ogon kręci psem

Piotr Zychowicz

Izraelskie lobby to potężna grupa nacisku. Pod jej wpływem – twierdzi dwóch amerykańskich badaczy – Ameryka prowadzi politykę sprzeczną z własnymi interesami

Czym jest izraelskie lobby? Odpowiedź na to pytanie dają prof. John J. Mearsheimer i prof. Stephen M. Walt, autorzy wydanej w 2007 r. głośnej książki „Lobby izraelskie w USA". Według nich lobby nie jest żadnym „spiskiem", jak twierdzą niektórzy. Nie ma ono bowiem jednego kierownictwa. To luźna koalicja rozmaitych organizacji pozarządowych i wpływowych prywatnych osób, w przytłaczającej większości – choć nie tylko – Amerykanów pochodzenia żydowskiego. Flagową jej organizacją jest Amerykańsko-Izraelski Komitet Spraw Publicznych (AIPAC).

Podstawową metodą działania izraelskiego lobby jest wpływanie na polityków startujących w wyborach powszechnych. Kandydatów na kongresmenów, senatorów i prezydenta. Jak? Dysponujące olbrzymimi funduszami lobby wspiera tylko tych, którzy deklarują całkowite i bezkrytyczne poparcie dla Izraela. A tych, którzy starają się traktować równo obie strony konfliktu na Bliskim Wschodzie, niezwykle skutecznie i bezwzględnie zwalcza.

Mearsheimer i Walt opisali w „Lobby izraelskim w USA" wiele przypadków

eprasa.pl 31e9a37c40

amerykańskich polityków, którzy ośmielili się skrytykować działania Izraela – np. łamanie praw człowieka na terytoriach okupowanych – i tracili szanse na wybór do Kongresu. Zajęcie stanowiska nieprzychylnego wobec państwa żydowskiego uznawane jest w USA za „polityczne samobójstwo".

Trudno się więc dziwić, że nikt nie chce kłaść głowy pod topór. Republikanie i demokraci, którzy niemal we wszystkich sprawach mają odmienne zdanie, w jednej kwestii mówią tym samym głosem. Oczywiście w kwestii Izraela. W kampaniach wyborczych politycy obu partii prześcigają się w proizraelskich deklaracjach i licytują się, kto jest większym przyjacielem Izraela. Jeżdżą do Izraela i występują na konferencjach organizowanych przez AIPAC.

Zarówno republikanie, jak i demokraci – napisali we wspomnianej książce Mearsheimer i Walt – obawiają się reprymendy ze strony lobby. Zdają sobie bowiem sprawę z tego, że każdy polityk, który odważy się zakwestionować politykę Izraela, ma małe szanse, żeby zostać prezydentem.

W efekcie wszystkie czołowe instytucje – na czele z Kongresem – obsadzane są ludźmi siedzącymi w kieszeni izraelskiego lobby. Najlepiej wyraził to w 2005 r. Steve Rosen, jeden z czołowych lobbystów AIPAC. Podczas rozmowy z dziennikarzem „New Yorkera" wskazał na leżącą na stole serwetkę.

– W ciągu 24 godzin możemy zdobyć na niej podpisy 70 senatorów – powiedział.

Rzeczywiście w Kongresie trudno usłyszeć głosy krytyczne wobec Izraela i amerykańskiej polityki wspierania państwa żydowskiego. Jeżeli Kongres zajmuje się Bliskim Wschodem, to przemawiają niemal tylko „przyjaciele Izraela" lub Izraelczycy. Gdy zaś należy wesprzeć Izrael jakąś rezolucją lub ustawą, ręce kongresmenów podnoszą się automatycznie. AIPAC dostarcza im nawet broszury, w których informuje, jakie mają zajmować stanowisko i jak głosować.

Media i uniwersytety

Izraelskie lobby stara się również zdominować amerykańską debatę publiczną. Tak aby telewizyjne, radiowe, prasowe i internetowe materiały dotyczące

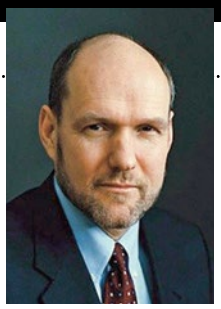

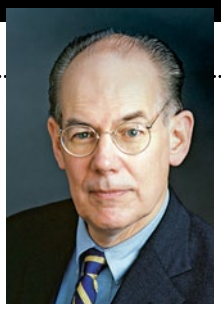

Stephen M. Walt i John J. Mearsheimer

FOT. MATERIAŁY WYDAWCY

JOHN J. MEARSHEIMER I STEPHEN M. WALT „LOBBY IZRAELSKIE W USA"

FIJOR PUBLISHING

Bliskiego Wschodu prezentowały wyłącznie izraelski punkt widzenia. Izrael ma być przedstawiany jako szlachetny bastion demokracji walczący z terrorem, a Palestyńczycy jako rozszalałe dzikusy z nożami w wyszczerzonych zębach.

Amerykanie żydowskiego pochodzenia – czytamy w książce Mearsheimera i Walta – wykorzystują swoje wysokie stanowiska w mediach do prezentowania określonych poglądów na temat Izraela i Bliskiego Wschodu. „Wall Street Journal", „Chicago Sun-Times", „New York Sun", „Washington Times" regularnie publikują artykuły redakcyjne, które wyglądają tak, jakby zostały napisane przez biuro prasowe premiera Izraela.

Jeżeli dziennikarz zdecyduje się zająć stanowisko sceptyczne wobec jakichś działań Izraela, wówczas może spodziewać się kłopotów. Jadowitych napaści na łamach proizraelskich gazet, lawiny telefonów i e-maili od zmobilizowanych przez organizacje żydowskie „oburzonych czytelników". A jeżeli okaże się krnąbrny i niereformowalny, to musi się liczyć z utratą pracy.

W 1991 r. spotkało to nawet reportera gazety „The Jewish Washington Week", Larry'ego Cohlera. Szefowie AIPAC uznali, że w swoich artykułach nie dość entuzjastycznie opisuje on politykę Izraela na Bliskim Wschodzie. Gdy Cohler próbował oprzeć się naciskom, organizacja interweniowała u kilku członków zarządu gazety. Cohler musiał się podać do dymisji.

Podobne praktyki stosowane są wobec niewygodnych wykładowców akademickich. Lobby stara się utrzymywać stały nadzór nad uczelniami. Wykładowcy, którzy pozwolą sobie na uwagi krytyczne wobec Izraela, muszą się liczyć z poważnymi konsekwencjami. Włącznie z relegowaniem z uczelni.

W 2002 r. znany proizraelski działacz Daniel Pipes uruchomił nawet specjalną stronę internetową, na której publikował dane „podejrzanych wykładowców". A żydowskich studentów zachęcał do składania na nich donosów.

Lobby stara się wstrzymywać druk książek stawiających Izrael w niekorzystnym świetle. Doświadczył tego choćby prof. Norman Finkelstein, gdy w 2003 r. wydawał swoją głośną „Wielką hucpę".

„Działania te – piszą Mearsheimer i Walt – mają na celu niedopuszczenie, by Amerykanie zapoznali się z jakąkolwiek krytyką Izraela". Ostre kroki podejmowane przez AIPAC, Ligę przeciwko Zniesławieniu i inne organizacje wchodzące w skład lobby sprawiają, że dziennikarze i naukowcy zaczynają stosować autocenzurę. Stają się konformistami, sami zakładają sobie knebel.

Chodzi o obawę przed utratą pracy i niechęć do odpierania agresywnych ataków, ale przede wszystkim o strach przed oskarżeniem o antysemityzm. Lobby twierdzi bowiem, że każda krytyka Izraela jest de facto przejawem antysemityzmu. Tyle że zakamuflowanym w „antysyjonistycznym opakowaniu".

Oskarżeniem o antysemityzm lobby szafuje niezwykle łatwo i chętnie. Wydaje się to najskuteczniejszym sposobem na zamknięcie ust krytykom Izraela.

Pieniądze i bomby

Politycy wspierani przez izraelskie lobby, kiedy wygrywają wybory, starają się odwdzięczyć swoim hojnym darczyńcom. W efekcie Stany Zjednoczone od lat prowadzą skrajnie proizraelską politykę. Nawet nie ukrywają, że w konflikcie między Palestyńczykami a Izraelczykami faworyzują tych drugich.

Ameryka wspiera Izrael zawsze i wszędzie. Niezależnie od tego, czy państwo żydowskie ma akurat rację, czy jej nie ma, czy postępuje moralnie czy niemoralnie. Izrael mógł więc liczyć na Amerykę, nawet gdy atakował sąsiednie państwa i dopuszczał się zbrodni wojennych na masową skalę.

Tylko w latach 1972–2006 Stany Zjednoczone zawetowały 42 rezolucje Rady Bezpieczeństwa ONZ potępiające Izrael. Podczas izraelsko-palestyńskiego procesu pokojowego Amerykanie, zamiast odgrywać rolę neutralnego,

eprasa.pl 31e9a37c40

skłaniającego obie strony do kompromisu mediatora, twardo reprezentowali stanowisko izraelskie.

Drugi sposób na wspieranie Izraela ma wymiar materialny. Co roku Stany Zjednoczone pompują w państwo żydowskie grube miliardy dolarów. Mearsheimer i Walt wyliczyli, że w 2005 r. wojskowe i gospodarcze wsparcie dla Izraela wyniosło w sumie 154 mld dol.! W przytłaczającej większości były to darowizny lub bezzwrotne pożyczki.

Amerykańska pomoc finansowa dla Izraela wypłacana jest z góry, a Stany Zjednoczone muszą się zapożyczyć, żeby ją wypłacić. W efekcie izraelski boom gospodarczy i prosperity zostały w dużej mierze sfinansowane przez amerykańskiego podatnika.

Co niesłychane – czytamy w „Lobby izraelskim w USA" – Izrael jest jedynym beneficjentem amerykańskiej pomocy gospodarczej, który nie musi się rozliczać z jej wydatkowania. Taka hojność szczególnie uderza, gdy zdamy sobie sprawę, że Izrael nie jest biednym czy zdewastowanym krajem. Przeciwnie, Izrael to obecnie nowoczesna potęga przemysłowa. Mimo to ten relatywnie bogaty kraj pozostaje największym odbiorcą amerykańskiej pomocy.

Również swoją militarną przewagę nad państwami arabskimi Izrael w dużej mierze zawdzięcza USA. Amerykanie przekazują Izraelowi olbrzymie ilości swojego najnowocześniejszego uzbrojenia i dzielą się z nim najnowocześniejszymi technologiami wojskowymi.

W efekcie amerykańska broń jest często używana wbrew amerykańskiemu prawu. Tak było choćby w czasie wojny z Libanem w 2006 r., gdy w izraelskich bombardowaniach zginęło blisko tysiąc cywili, w tym kilkaset dzieci. Izraelczycy zrzucili wówczas na Liban dziesiątki tysięcy niezwykle groźnych amerykańskich bomb kasetowych.

Szerokiego strumienia dolarów i broni płynącego z Ameryki do Izraela nie wstrzymały nawet tak groteskowe sytuacje jak sprzedaż przez Izrael tajnych amerykańskich technologii wojskowych Chińczykom.

Według Government Accountability Office – piszą Mearsheimer i Walt – państwo żydowskie przeprowadza najbardziej agresywne operacje szpiegowskie przeciwko Stanom Zjednoczonym spośród wszystkich sojuszników. Izrael ciągle usiłuje wykraść amerykańskie tajemnice wojskowe.

Izraelskie służby do tych operacji werbują często Amerykanów żydowskiego pochodzenia uplasowanych na ważnych stanowiskach w przemyśle i armii. Najgłośniejsza była bez wątpienia sprawa analityka wojskowego Jonathana Pollarda. W latach 80. wykradał on tajne amerykańskie dokumenty wywiadowcze i przekazywał je Mosadowi. Został schwytany i 30 lat spędził w więzieniu.

Izrael jest więc wobec Ameryki nieszczery. Mearsheimer i Walt w swojej książce opisali, jak izraelscy przywódcy wielokrotnie łamali słowo dane amerykańskim prezydentom podczas negocjacji pokojowych z Palestyńczykami. Najpierw godzili się na jakieś ustępstwa, za co inkasowali od Stanów Zjednoczonych pokaźne sumy, a następnie – ku konsternacji Waszyngtonu – wycofywali się z wszelkich ustaleń. Nigdy jednak nie wyciągnięto wobec nich żadnych konsekwencji.

Ktoś mógłby pomyśleć – napisali Mearsheimer i Walt – że hojność Stanów Zjednoczonych da Waszyngtonowi znaczny wpływ na postępowanie Izraela, ale to nieprawda. W trakcie negocjacji z Izraelem amerykańscy przywódcy mogą jedynie używać marchewki (więcej pomocy), ale nie kija (groźba jej wstrzymania).

Amerykański polityk, który ośmieliłby się zasugerować coś podobnego, byłby skończony. Zostałby okrzyknięty antysemitą, a pieniądze na jego kampanie przestałyby płynąć i już nigdy nie zostałby wybrany na żadne stanowisko.

Efekt działań izraelskiego lobby jest więc kuriozalny. Najpotężniejsze globalne imperium w dziejach naszej planety spełnia wszelkie zachcianki malutkiego kraju położonego na światowych peryferiach. Ogon kręci psem.

Wojna z terrorem

Izraelskie lobby zdaje sobie sprawę z kuriozalności tej sytuacji. Usilnie stara się więc przekonać amerykańską opinię publiczną, że bezwarunkowe wsparcie Stanów Zjednoczonych dla państwa żydowskiego wcale nie jest irracjonalne. Że interesy Izraela zawsze pokrywają się z interesami Ameryki.

Tak zaś oczywiście nie jest. Bardzo często interesy obu państw są sprzeczne. A konsekwencje proizraelskiej polityki bywają dla Stanów Zjednoczonych opłakane.

Pierwszy dogmat, który lobby stara się wpoić Amerykanom, jest doskonale znany: „Izrael jest sprawdzonym sojusznikiem w walce z terrorem". Innymi słowy, jakieś nieznane bliżej działania podejmowane przez Izraelczyków mają powodować, że Ameryka jest bezpieczniejsza. Mniej narażona na ataki islamskich terrorystów.

Jak udowadniają Mearsheimer i Walt, w rzeczywistości jest odwrotnie. Bezkrytyczne wsparcie udzielane Izraelowi przez Stany Zjednoczone jest główną przyczyną występowania nastrojów antyamerykańskich w świecie islamu. A co za tym idzie, główną przyczyną

eprasa.pl 31e9a37c40

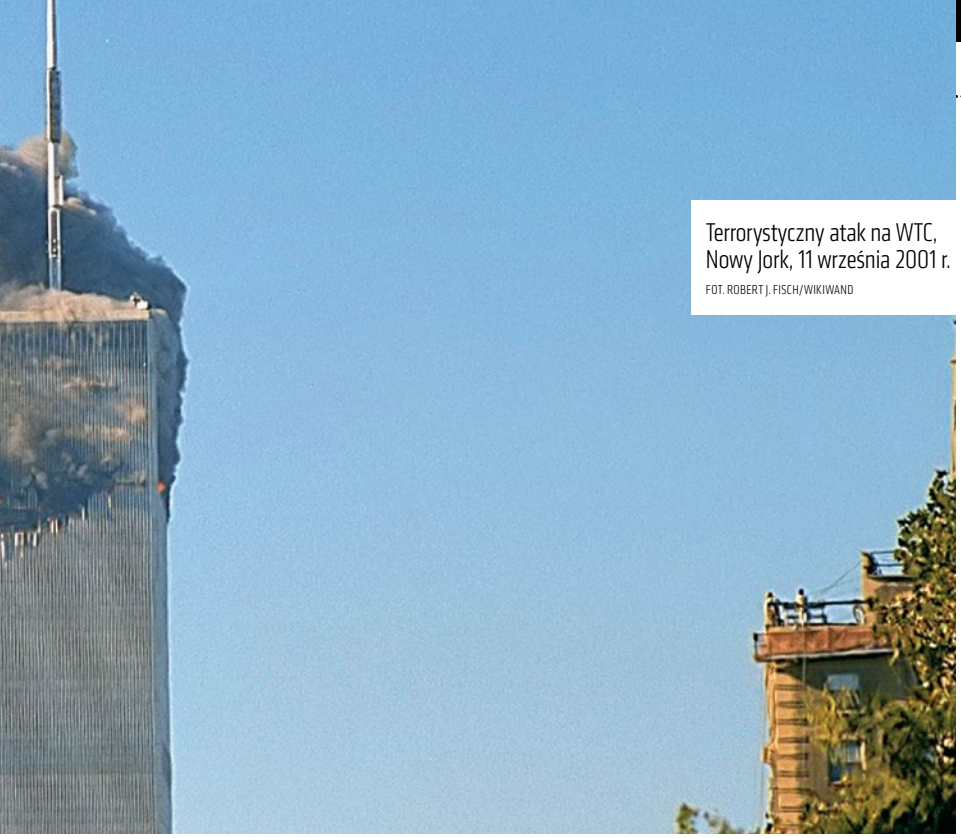

Terrorystyczny atak na WTC, Nowy Jork, 11 września 2001 r.
FOT. ROBERT J. FISCH/WIKIWAND

ataków terrorystycznych wymierzonych w amerykańskie cele.

Według autorów książki modelowym tego przykładem był szokujący atak na Amerykę dokonany w 2001 roku przez Al-Kaidę, który pochłonął blisko 3 tys. ofiar śmiertelnych.

Osama Bin Laden – piszą autorzy „Lobby" – przed 11 września wielokrotnie potępiał Stany Zjednoczone za wsparcie udzielane Izraelowi wymierzone przeciwko Palestyńczykom i wzywał na tej podstawie do dżihadu przeciwko Ameryce. Komisja do sprawy 11 września potwierdziła, że motywacją Bin Ladena i pozostałych najważniejszych członków Al-Kaidy było zarówno izraelskie postępowanie wobec Palestyńczyków, jak i amerykańskie poparcie udzielane Izraelowi.

Sojusz amerykańsko-izraelski nie sprawia więc, że Stany Zjednoczone są bezpieczniejsze. Sprowadza on na Stany Zjednoczone i na amerykańskich obywateli poważne niebezpieczeństwo.

Według Mearsheimera i Walta Izrael przestał być dla Stanów Zjednoczonych „strategicznym atutem", a stał się poważnym ciężarem. Przekonanie, że Izrael jest „wielkim amerykańskim lotniskowcem" na Bliskim Wschodzie, jest bowiem mitem.

Przykładem może być choćby wojna w Zatoce Perskiej w 1991 r. Amerykanie, aby nie zniszczyć kruchej koalicji wymierzonej w Saddama Husajna, robili wówczas wszystko, żeby Izrael stał się „niewidzialny" i żeby utrzymać państwo żydowskie jak najdalej od konfliktu. Stany Zjednoczone nie korzystały z baz na terenie Izraela ani z izraelskiej pomocy wojskowej. Mało tego, musiały chronić izraelskie terytorium przed irackimi pociskami Scud!

Izrael w żaden znaczący sposób nie pomógł również USA podczas wojen w Afganistanie i w Iraku. Mało tego, w 2003 r. swoją katastrofalną w skutkach decyzję o zaatakowaniu Iraku prezydent George W. Bush podjął między innymi pod wpływem izraelskiego lobby. Jego przedstawiciele przekonali go bowiem, że broń masowego rażenia – którą rzekomo miał Husajn – stanowi śmiertelne zagrożenie dla Izraela.

Izraelskie lobby bardzo chętnie sięga po argumenty natury moralnej.

Po pierwsze, Stany Zjednoczone muszą popierać Izrael ze względu na „wspólnotę wartości" łączącą oba narody. Izrael ma być „jedyną demokracją na Bliskim Wschodzie" i jedynym krajem regionu przestrzegającym praw człowieka.

Po drugie, w tradycji Ameryki leży wspieranie słabszych. Czyli właśnie Izraela. Malutkiego państewka, bastionu zachodniej cywilizacji, otoczonego morzem agresywnej arabsko-islamskiej dziczy.

Po trzecie, ponieważ Żydzi padli ofiarą Holokaustu, zasługują teraz na szczególną ochronę i specjalne traktowanie.

Mearsheimer i Walt udowadniają, że wszystkie te argumenty są bez pokrycia. To izraelska propaganda, którą bezkrytycznie powtarzają amerykańskie media.

To Izrael jest bowiem silniejszy od wszystkich swoich sąsiadów razem wziętych. Nowoczesna, znakomicie uzbrojona izraelska armia dysponuje miażdżącą przewagą nad armiami państw arabskich. Izrael jest również jedynym krajem regionu posiadającym broń nuklearną. A co za tym idzie – jego istnienie wcale nie jest zagrożone.

Trudno również uznać Izrael za „bastion praw człowieka". Wystarczy przypomnieć metody stosowane przez to państwo na palestyńskich terytoriach okupowanych i w Libanie. Regularne bombardowania dzielnic mieszkaniowych, masakry ludności cywilnej, codzienna dyskryminacja ludności arabskiej…

Nie da się kwestionować tego, że Żydzi często byli ofiarami w Europie – piszą Mearsheimer i Walt – ale w ciągu ostatniego stulecia często stawali się prześladowcami na Bliskim Wschodzie. A najczęściej ich ofiarą padali Palestyńczycy. Można znaleźć dobre argumenty za tym, że obecna polityka Stanów Zjednoczonych jest niezgodna z fundamentalnymi amerykańskimi wartościami. Gdyby Stany Zjednoczone miały opowiedzieć się po którejś ze stron, biorąc pod uwagę jedynie moralność, wspierałyby Palestyńczyków, a nie Izrael. W końcu Izrael jest bogaty i ma najsilniejsze wojsko na Bliskim Wschodzie. Żaden kraj nie rozpoczynałby z nim celowo wojny. Izrael ma poważny problem z terroryzmem, ale jest to konsekwencją kolonizacji palestyńskich terytoriów okupowanych. Z kolei Palestyńczycy nie mają swojego państwa, są biedni, a przed nimi niepewna przyszłość.

Wnioski wypływające z książki Johna J. Mearsheimera i Stephena M. Walta trudno podważyć. Autorzy wykazali, że potężne żydowskie lobby działa na szkodę interesów Stanów Zjednoczonych, a także – w perspektywie długoterminowej – na szkodę Izraela. Gdyby Ameryka prowadziła wobec tego kraju normalną, racjonalną politykę, już dawno wymusiłaby na nim zawarcie pokoju z Palestyńczykami.

Jaką receptę mają obaj autorzy? Bardzo prostą.

Nadszedł czas – napisali – by traktować Izrael jak każde inne państwo oraz by Stany Zjednoczone udzielały mu pomocy pod warunkiem zakończenia okupacji Palestyny i podporządkowania izraelskiej polityki amerykańskim interesom.

Jak pokazały wydarzenia ostatnich lat – przede wszystkim przeniesienie przez Donalda Trumpa ambasady USA do Jerozolimy – wezwanie obu badaczy było wołaniem na puszczy. Niepoprawni romantycy!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31e9a37c40

1921 r. / Antybolszewickie powstanie czerwonych marynarzy

Atak czerwonoarmistów na zbuntowanych marynarzy

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Bunt w Kronsztadzie

Mikołaj Iwanow

W 1921 r. bolszewicy utopili we krwi powstanie marynarzy. Brutalną pacyfikacją kierował przyszły marszałek Tuchaczewski

W krwawym szlaku komunizmu sowieckiego jest jeden epizod, który przeraża swą okrutnością i bezwzględnością, wyróżniając się nawet na tle innych zbrodni komunistycznych. Chodzi o zdławienie powstania marynarzy Floty Bałtyckiej w Kronsztadzie w 1921 r. Była to prawdopodobnie jedna z ostatnich odsłon czerwonego terroru czasu rewolucji, torująca drogę o wiele bardziej okrutnemu i krwawemu „terrowi stalinowskiemu".

Kronsztad – miasto portowe i forteca – utworzone zostało z początkiem XVIII w. przez cara Piotra I jako forpoczta obrony nowej stolicy imperium. Zajmuje ok. jednej trzeciej wyspy Kotlin w Zatoce Fińskiej Morza Bałtyckiego, 30 km od Sankt Petersburga. Przez lata było główną bazą rosyjskiej Floty Bałtyckiej. Zatoka Fińska zamarza na zimę. Gruba warstwa lodu w okresie pomiędzy listopadem a kwietniem łączy wyspę z metropolią.

Marynarze Floty Bałtyckiej, najmocniejszej floty Imperium Rosyjskiego, to swoista gwardia bolszewików. To oni stanowili najliczniejszy i najdzielniejszy oddział zbrojny partii Lenina. Do dziś uchodzą za swoisty motor wielkiej rewolucji rosyjskiej (bolszewickiej), zwanej także październikową z 1917 r. W toku tego przewrotu rewolucyjnego na wezwanie Lenina w Piotrogrodzie (byłym Sankt Petersburgu) z Kronsztadu wylądowało kilkanaście tysięcy marynarzy, którzy przekształcili się w główną siłę uderzeniową bolszewików, szturmem zajęli wszystkie kluczowe instytucje rządowe, zaatakowali Pałac Zimowy i aresztowali cały rząd tymczasowy Kiereńskiego.

Marynarz w pierwszych miesiącach po przewrocie bolszewickim stał się symbolem niezłomnego komunisty, do końca oddanego partii Lenina. Lew Trocki w 1917 r. nazwał kronsztadowców „dumą i chwałą rosyjskiej rewolucji". Później ci marynarze z Bałtyku walczyli dzielnie na wszystkich frontach wojny domowej, to oni dławili liczne powstania chłopskie przeciwko władzy sowieckiej, oni szli na czele Armii Czerwonej w wojnie polsko-sowieckiej lat 1919–1920, oni łamali kręgosłup czołowej sile antybolszewickiej – kozactwu rosyjskiemu.

Sowiety bez komunistów!

I raptem, kiedy zwycięstwo w wojnie domowej już było zapewnione, ci słynni marynarze zbuntowali się, wystąpili przeciwko bolszewikom tak ostro, że nie chcieli iść na żadne kompromisy z Leninem. Rzucili militarne wezwanie swym wczorajszym mocodawcom. Jak mogło się to stać? Dlaczego nastąpiła taka metamorfoza, tak kardynalna zmiana nastrojów politycznych?

Istnieje kilka przyczyn, które wywołały powstanie w Kronsztadzie:

• Był to czas, kiedy cały kraj ogarnęło ogromne niezadowolenie polityką tzw. komunizmu wojennego, wprowadzonego przez bolszewików, aby wyżyć, aby zapobiec klęsce głodu w miastach Rosji. „Komunizm wojenny" polegał na prostej konfiskacie produktów rolnych przez specjalne oddziały Czeka Dzierżyńskiego. W ten sposób bolszewicy, ratując miasta, często skazywali na śmierć głodową ludność wiejską. Nastroje oburzenia tą polityką rozpowszechniły się również w Armii Czerwonej i we Flocie Bałtyckiej.

eprasa.pl 31e9a37c40

• Skład załóg statków wojennych w Kronsztadzie w okresie wojny zmienił się nieznacznie. Przeważającą część załóg liniowców (ponad 80 proc.) stanowili weterani, zaciągnięci do służby przed rewolucją, zasłużeni dla sprawy zwycięstwa rewolucji. Co siódmy marynarz należał do partii komunistycznej. Natomiast w garnizonie wśród żołnierzy przeważali młodzi rekruci zmobilizowani przeważnie na wsi. Przynieśli oni ze sobą ogromną niechęć do polityki Lenina i jego partii.

• Zaopatrzenie Floty Bałtyckiej w produkty żywnościowe było tak marne, że załogi niektórych statków otrzymywały niemal głodowe racje żywnościowe.

• Spory wpływ na marynarzy miały antybolszewickie partie lewicowe, przede wszystkim anarchiści. Przywódca rebelii Stepan Pietriczenko był sympatykiem tej właśnie partii.

• Najważniejszą przyczyną buntu była jednak sytuacja w Piotrogrodzie, gdzie dojrzewały nastroje rewolucyjne w związku z potwornym kryzysem gospodarczym. Ludność byłej stolicy imperium, w tym również robotnicy, znajdowała się na skraju głodu.

W Piotrogrodzie bolszewicy zmuszeni zostali 1 marca do zamknięcia dziewięciu przedsiębiorstw, zatrudniających 2 tys. ludzi. Dziesięć dni później wydano rozporządzenie o likwidacji kolejnych 93 zakładów. W odpowiedzi wybuchły strajki. Na wiecach robotniczych przyjmowano rezolucje, żądające pozbawienia bolszewików władzy. Rozpoczęły się masowe aresztowania. Czeka nie przebierała w środkach. Część aresztowanych rozstrzelano.

Pod wpływem tych wydarzeń 1 marca na pl. Kotwicznym w Kronsztadzie zwołano mityng, w którym wzięło udział ponad 16 tys. marynarzy i żołnierzy garnizonu twierdzy. Lenin, zaniepokojony rozwojem wydarzeń, skierował na ten mityng jednego ze swych najbliższych współpracowników, Michaiła Kalinina, pełniącego obowiązki przewodniczącego Wszechrosyjskiego Centralnego Komitetu Wykonawczego Rad. Nie pomogło, nominalny szef państwa sowieckiego został wyśmiany i wygwizdany. W żadnym stopniu nie udało mu się wpłynąć na nastroje mas i uspokoić marynarzy.

Przyjęto rezolucję wymagającą od bolszewików przeprowadzenia nowych wolnych wyborów do rad robotniczo-chłopskich, zapewnienia wolności słowa i druku, swobody działania dla lewicowych partii socjalistycznych, wolności zebrań, swobody zrzeszania się w związkach zawodowych i innych organizacjach, uwolnienia więźniów politycznych, zniesienia przywilejów dla członków partii komunistycznej oraz położenia kresu polityce „komunizmu wojennego". Na mityngu wybrano również Tymczasowy Komitet Rewolucyjny (TKR) ze starszym marynarzem Stepanem Pietriczenką na czele.

Michaił Tuchaczewski FOT. WIKIPEDIA

Następnego dnia aresztowano czołowych bolszewików Kronsztadu, z komisarzem politycznym Floty Bałtyckiej Kuźminem na czele. Jednak miejscowe Czeka i szkoła czerwonych kursantów prawie w pełnym składzie opuściły wyspę.

Powstania marynarzy bałtyckich nie można było przemilczeć lub ignorować. Było to powstanie w samym sercu władzy bolszewickiej – w cytadeli, symbolizującej zwycięstwo bolszewików. Nie można było tego przemilczeć również dlatego, że TKR zajął nieprzejednaną pozycję wobec partii komunistycznej. Mocna radiostacja floty zaczęła na cały świat nadawać wezwania do obalenia Lenina i jego rządu. Na wyspie rozpoczęto masowy druk ulotek i odezw do robotników Piotrogrodu. Dostarczano je do miasta z pomocą specjalnych oddziałów marynarzy.

W jednej z odezw pisano: „Towarzysze, robotnicy i marynarze Armii Czerwonej! My w Kronsztadzie wiemy, jak wy i wasze rodziny cierpią pod dyktaturą. Obaliliśmy stare komunistyczne rady, a prowizoryczny komitet rewolucyjny przygotowuje wybory do nowych rad, które będą wolno wybrane. Wyrażać one będą wolę społeczeństwa i garnizonu, a nie grupy ogłupiałych komunistów. Nasza sprawa jest słuszna. Wypowiadamy się za władzą rad, a nie partii. Żądamy, aby masy pracujące mogły same wybierać swoich przedstawicieli. Nasze żądania nie docierają do rad »kupionych« przez partię. Ich jedyną odpowiedzią na nasze sprawiedliwe żądania są strzały".

Główne hasło powstańców brzmiało: „Sowiety bez komunistów". Żądano przekazania władzy w kraju bezpartyjnym. Lenin dopatrywał się głównego niebezpieczeństwa w tym, że powstańcy nie domagali się restauracji monarchii lub rządu tymczasowego, lecz żądali powrotu do pierwotnych haseł rewolucji bolszewickiej: władza narodowi, nie partii bolszewickiej.

8 marca 1921 r. w Moskwie rozpoczął prace X Zjazd Rosyjskiej Komunistycznej Partii (bolszewików) – RKP(b). W swym referacie sprawozdawczym Lenin sporo uwagi poświęcił powstaniu marynarzy kronsztadzkich. Stwierdził, że stanowi ono śmiertelne zagrożenie dla partii i państwa sowieckiego, wezwał do jak najszybszego jego stłumienia bez względu na koszty.

Atak po lodzie

Zdławienie powstania okazało się jednak nie tak łatwą sprawą. Kronsztad otaczały sztuczne wyspy z fortami obronnymi. Uzbrojenie fortów składało się z 10- i 12-calowych ciężkich dział morskich, zdolnych odeprzeć każdy atak z kierunku zachodniego. Forty posiadały także ruchome baterie obronne, które można było wykorzystać do ostrzału w innych kierunkach. Garnizon twierdzy liczył ponad 26 tys. marynarzy i żołnierzy. Ludność cywilna zamieszkała na wyspie nie przekraczała 25 tys. osób. Byli to robotnicy portowi, rzemieślnicy i urzędnicy oraz inni zatrudnieni preważnie do obsługiwania Floty Bałtyckiej. Główną siłę uderzeniową powstańców stanowiły zacumowane w porcie liniowce „Gangut", „Pietropawłowsk" i „Sewastopol". Ich ciężkie działa trzymały pod ostrzałem całą przestrzeń wodną od brzegu Zatoki Fińskiej do Piotrogrodu.

Kolejną poważną przeszkodą w zdławieniu powstania był brak czasu po stronie bolszewików. Na początku marca Zatoka Fińska oddzielająca Kronsztad od lądu stałego była jeszcze skuta lodem, jednak wkrótce powinno było nastąpić jego tąpnięcie i wtedy po

eprasa.pl 31e9a37c40

Mapa Petersburga i Kronsztadu

MAPA PETERSBURGA I KRONSZTADU

wiosennych roztopach Kronsztad byłby nie do zdobycia. Dlatego głównodowodzący Armii Czerwonej Lew Trocki wydał rozkaz natychmiastowego stworzenia grupy uderzeniowej w celu przeprowadzenia ataku po zamarzniętym morzu. Na czele grupy postawiono niedoszłego pogromcę Polaków pod Warszawą w 1920 r., wówczas 28-letniego byłego oficera gwardii carskiej Michaiła Tuchaczewskiego, który mimo niepowodzeń w wojnie polsko-sowieckiej nadal był uważany na Kremlu za najbardziej skutecznego i utalentowanego dowódcę Armii Czerwonej. Miał również ogromne zaufanie strony głównodowodzącego.

Tuchaczewskiemu udało się w stosunkowo krótkim czasie stworzyć mocne zgrupowanie armijne, zdolne do przeprowadzenia ataku na twierdzę. 7 marca rozpoczął się ostrzał artyleryjski umocnień kronsztadzkich, który trwał nieprzerwanie w ciągu wszystkich 11 dni oblężenia. Obrońcy odpowiadali salwami ciężkiej artylerii liniowców. Ściągnięto również lotnictwo. Oprócz bomb czerwone samoloty zrzucały na twierdzę ulotki wzywające obrońców do zaprzestania walki. Ci jednak, mimo grożącego im niebezpieczeństwa, pozostawali nieugięci, tym bardziej że pierwszy szturm na Kronsztadu podjęty przez Tuchaczewskiego 8 marca, załamał się krwawo. Co więcej, jeden z atakujących pułków poddał się powstańcom i większość jego żołnierzy przyłączyła się do obrońców twierdzy. Odparto również dwa kolejne szturmy 11 i 12 marca głównie dzięki celnym strzałom ciężkiej artylerii liniowców, która niszczyła poszycie lodowe.

Sytuacja wyglądała dla bolszewików beznadziejnie. Zdecydowano się więc na środki bezprecedensowe. W jednostkach, które nie wykazały odpowiedniego hartu ducha podczas pierwszego natarcia, rozstrzelano co piątego żołnierza. Wtedy Tuchaczewski wydał rozkaz ostrzelania liniowców pociskami armatnimi z gazami bojowymi. Jednak warunki atmosferyczne nie pozwoliły na wykonanie tego rozkazu. Tuchaczewski nie zrezygnował ze swego zamiaru wykorzystania broni chemicznej. Oddziały pod jego dowództwem szeroko wykorzystywały gazy bojowe podczas stłumienia powstania chłopskiego latem 1921 r. w guberni tambowskiej.

Na chwilę abstrahujmy od dziejów powstania kronsztadzkiego i zadajmy sobie pytanie: Czy ten niezwykle ambitny, stanowczy i bezwzględny dowódca Armii Czerwonej był w stanie wykorzystać gazy bojowe pod Warszawą latem 1920 r.? I co przeszkodziło mu to zrobić?

Z całej Rosji zaczęto ściągać pod Kronsztad jednostki elitarne, oddane partii. W szeregi atakujących włączono ponad 300 delegatów X Zjazdu RKP(b), którzy natychmiast z sali posiedzeń ruszyli na front. Siedemdziesięciu z nich później poległo lub zostało rannych podczas walk. Stworzono z czekistów tzw. oddziały zaporowe, które szły za atakującymi i miały za zadanie rozstrzeliwać tych, którzy by zawrócili. Dla wszystkich atakujących pilnie uszyto białe okrycia maskujące. W nocy z 16 na 17 marca do decydującego ataku ruszyło niemal 40 tys. żołnierzy wspartych lotnictwem i artylerią. Tym razem powstańcy nie wytrzymali zmasowanego ataku, tym bardziej że część z nich uwierzyła zapewnieniom propagandy bolszewickiej o możliwej amnestii.

Oddziały bolszewickie wkraczyły do miasta wieczorem 17 marca. Rozpoczęły się ciężkie walki uliczne, które gdzieniegdzie przekształcały się w rzeź marynarzy. Co najmniej 7 tys. obrońców zostało zgładzonych podczas szturmu, 11 tys. raniono. Tuchaczewski opisał finalne dzieje szturmu w sposób następujący: „[…] byłem 5 lat na wojnie, ale takiej rzezi jeszcze nie przeżyłem... Marynarze walczyli jak dzikie zwierzęta. Nie wiem, skąd brali jeszcze tyle siły do walki. Każdy dom przez nich zajęty musiał zostać zdobyty szturmem".

W tej sytuacji część załóg liniowców zdecydowała się na zbiorowe samobójstwo. Planowano wysadzić w powietrze liniowce razem z pozostałą załogą i jeńcami bolszewickimi, znajdującymi się na pokładzie. Na szczęście do tych planów nie doszło. 18 marca o godz. 5 ostatnie walki w Kronsztadzie wygasły. Ośmiu tysiącom powstańców na czele ze Stepanem Pietriczenką udało się po lodzie uciec do Finlandii, gdzie zostali internowani.

W Kronsztadzie rozpoczęła się rozprawa z ocalałymi i tymi, którzy nie mogli uciec. Na postawie wyroków sądów rewolucyjnych skazano na śmierć i rozstrzelano 2103 powstańców. Zgodnie z osobistym rozkazem Dzierżyńskiego pierwsza publiczna kaźń przez rozstrzelanie odbyła się na pl. Kotwicznym 20 marca. Zgładzono 13 przywódców powstania, którym nie udało się uciec do Finlandii. 6459 osób skazano na więzienie i obozy koncentracyjne. Wiosną 1922 r. przeprowadzono masowe wysiedlenie mieszkańców Kronsztadu.

Powstanie marynarzy Floty Bałtyckiej w Kronsztadzie, razem z chłopską rebelią w guberni tambowskiej, stało się mocnym impulsem zmuszającym Lenina i jego partię do zmiany polityki „komunizmu wojennego" na NEP (nowa ekonomiczna polityka), która pozwoliła częściowo odbudować gospodarkę i odsunąć widmo głodu powszechnego. Kronsztad był dla bolszewików szokiem, uprzedzającym o utracie zaufania nawet w wojsku. Szokiem było również to, że w całej prawie 5-milionowej Armii Czerwonej znalazło się zaledwie kilka pewnych jednostek, które poszły do boju bez obawy, że przejdą na stronę wroga.

Na zakończenie odnotujmy, że dziś wyspa Kotlin z Krosztadem już nie jest wyspą; połączono ją wielkim nasypem i mostem z lądem. Z Sankt Petersburga można tam dojechać autobusem i obserwować potężne forty i resztki artylerii obronnej. Muzeum powstania kronsztadzkiego na razie brak, mimo że prezydent Borys Jelcyn swym ukazem zrehabilitował powstańców w 1994 r. Już nie najmocniejsza, lecz nadal potężna flota Rosji zmieniła swą bazę i przeniosła się z Kronsztadu do Kaliningradu i Bałtyjska, tuż przy polskiej granicy. Czyżby to był znak czasu?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31e9a37c40

Sławomir Koper

Król estrady

1890–1960 / Życie, kobiety i kariera Fryderyka Járosyego

Był jedną z najbardziej barwnych postaci przedwojennej Warszawy. Kobiety kochały się w nim na zabój

Każdy szanujący się kabaret miał swojego konferansjera, ale za prawdziwego króla stolicy uznawano Fryderyka Járosyego. Uważano go za Węgra, ale sam zainteresowany w ogóle nie znał tego języka. Jego ojciec był pochodzenia chorwacko-węgierskiego, matka była Austriaczką, urodził się w Czechach w mieście Žižkov, uczył w Pradze, chętnie przebywał w Wiedniu, studiował w Lipsku i Monachium. Jego córka zauważyła kiedyś, że „modlił się po niemiecku, myślał po angielsku, kochał po rosyjsku, a tęsknił chyba… po polsku".

Nad Wisłę przyjechał po raz pierwszy w 1924 r. razem z Niebieskim Ptakiem – berlińskim kabaretem „białych" Rosjan. Wizyta zespołu wzbudziła prawdziwą sensację, polscy recenzenci zachwycali się poziomem artystycznym kabaretu. Po premierowym programie za jedyny zgrzyt uznano konferansjerkę po niemiecku i rosyjsku, co kilka lat po odzyskaniu niepodległości źle się kojarzyło.

Przed drugim programem zdecydowano się na zapowiedzi po polsku, a na scenie miał stanąć Járosy. Był tylko jeden problem – Fryderyk z ogóle nie znał naszego języka.

„Niewiele było czasu – wspominał Antoni Słonimski. – Całą noc przy kawie i koniaku spędziłem w hotelu Bristol, ucząc Járosyego. Bestia była tak zdolna, że nad ranem mówił już za dobrze. Pozostawał jeszcze problem widowni. Co odpowiedzieć, gdy ktoś z sali zwróci się z jakąś uwagą? Járosy umiał już swój tekst, ale nie rozumiał po polsku. Zaproponowałem mu zwrot uniwersalny: »Motorniczemu surowo zabrania się rozmawiać z pasażerami«. Udało się, bo w dniu premiery ktoś istotnie odezwał się z widowni i gdy Járosy wygłosił tę czysto warszawsko-tramwajową sentencję, dostał rzęsiste brawa".

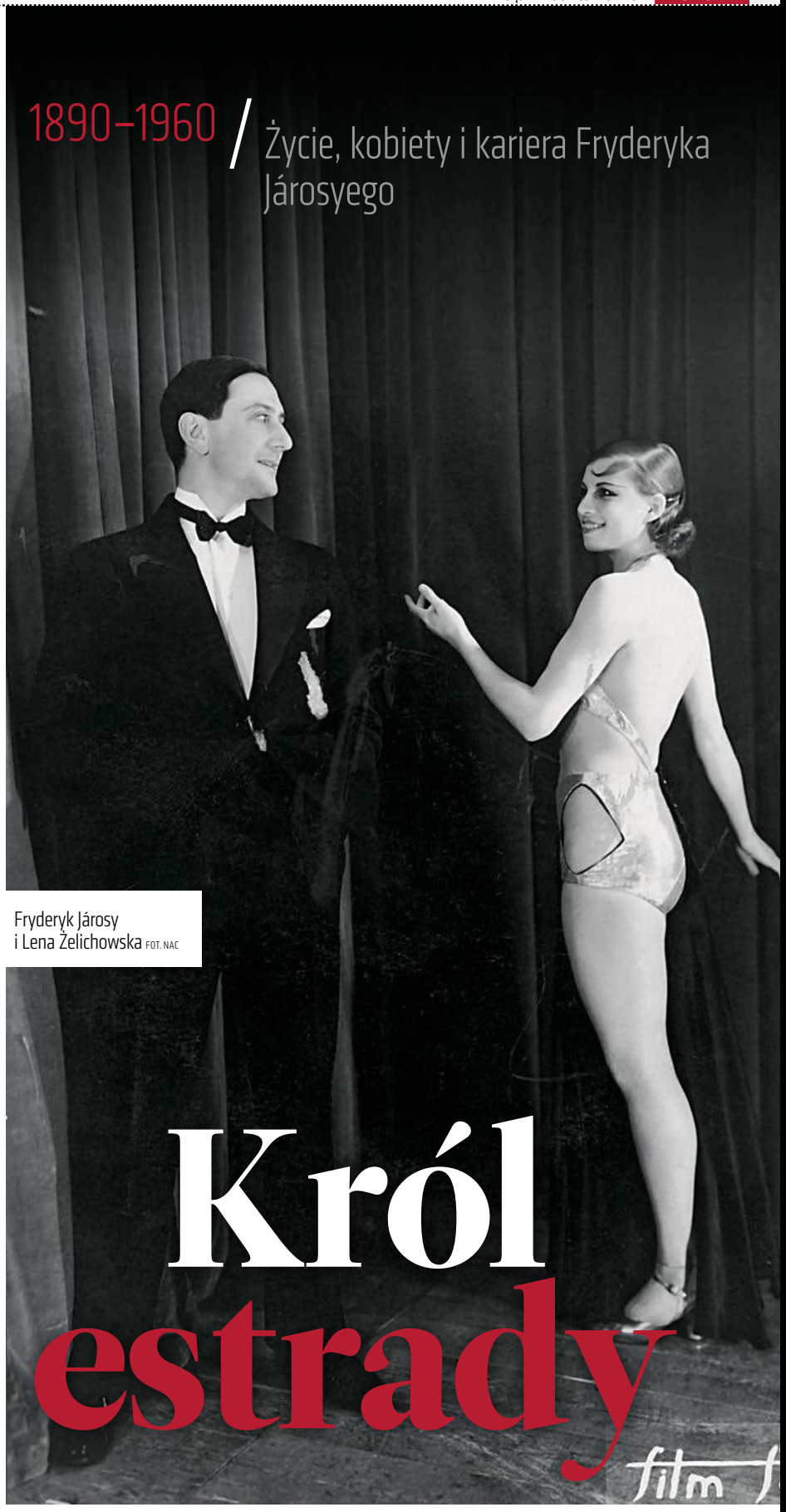

Fryderyk Járosy i Lena Żelichowska FOT. NAC

eprasa.pl 31e9a37c40

Járosy miał fenomenalne zdolności lingwistyczne, oprócz niemieckiego opanował angielski, francuski, rosyjski. Z Rosji pochodziła zresztą jego żona, sam mieszkał tam przez kilka lat do wybuchu rewolucji. Następnie z rodziną przeniósł się do Berlina, gdzie żył w środowisku emigracji rosyjskiej.

Járosy i kobiety

Niebieski Ptak występował w Warszawie przez kilka tygodni, ale Járosy pozostał na stałe nad Wisłą. Podobno nagle zapałał uczuciem do miasta, ale nie zakochał się „ani w kolumnie Zygmunta, ani w moście Kierbedzia, lecz w Ordonównie". Na kolacji wydanej w Bristolu na cześć rosyjskich artystów siedział obok początkującej artystki i oczarował ją zupełnie.

Problemem było jednak to, że Járosy był żonaty i nie zamierzał się rozwieść. Jego żona nigdy nie wróciła do równowagi psychicznej po ucieczce z Rosji przed bolszewikami. Wpadła w nieuleczalną depresję. Jej choroba zbiegła się z wyjazdem męża do Warszawy, dwojgiem dzieci już wcześniej zajmowała się rodzina. Járosy widywał się z nimi właściwie tylko podczas wyjazdów zagranicznych. Fryderyk nigdy nie rozwiódł się z żoną – uważał, że byłoby to nieeleganckie i naraziłoby chorą kobietę na dodatkowy stres. Mało mówił o swoim życiu prywatnym – niektórzy ze zdziwieniem zauważali na jego biurku fotografie dzieci.

Járosy uczynił z konferansjerki prawdziwą sztukę. Przed nim i po nim zapowiadało wielu innych, czasami byli to aktorzy z dużym doświadczeniem scenicznym, ale przetrwał tylko mit wielkiego Fryderyka. Nie było to łatwe zadanie, konferansjer łączył widowisko w jedną całość, zajmował widownię podczas zmiany dekoracji, zabawiał publiczność aktualnymi dowcipami i aluzjami politycznymi. Określał rytm widowiska, tłumaczył niejasności, prowokował reakcję.

Járosy szybko się nauczył polskiego, ale zawsze mówił z obcym akcentem. Ze swojej dziwacznej polszczyzny uczynił jednak potężny środek komiczny. To był jego znak rozpoznawczy, z którego nie chciał rezygnować. Każdy program rozpoczynał się od wyjścia Járosyego przed kurtynę, którą trzymał jedną ręką, po czym następowało słynne: „Prouszi państwa", którego nie sposób oddać w wersji pisanej. Podobno ten, kto tego nie usłyszał na żywo, nigdy nie zrozumie…

Fryderyk Járosy na reklamowym plakacie

FOT. STARE KINO.PL

Fryderyk grał po prostu siebie, nie kreował nikogo na potrzeby sceny. Był komentatorem, zachowywał jednak dystans do publiczności, do siebie samego i do całego przedsięwzięcia. Widzowie byli zachwyceni – odnosili wrażenie, że korzystają z usług najwyższej klasy specjalisty. Podobno „grał na publiczności jak na skrzypcach", a w jego ustach każdy żart nabierał specyficznego uroku.

„Konferansjer w Warszawie cudowne życie – mówił podczas jednego z programów. – Może co rok powtarzać te same dowcipy! Bo co rok jest nowa publiczność. Kto w zeszłym roku mógł sobie pozwolić na bilet do teatru, ten już w tym roku nie może. Gdzie, pytam się, są ci dyrektorzy banków, którzy tu siadywali w zeszłym roku? Albo w ciupie, albo w 32. rzędzie! A kto wie, gdzie my wszyscy będziemy na przyszły rok siedzieć…".

Járosy szybko zdominował scenę Qui pro Quo. Stał się reżyserem, autorem tekstów, jednym z dyrektorów. I on ocalił kabaret po secesji w 1925 r., kiedy większość gwiazd odeszła do Perskiego Oka.

„Kobieta jest jak kołnierzyk – mawiał Fryderyk. – Bo dopiero jak ma się ją na szyi, widzi się, jaki to numer". Czarujący światowiec był wrażliwy na wdzięki niewieście, podczas swojej stołecznej kariery związał się kolejno z trzema artystkami swojego kabaretu. Jako pierwsza ofiarą jego wdzięku padła Ordonka – z nią też zamieszkał wkrótce po swoim przyjeździe do Warszawy.

Járosy nie uznawał alkoholu, miał jednak słabość do kart i potrafił przegrać duże sumy. Podobnie było z ruletą – kiedy byli z Ordonką na francuskiej Riwierze, zostawiał w kasynach poważne pieniądze. Jednak przynajmniej zabezpieczył partnerkę – w hotelowym sejfie zdeponował sumę umożliwiającą opłacenie rachunku i powrót do kraju.

Jednak nawet Ordonka nie potrafiła na dłuższy czas związać go ze sobą. Kiedy w Qui pro Quo pojawił się balet, nawiązał romans z jedną tancerek – Stefanią Górską. Sprawa ujrzała światło dzienne podczas gościnnych występów kabaretu w Przemyślu. Járosy odmówił zerwania z dziewczyną i Ordonka wyrzuciła go ze wspólnego pokoju w hotelu George we Lwowie.

Po tych doświadczeniach Fryderyk uznał, że potrzebuje swobody, i Stefania Górska to zaakceptowała. Z niej również uczynił gwiazdę kabaretu, a później jej miejsce zajęła Zofia Terné. Járosy nigdy nie wiązał się z paniami z „publiczności" i co kilka lat odmładzał partnerki. Jednak cała trójka jego byłych i aktualnych partnerek grała cały czas na jednej scenie! To było chyba trudniejsze dla Wgra niż prowadzenie kabaretu…

Járosy miał jeszcze jedną ważną cechę charakteru – był lojalny wobec kraju, który go przygarnął, i wobec ludzi, wśród których żył. Nie opuścił Polski przed wybuchem wojny ani po jej rozpoczęciu. Postanowił dzielić losy swojej ojczyzny z wyboru i swoich przyjaciół.

Ucieczka do getta

25 października 1939 r. Járosy i Zofia Terné zostali aresztowani przez gestapo. Węgrowi zarzucono antyhitlerowską działalność przed wojną i zdradę, miał bowiem austriacki paszport. Przesłuchania trwały kilka miesięcy, Niemcy namawiali Járosyego do przyjęcia obywatelstwa Rzeszy, co dla okupantów byłoby ogromnym sukcesem propagandowym. Był tylko jeden problem – Járosy uważał się za polskiego patriotę.

Zofia Terné pochodziła z Równego i została deportowana na sowiecką stronę, natomiast jej partner został skazany na 10 lat obozu karnego.

„Zrozumiałem, że to wyrok śmierci, i postanowiłem uciekać – wspominał po latach. – Kiedy znajdowałem się w drodze powrotnej z gestapo na Daniłowiczowską w towarzystwie sześciu żandarmów obok Hotelu Europejskiego, wpadł mi nagle do głowy szatański plan. Zwróciłem się do

eprasa.pl 31e9a37c40

najstarszego z ekipy z prośbą, aby mi pozwolił ogolić się u mojego stałego fryzjera w tym hotelu. Wachmajster oczywiście długo się namyślał i w końcu zgodził się, dając mi na to dosłownie pięć minut, wydając jednocześnie rozkaz podwładnym, aby obstawili wejście do zakładu, sam zaś udał się do środka za mną. Tam skierowałem się momentalnie do tylnego wejścia prowadzącego do hotelu i, znając doskonale rozkład hotelowy, zacząłem uciekać. Nie widziałem nikogo i niczego, pędziłem jak szalony, przewracając i potrącając po drodze wszystko i wszystkich".

Ucieczka powiodła się, Járosy dotarł do Jerzego Jurandota, który ulokował go na strychu. Zapuścił brodę i wąsy, założył okulary w drucianej oprawce i jako Franciszek Nowaczek – Czech mieszkający w Warszawie – mógł czasami pokazać się na ulicy. W stolicy rozpuszczono plotkę, że nie żyje (odbyło się nawet nabożeństwo w intencji spokoju jego duszy), ale Niemcy dalej go poszukiwali. W pewnym momencie jedynym rozsądnym wyjściem z sytuacji było ukrycie się w getcie u zaprzyjaźnionego małżeństwa – tam Niemcy nie prowadzili dokładnej ewidencji ludności. I tak człowiek, któremu hitlerowcy proponowali status reichsdeutscha, dobrowolnie znalazł się w getcie. Po pierwszych masowych wywózkach przedarł się na „aryjską stronę".

Zamieszkał na Nowym Świecie u Agnieszki i Romualda Rochackich. Pracowali oni dla AK, z tego okresu pochodzą też wierszyki i teksty satyryczne, które Járosy pisał na potrzeby konspiracji. Kolejną kryjówką był sublokatorski pokój przy Filtrowej, do którego zabrała go Janina Wojciechowska. Była jego partnerką aż do śmierci.

W pierwszych dniach powstania warszawskiego Járosy został ranny, a wygnany z Warszawy znalazł się w Buchenwaldzie (Janina Wojciechowska w Ravensbrück). Tam udało mu się zbiec z transportu przeznaczonego do egzekucji i ostatecznie trafił do armii Andersa.

Powojenny los

W Polskich Siłach Zbrojnych znalazła się znaczna grupa artystów przedwojennych scen kabaretowych. Docierali różnymi drogami: wyzwoleni z obozów, ewakuowani z ZSRS, uciekinierzy z terenów okupowanych przez Niemców i Sowietów. Z nich Fryderyk odtworzył skład Cyrulika Warszawskiego, wystawiając pierwsze programy dla polskich żołnierzy. Cieszyły się one ogromnym powodzeniem.

Niestety, po ewakuacji do Anglii coś się zacięło w zespole. Marian Hemar odmówił dalszej współpracy – uważał, że w zmienionej sytuacji politycznej odgrzewanie starych numerów nie ma sensu.

Cyrulik Warszawski grał w domu Stowarzyszenia Samopomocy Lotników – premiera kabaretu odbyła się niezwykle uroczyście przy udziale generałów Andersa i Bora-Komorowskiego, premiera Arciszewskiego i wdowy po gen. Sikorskim. Kabaret przygotował tylko trzy premiery, po czym zaprzestał działalności. Polskich aktorów w Londynie było za dużo, publiczności zbyt mało, a bilety za drogie. Polscy emigranci, bez względu na wcześniejsze zasługi musieli iść do ciężkiej fizycznej pracy – nie stać ich było na odwiedziny w kabarecie.

Niepowodzeniem zakończył się też wyjazd do Palestyny. Fryderyk podpisał kontrakt na pół roku, ale pech dalej go prześladował. Wybuchła wojna arabsko-żydowska i niebawem wraz z Janiną został bez środków do życia. Nie wypłacano im honorariów i tylko dzięki pomocy przyjaciół powrócili do Anglii.

Tam również nie wiodło im się najlepiej. Hemar nie chciał współpracować z Fryderykiem – był autorem, reżyserem i wykonawcą swoich programów. A Járosy mógł stanowić dla niego konkurencję, Fryderyk jednak nigdy publicznie nie skrytykował byłego przyjaciela.

Nadal usiłował utrzymać się ze sceny – grał w teatrze Feliksa Konarskiego, konkurencyjnego wobec sceny Hemara. Doraźnie przyjmował oferty prowadzenia konferansjerki na okolicznościowych imprezach, czasami brał udział w audycjach Wolnej Europy. Ale te z reguły nie przynosiły żadnego dochodu, a na stałe zatrudnienie nie miał co liczyć. Zawsze jednak dbał o wygląd i chociaż ubierał się bardzo skromnie, to jednak ze śladami „przedwojennej wytworności i elegancji".

Janina Wojciechowska dbała o niego, nie cieszyła się jednak popularnością wśród emigracji. Sprawiała wrażenie „kobiety zimnej, oschłej, niechętnej każdemu, kto przekraczał próg ich skromnego mieszkania". Ona też odwiodła Fryderyka od pomysłu powrotu do Polski.

Járosy otrzymał bowiem propozycję poprowadzenia teatru Syrena w Warszawie oraz pracy pedagogicznej. Gwarantowano mu mieszkanie i całkiem przyzwoite zarobki. Fryderyk odmówił, powołując się na stan zdrowia, nie chciał też rozstawać się z Janiną, która wykluczała powrót do kraju.

Przeszedł trzy zawały serca, prawie nie wychodził z domu. W sierpniu 1960 r. w Viareggio spotkał się z żoną, długo rozmawiali, następnego dnia miał się spotkać z córką i synem. W nocy powalił go jednak kolejny atak serca, którego już nie przeżył. Janina Wojciechowska, chociaż oficjalnie nigdy nie była żoną Járosyego, to za zgodą jego dzieci używała nazwiska partnera.

„Wojnar-Girls" z kabaretu Qui Pro Quo FOT. NAC

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Ważniejsza bibliografia: S. Grodzieńska, „Urodził go Niebieski Ptak", Warszawa 1988; M. Groński, „Jak w przedwojennym kabarecie. Kabaret warszawski 1918–1939", Warszawa 1987; J. Jurandot, „Dzieje śmiechu", Warszawa 1965; K. Krukowski, „Moja warszawka", Warszawa 1957; A. Mieszkowska, „Jestem Járosy! Zawsze ten sam", Warszawa 2008; A. Słonimski, „Alfabet wspomnień", Warszawa 1975; T. Wittlin, „Pieśniarka Warszawy. Hanka Ordonówna i jej świat", Warszawa 1990.

eprasa.pl 31e9a37c40

Kalendarz A.D. 1921 / 100 lat temu zdarzyło się w Polsce...

Wojna, wojna i po wojnie...

Maciej Rosalak

Traktat ryski oddał bolszewikom Mińsk i inne tereny wschodnie wyzwolone przez polską armię

W 1921 r. trzy wydarzenia stały się szczególnie istotne dla przyszłości Polski. Po pierwsze, Sejm Ustawodawczy uchwalił konstytucję nadającą ustrój i kształt II Rzeczypospolitej. Z pewnymi zmianami ta ustawa zasadnicza obowiązywała do kwietnia 1935 r. Po drugie, podpisany został traktat pokojowy ze Związkiem Sowieckim, kładący kres dwuletniej wojnie i mający zabezpieczyć naszą granicę wschodnią. Wreszcie, po trzecie, plebiscyt, potem kolejne powstanie śląskie i na koniec decyzja aliantów w sprawie Górnego Śląska rozstrzygnęły kwestię tej uprzemysłowionej dzielnicy, tak potrzebnej gospodarce kraju.

Wojna, wojna i po wojnie... – chciałoby się z ulgą powiedzieć. Wydawałoby się, że oto, po bojach stoczonych na wschodzie i na zachodzie, przyszedł czas niezakłóconego rozwoju ojczyzny, normalnego życia i pracy w pokoju. Sporo faktów – również poniżej przytoczonych, także z dziedziny ekonomii, kultury czy sportu – na to wskazywało. Nam, z perspektywy historii, na obraz zwycięskiej Polski kładzie się ponury cień Września '39. Polacy przed stuleciem mogli jednak czuć słuszną dumę z Niepodległej i z siebie samych, radość i energię do podejmowania wyzwań nadchodzących dni...

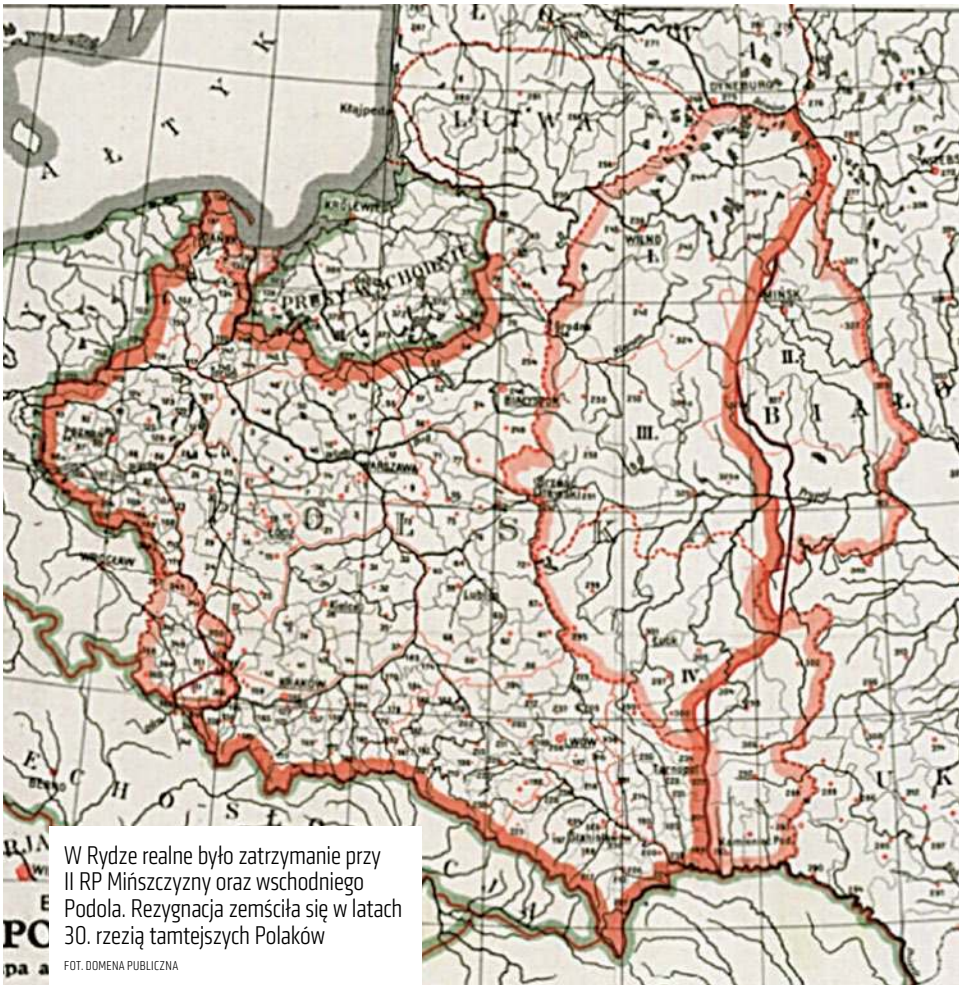

W Rydze realne było zatrzymanie przy II RP Mińszczyzny oraz wschodniego Podola. Rezygnacja zemściła się w latach 30. rzezią tamtejszych Polaków

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Styczeń

USTĄPIENIE DASZYŃSKIEGO – 4 stycznia premier Wincenty Witos przyjął dymisję wicepremiera Ignacego Daszyńskiego. Ustąpił on z rządu po niemal pół-

eprasa.pl 31e9a37c40

rocznym sprawowaniu tego stanowiska, które objął w Rządzie Obrony Narodowej, gdy bolszewicy parli na Warszawę. Powodem złożenia dymisji była ustępliwa wobec Sowietów polityka zagraniczna gabinetu Witosa po odniesionym na polu walki polskim zwycięstwie.

KOMISARZ W GDAŃSKU – 24 stycznia brytyjski gen. Richard Haking został pierwszym wysokim komisarzem Ligi Narodów w Wolnym Mieście Gdańsku. Wcześniej był tu głównodowodzącym okupacyjnego kontyngentu alianckiego. Podczas wojny polsko-bolszewickiej, gdy niemieccy dokerzy gdańscy odmówili pod koniec lipca rozładunku statku z amunicją dla Polski, zmilitaryzował port i wysłał po ładunek żołnierzy brytyjskich.

Luty

ORDER ORŁA BIAŁEGO – 4 lutego Sejm mocą ustawy odnowił Order Orła Białego jako najwyższe odznaczenie państwowe II RP. W okresie międzywojennym otrzymało go 24 obywateli polskich (w tym – z urzędu – Naczelnik Państwa i wszyscy trzej prezydenci II RP) oraz 88 cudzoziemców (monarchów i prezydentów, premierów, członków rodzin panujących, ministrów). Ustanowił także drugie – po Orderze Orła Białego – najwyższe odznaczenie państwowe: Order Odrodzenia Polski, przyznawany za wybitne zasługi dla kraju.

NOWE WOJEWÓDZTWA – 19 lutego utworzono województwa poleskie i wołyńskie. Ziemie te, odzyskane podczas wojny 1920 r., stanowiły pomost między Wileńszczyzną na północy a Małopolską Wschodnią na południu.

SOJUSZ Z FRANCJĄ – 21 lutego w wyniku rozmów Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego i szefa polskiej dyplomacji Eustachego Sapiehy w Paryżu zawarto polsko-francuską tajną konwencję wojskową, która zobowiązywała strony do udzielenia sobie pomocy militarnej w przypadku agresji ze strony Niemiec, a także pomocy Francji w przypadku agresji sowieckiej na Polskę. Dwa dni wcześniej podpisano umowę polityczną i traktat sojuszniczy. Weszły w życie po podpisaniu w roku następnym umowy ekonomicznej.

Marzec

„DZIELNE PTASZKI" – 1 marca weszły do służby trałowce redowe ORP „Czajka", ORP „Jaskółka", ORP „Mewa" i ORP „Rybitwa". Były to pierwsze i jedyne całkowicie zaprojektowane i wykonane w Polsce okręty wojenne. Mężnie walczyły we Wrześniu '39, zasługując na nazwę „dzielnych ptaszków".

Z RUMUNIĄ – 3 marca Polska zawarła z Rumunią układ o wzajemnej pomocy militarnej w razie ataku ze strony Rosji. Ów pierwszy z traktatów polsko-rumuńskich wynegocjował w poprzednim roku gen. Tadeusz Rozwadowski.

PREMIERA – 16 marca premiera filmu niemego „Cud nad Wisłą" w reżyserii Ryszarda Bolesławskiego (właśc. Srzednickiego, 1889–1937) – ułana z wojny bolszewickiej, wybitnego filmowca, którego wspaniałą karierę w Hollywood przerwał atak serca.

KONSTYTUCJA II RP – 17 marca została uchwalona Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej, zwana później marcową. Wprowadziła egalitarny ustrój republiki demokratycznej o parlamentarno-gabinetowym systemie sprawowania rządów. Czynne prawo w wyborach do Sejmu przysługiwało wszystkim obywatelom, którzy ukończyli 21 lat, a do Senatu – 30 lat. Bierne prawo wyborcze – odpowiednio – 25 i 40 lat. Większość sejmowa – składająca się z narodowców i ludowców – ograniczyła rolę wybieranego przez Zgromadzenie Narodowe (łącznie Sejm i Senat) na siedmioletnią kadencję prezydenta RP, obawiając się, że będzie nim Piłsudski. Prezydent otrzymał podobne uprawnienia co obecnie, poza inicjatywą ustawodawczą i prawem weta wobec ustaw uchwalanych przez Sejm. Weto mógł zgłaszać tylko Senat. Struktura niezawisłego sądownictwa – powszechnego i administracyjnego – była niemal identyczna z obecną, z tym że spory między administracją rządową a sądownictwem rozstrzygał Trybunał Kompetencyjny, a nie, jak dziś, Trybunał Konstytucyjny.

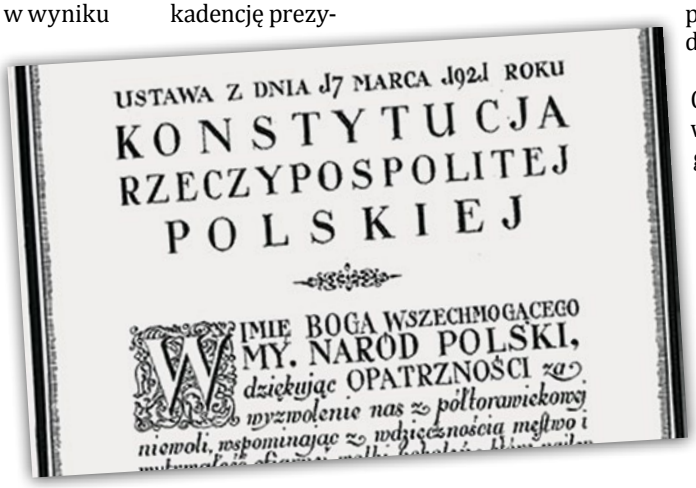
USTAWA Z DNIA 17 MARCA 1921 ROKU
KONSTYTUCJA
RZECZYPOSPOLITEJ
POLSKIEJ
W IMIE BOGA WSZECHMOGĄCEGO
MY, NARÓD POLSKI,
dziękując OPATRZNOŚCI za
wyzwolenie nas z półtorawiekowej
niewoli, wspominając z wdzięcznością męstwo i

POKÓJ Z SOWIETAMI – 18 marca w Rydze podpisano – po trwających pięć miesięcy negocjacjach – traktat pokojowy z Rosją sowiecką i Ukrainą sowiecką. Wytyczał on granicę, nie wszędzie dochodzącą jednak do linii, jaką osiągnęły zwycięskie wojska polskie. Rządowo-sejmową delegację polską z Janem Dąbskim na czele zdominowali narodowcy i ludowcy, którzy sprawiali wrażenie, jakby bolszewicy nadal stali pod Warszawą. Odstąpienie Sowietom zdobytego Mińska oznaczało kres planów federacyjnych na Białorusi. Podczas poufnych rozmów z sowieckim przedstawicielem, Adolfem Joffe, Dąbski zgodził się na udział w rokowaniach bolszewików reprezentujących rzekomo Ukrainę zamiast sojuszników z URL Symona Petlury. Prowadziło to do konfliktu polsko-ukraińskiego zamiast wspólnej obrony na południowym wschodzie. Traktat nie dawał więc rękojmi bezpieczeństwa Polski w dalszej perspektywie, co w tragiczny sposób okazało się we Wrześniu '39. Nie zapobiegł także dywersji komunistycznej. Osłodą były: wymiana jeńców, zgoda na powrót Polaków do ojczyzny, zwrot zagrabionych dzieł sztuki oraz odszkodowania za zabory w wysokości 30 mln rubli w złocie. Ostatniego z tych przyrzeczeń Sowieci w ogóle nie dotrzymali, a inne – nie w pełni.

PLEBISCYT NA ŚLĄSKU – 20 marca na Górnym Śląsku odbył się plebiscyt, w którym nieco ponad 40 proc. głosujących opowiedziało się za przynależnością do Polski. Nadal istniejąca na całym obszarze plebiscytowym niemiecka administracja, sprowadzanie na koszt państwa dawnych niemieckich mieszkańców, ostra propaganda i szantaż wobec propolskich Ślązaków nie sprzyjały polskim interesom. Nie sprzyjała też interpretacja wyników plebiscytu

eprasa.pl 31e9a37c40

Wojciech Korfanty
FOT. ZBIORY MUZEUM HISTORII KATOWIC

przez Brytyjczyków i Włochów, którzy proponowali paryskiej Konferencji Ambasadorów pozostawić Polsce okrojone kawałki Śląska na południowym wschodzie, i to bez przemysłu. Francuzi przesłali bardziej dla nas korzystny projekt. Ponieważ jednak niebezpieczeństwo faktycznej utraty Górnego Śląska stawało się realne, Wojciech Korfanty wydał rozkaz wszczęcia przygotowań do kolejnego, trzeciego już, postania śląskiego (patrz niżej: 2/3 maja).

Kwiecień

KW DLA PŁOCKA – 10 kwietnia marszałek Józef Piłsudski odznaczył Krzyżem Walecznych Płock – to jedyne miasto, które tak uhonorowano. Za bohaterską obronę podczas wojny polsko-bolszewickiej odznaczono – wśród innych płocczan – 11-letniego harcerza Tadeusza Jeziorowskiego, najmłodszego kawalera KW (został pilotem, zginął we Wrześniu '39, odznaczony pośmiertnie Virtuti Militari).

PARYŻ-WARSZAWA – 16 kwietnia Francuskie Towarzystwo Transportowe uzyskało – z poparciem swego rządu – koncesję na uruchomienie powietrznej komunikacji na linii Paryż–Praga czeska–Warszawa. Natomiast w następnym miesiącu na krótki czas trwania pierwszych targów w Poznaniu powstaje Poznańskie Towarzystwo Lotnicze „Aerotarg", które uruchamia połączenia lotnicze z Warszawą i Gdańskiem.

Maj

TRZECIE POWSTANIE ŚLĄSKIE – nocą z 2 na 3 maja po całodniowym strajku generalnym wybuchło trzecie powstanie śląskie, aby nie dopuścić do oddania prawie całego Górnego Śląska Niemcom. Na jego czele stanął Wojciech Korfanty, a działaniami zbrojnymi dowodził ppłk WP Maciej Mielżyński. Siły powstańcze, organizowane głównie przez górnośląską POW, liczyły do 45 tys. ludzi, wspartych w ciągu walk przez ok. 20 tys. ochotników, także z wolnej Polski. Nad granicą stały oddziały WP gotowe odeprzeć atak wojsk niemieckich. Niemcy zorganizowali 30-tysięczny Selbstschutz, szybko wyparty przez powstańców poza obszar plebiscytowy, ale rychło zaczęły nadciągać dobrze uzbrojone i dowodzone oddziały tworzone przez bractwa studenckie i arystokratów oraz Freikorpsy z głębi Niemiec. Do 20 maja powstańcy umocnili i obronili zdobyte rubieże i miasta, następnie – do 6 czerwca – trwała niemiecka kontrofensywa. Niemcy odebrali Kędzierzyn, wygrali bitwę o Górę św. Anny (21–26 maja), ale nie przerwali polskiego frontu ani nie wtargnęli w głąb okręgu przemysłowego. Nie udało im się także wedrzeć na Śląsk od południa: mimo początkowych sukcesów, przegrali bitwę pod Olzą w rejonie Wodzisławia Śląskiego (23 maja) i wycofali się za Odrę. Po 7 czerwca przez ponad dwa tygodnie trwały pertraktacje rozejmowe, a teren plebiscytowy przeszedł pod kontrolę aliantów. Jesienią (patrz: 20 października) zapadły decyzje korzystne dla Polski, oznaczające także polityczny sukces powstania.

„PRZEGLĄD SPORTOWY" – 21 maja wydano w Krakowie pierwszy numer „Przeglądu Sportowego", jako organu okręgowego związku piłki nożnej. Ukazywał się tam do 1925 r., zanim redakcję przeniesiono do Warszawy, gdzie ukazuje się do dziś.

TARGI POZNAŃSKIE – 29 maja rozpoczął się trwający tydzień I Targ Poznański, impreza wyłącznie dla firm krajowych i tych zagranicznych, które miały filie w Polsce i z polskimi przedstawicielami. Po kilku latach rozwinęła się w słynne Międzynarodowe Targi Poznańskie.

Czerwiec

WESTERPLATTE – 22 czerwca Rada Ligi Narodów przyznała polskim okrętom wojennym prawo pobytu w porcie gdańskim oraz zezwoliła Polsce na założenie wojskowej składnicy tranzytowej na Westerplatte.

Lipiec

INFLACJA – 1 lipca dolar USA kosztował 2,3 tys. marek polskich. W 1918 r. – tylko 9 mkp. Wydatki rodzącego się w trudach państwa, od początku znacznie przekraczające wpływy w zniszczonym kraju, wywołały postępującą inflację. Cena dolara w 1923 r. wynosiła aż 6,375 mln mkp…

UPAŁ – 29 lipca kulminacja rekordowych upałów tego lata. Pod Opolem temperatura wyniosła +40,2 st. C.

Sierpień

KUCHAR I INNI – 13–15 sierpnia na stadionie Pogoni Lwów rozegrano II Mistrzostwa Polski w Lekkiej Atletyce. Bohaterami zawodów zostali lwowiacy z Pogoni: zwycięzca w sześciu konkurencjach – Kazimierz Cybulski (głównie rzuty) – oraz Wacław Kuchar, który zwyciężył

Grupa uczestników trzeciego powstania śląskiego
FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 31e9a37c40

w biegu na 800 m, w trójskoku i w skoku wzwyż. Bieg na 100 m wygrał zawodnik Polonii Warszawa – Stanisław Sośnicki z wynikiem 11,9 s.

Wrzesień

NOWY PREMIER – 13 września upadł pierwszy rząd Wincentego Witosa po przeszło roku rządów. 16 dni później powstał pierwszy gabinet, zwany rządem fachowców, Antoniego Ponikowskiego (1878–1949), geodety, rektora Politechniki Warszawskiej, chadeka, miłośnika muzyki i śpiewu. Rząd ten utrzymał się do czerwca następnego roku, a Ponikowski był zarazem ministrem wyznań religijnych i oświecenia publicznego, a także kierował Ministerstwem Kultury i Sztuki.

ZAMACH NA PIŁSUDSKIEGO – 25 września po uroczystym otwarciu Targów Wschodnich we Lwowie Józef Piłsudski udał się do ratusza, skąd wychodził bez eskorty obok wojewody Kazimierza Grabowskiego. Wtedy zamachowiec z Ukraińskiej Organizacji Wojskowej Stepan Fedak oddał z rozentuzjazmowanego tłumu trzy strzały w kierunku wolno ruszającego z nimi samochodu. Naczelnik Państwa uniknął kul i śmierci, natomiast poważnie ranny został wojewoda. Fedaka uratowali przed samosądem policjanci. Następnego roku przed sądem stanęła cała odpowiedzialna za zamach 13-osobowa grupa z UOW. Zapadły wyjątkowo niskie wyroki; Fedak został skazany na sześć lat więzienia.

KOLARSTWO – 25 września pierwszym mistrzem Polski w kolarstwie szosowym został Józef Lange, który 200-kilometrową okrężną trasę Warszawa–Warszawa pokonał w 7.45:12. W 1924 r. zdobędzie w Paryżu srebrny medal olimpijski dla Polski w wyścigu drużynowym na 4 tys. m.

PRAWOSŁAWIE – 28 września Synod Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego nadał abp. Jerzemu (Jaroszewskiemu) godność metropolity i patriarszego egzarchy (namiestnika) w granicach II Rzeczypospolitej. W porozumieniu – również z władzami II RP – arcybiskup zbliżył się do utworzenia w Polsce autokefalicznego (niezależnego od Moskwy) Kościoła Prawosławnego. 8 lutego 1923 r. zastrzelił go przeciwnik autokefalii, archimandryta Smaragd (Łatyszenko).

27 MLN MIESZKAŃCÓW – 30 września – pierwszy po odzyskaniu niepodległości powszechny spis ludności wykazał 27 176 171 mieszkańców; jeszcze bez Wileńszczyzny i Górnego Śląska.

Październik

KRESY ZACHODNIE – 1 października powstał Związek Obrony Kresów Zachodnich. Założyli go działacze Komitetu Obrony Górnego Śląska, a w 1934 r. został przekształcony w Polski Związek Zachodni. Obrona polskich praw narodowych, monitoring sytuacji politycznej w Niemczech, walka z separatyzmem na Śląsku i Pomorzu – oto główne cele ZOKZ.

PODZIAŁ ŚLĄSKA – 20 października Rada Ambasadorów Ligi Narodów podjęła decyzję o podziale obszaru plebiscytowego na Górnym Śląsku. Polacy otrzymali trzecią część spornego terenu, w tym kilka większych miast z Katowicami i Chorzowem, połowę hut i trzy czwarte kopalń węgla. Miało to ogromne znaczenie dla gospodarczej przyszłości nowego państwa.

DRUGI ŚLUB PIŁSUDSKIEGO – 25 października Józef Piłsudski zawarł w Belwederze ślub z młodszą o 15 lat Aleksandrą Szczerbińską, też konspiratorką rewolucyjną, z którą nawiązał romans w 1907 r., konspirował w PPS-FR oraz ZWC i miał dwie córki (Wandę, ur. 1918) i Jagodę (1920). Z Aleksandrą ożenił się dopiero w 1921 r., gdyż jego pierwsza żona – Maria z Koplewskich Juszkiewiczowa – żyła i nie godziła się na rozwód. Z Marią zawarł ślub (1899) ewangelicki (zmienił dla niej wyznanie), a aby ożenić się z Aleksandrą – wrócił do wyznania rzymskokatolickiego. Nastąpiło to po śmierci długo i ciężko chorującej Marii 17 sierpnia 1921 r.

Listopad

OBOK GDAŃSKA – 1 listopada ukończono 26-kilometrową linię kolejową Gdynia–Kokoszki, która umożliwiła ominięcie nieprzychylnego nam Gdańska w drodze do Polski. Tę lokalną linię rozebrano po uruchomieniu do końca lat 20. nowoczesnej i wydajnej Magistrali Węglowej.

„NUŻ W BŻUHU" – 13 listopada w Krakowie, a dwa tygodnie później w Warszawie została opublikowana w formie plakatu, ale w kilkutysięcznym nakładzie, druga jednodniówka futurystów polskich „Nuż w bżuhu". Redaktorem krakowskim był Bruno Jasieński, a warszawskim – Anatol Stern. Lwowska „Gazeta Wieczorna" nazwała autorów „fanatykami ludożerstwa" i „apostołami zboczeń".

MACIERZ SZKOLNA – 26 listopada Polacy w Wolnym Mieście Gdańsku powołali Macierz Szkolną.

WARSZAWIANKA I SKRA – 27 listopada założono Klub Sportowy Warszawianka, do którego garnęli się zwłaszcza gimnazjaliści i studenci, a 17 grudnia – Robotniczy Klub Sportowy Skra Warszawa. Obydwa zasłużone dla sportu polskiego oraz stolicy. Z Warszawianki wywodzili się Janusz Kusociński i Eugeniusz Lokajski, a i Skra animowała rozwój naszej lekkiej atletyki.

Grudzień

RADJOPOL – 1 grudnia niewielkie przedsiębiorstwo Radjopol, założone przez inż. Józefa Plebańskiego, jako pierwsze w kraju rozpoczęło produkcję lamp elektronowych. Rozwinęło się dzięki zamówieniom z wojska i udziałowi kapitału francuskiego.

WSM – 11 grudnia z inicjatywy działaczy PPS oraz spółdzielców robotniczych została założona Warszawska Spółdzielnia Mieszkaniowa. W 1938 r. w 24 budynkach WSM na Żoliborzu i na Rakowcu mieszkało 5396 osób. Po wojnie spółdzielnia wznowi działalność, a jej rozwój nastąpi po 1956 r. W 1960 r. niemal trzecią część stołecznych mieszkań zbuduje WSM.

0:1 Z WĘGRAMI – 18 grudnia w swym pierwszym oficjalnym spotkaniu międzypaństwowym piłkarska reprezentacja Polski uległa w towarzyskim meczu Węgrom 0:1. Mecz rozegrano na stadionie w Budapeszcie, a bramkę dla gospodarzy zdobył Jenő Szabó w 18. minucie spotkania.

PZO – 18 grudnia przy ul. Leszno w Warszawie powstała Fabryka Aparatów Optycznych i Precyzyjnych H. Kolberg i S-ka, producent m.in. obiektywów, lup i mikroskopów. Rozwinęła się dzięki wojskowemu zamówieniu na tysiąc lornetek. W 1926 r. przeniosła się na ul. Grochowską, a z początkiem lat 30. francuscy udziałowcy firmy wykupili pakiet kontrolny i zmienili nazwę na znane do dziś Polskie Zakłady Optyczne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31e9a37c40

1867–1935 / Nowe spojrzenie na Marszałka

Marszałek Józef Piłsudski i dr Eugenia Lewicka na Maderze FOT. NAC

Romans Piłsudskiego

Maciej Gablankowski

Na początku lat 30. Marszałek spędził urlop na Maderze. Towarzyszyła mu tam piękna lekarka Eugenia Lewicka

Lepecki staje na baczność i mówi: „Rozkaz!". Teraz jest już naprawdę zaciekawiony. Beck chwilę milczy, jakby ważył słowa. „Marszałek Piłsudski wyjeżdża wkrótce na urlop, na Maderę". Lepecki oświadcza, że zna dobrze tę wyspę, był na niej kilkakrotnie. „Otóż trzeba będzie, abyście towarzyszyli Komendantowi w tej podróży, pomogli doktorowi Woyczyńskiemu w adiutantowaniu…" – znów zawiesza głos – „tylko… widzicie…" – duka – „… sęk w tym, że Komendant nie chce słyszeć o zabieraniu ze sobą w drogę kogokolwiek". Zdumiony Lepecki dopytuje o szczegóły. Beck konkluduje: „Pojedziecie cichcem, a na miejscu w Funchal Woyczyński musi was jakoś wkręcić. W żaden sposób nie możecie się wsypać".

Następne dni upływają Lepeckiemu na intensywnych przygotowaniach. Powoli dowiaduje się, w co wdepnął, godząc się na wyjazd, i jak szeroko sięga „spisek". Przy Marszałku musi być ktoś zaufany. Cały czas. Lepecki odbywa więc odprawy z szefem wywiadu Tadeuszem Pełczyńskim i szefem kontrwywiadu Stefanem Mayerem oraz najwierniejszym z wiernych – Aleksandrem Prystorem, który dowodzi ekipą ochrony. Ta będzie towarzyszyć Marszałkowi aż do Lizbony. O tym, że to Lepecki będzie „ich" człowiekiem na Maderze, wie też na pewno prezydent Mościcki – jego syn Michał już we wrześniu wynajął odpowiedni dom w Funchal i teraz osobiście instruuje Lepeckiego. Oczywiście te wszystkie zabiegi są podyktowane autentyczną troską o życie Marszałka – jest środek kampanii wyborczej, w Małopolsce Wschodniej buntują się Ukraińcy. Wrogów Marszałek ma pod dostatkiem.

Ale jest jeszcze jeden powód. Lepecki wie, że nie wolno mu nigdy o nim wspomnieć. A właściwie o niej. Delegacja na Maderę wcale nie składa się tylko z Marszałka i Woyczyńskiego oraz cichcem przemyconego Lepeckiego. W jej skład wchodzi także 34-letnia lekarka Eugenia Lewicka.

Ziuk nigdy nie martwił się swoim zdrowiem. To znaczy pewnie się martwił, bo po trudach lat wojennych było nie najlepsze, ale nie dawał nic po sobie poznać. A przede wszystkim nie pozwalał się leczyć. Wystarczy, że Ola zaprzątała sobie tym głowę. To ona namawia go – choć na zbyt rzadkie i niewystarczająco kompleksowe – wizyty lekarskie. On lekarzy nie lubi, za dużo pracuje, pali jak smok, mało śpi. Trapią go nawracające infekcje wirusowe. W roku 1918 ominęła go zbierająca śmiertelne żniwo grypa hiszpanka – mimo że chorowali ludzie w jego najbliższym otoczeniu, między innymi Kazimierz Sosnkowski, którego nastoletnia córka tej grypy nie przeżyła. Ale w osłabionym, niedożywionym społe-

eprasa.pl 31e9a37c40

czeństwie II Rzeczypospolitej wirusowe infekcje powracają z dużą regularnością. Nękające Piłsudskiego choroby stają się coraz częściej sprawami wagi państwowej. W marcu 1925 r. nie mógł wziąć udziału w wielkich i hucznych obchodach swoich imienin przygotowanych przez Związek Legionistów. Choroba ciągnęła się przez kolejne tygodnie. Nie wiadomo, czy z powodu złego samopoczucia, czy może pod wpływem kolejnych artykułów prasowych – plotki o złym stanie jego zdrowia pomagają przeciwnikom politycznym – przekonuje się go do ściągnięcia lekarza. Oczywiście legionowego.

Jedyne, na co udaje się go namówić, to wyjazdy lecznicze. Z wyborem miejsca też są ceregiele, w końcu pada na przygraniczne litewskie Druskienniki. Piłsudskiemu podobał się pomysł odpoczynku w nadniemeńskich lasach, ale niewykluczone, że jakąś rolę odegrała też płytka kieszeń Piłsudskich. Rodzina przyjeżdża tu po raz pierwszy w lipcu 1924 r. Mieszkają bardzo skromnie, a domem, podobnie jak w Sulejówku, zajmuje się Ola. Pierze skarpetki, gotuje, opiekuje się dziewczynkami. Jednej nocy Ziuk poczuł się gorzej. Wtedy rodzina poznaje młodą lekarkę Eugenię Lewicką.

Do Druskiennik Eugenia przyjechała zaledwie kilka miesięcy wcześniej. Ma dopiero 28 lat, ale jest już doświadczoną lekarką. A Druskienniki zarządzane przez prywatnego właściciela wydają się idealnym miejscem dla rozwijania jej talentów. Eugenia pasjonuje się leczniczym działaniem kąpieli, i tych w wodach mineralnych, i tych słonecznych, szeroko pojętą fizjoterapią i wychowaniem fizycznym. Jest osobą o niespożytej pasji i niezwykłej wewnętrznej energii. W Druskiennikach staje się nie tylko kolejną lekarką, ale spiritus movens. To ona jest pomysłodawczynią rozwoju wodolecznictwa w kurorcie.

Zwraca także uwagę swoją urodą. Jest wysoka, wysportowana i naturalna. Ma idealną cerę, włosy ścięte za ucho. Z jej oczu biją nieokreślony smutek i powaga. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety, którzy ją znali, piszą o niej jak o klejnocie, delikatnym dziele sztuki. Ale to nie piękność z afisza. Jej uroda nie jest sztuczną kreacją. Ona po prostu nie może nie być piękna. Czy to myśli Ziuk, gdy patrzy na nią w trakcie długich spacerów wzdłuż Niemna? Co do niej czuje? Co ona czuje do niego?

Następnego lata w Druskiennikach jest sam. Jego rodzina nigdy więcej się tam nie pojawi. Po zamachu majowym jedzie do Druskiennik zaledwie na kilka dni. Za krótko, żeby się leczyć. Czego tam szuka? Potem znów dłuższy pobyt, bo prawie miesięczny. Wyjazdy do Druskiennik stają się tradycją.

O tym, że pomiędzy Ziukiem a Lewicką coś się dzieje, Ola dowiaduje się dość szybko. Z początku nic sobie z tego nie robi, ale jego wielotygodniowe wyjazdy robią się coraz bardziej podejrzane. Dlaczego tatuś do Druskiennik jeździ sam? Dziewczynkom najpewniej tłumaczy, że to ze względu na ich obowiązki szkolne. Tak po latach wspominać to będzie Jagoda. Ale przecież tata jest w Druskiennikach i w lipcu, i w sierpniu, i w czerwcu. Nie tylko we wrześniu. No i ten Instytut Wychowania Fizycznego. Lewicka nie pełni tam funkcji pośledniej konsultantki. Swoje trzy grosze wtrynia w niemal każdy szczegół projektu budynku. Nawet Ziuka nieco irytują rosnące koszty. Na dodatek ujawnia się sanacyjna kamaryla. Znajdują się uprzejmi, życzliwi. Coraz więcej podszeptów, plotek.

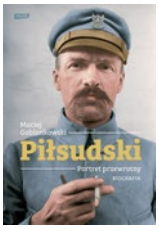

MACIEJ GABLANKOWSKI
„PIŁSUDSKI. PORTRET PRZEWROTNY"
ZNAK

Są też prawdziwi przyjaciele. Ci, którzy stoją wiernie przy Oli. Jednymi z nich okazują się Prystorowie. Ola uświadamia sobie, że Sulejówek przegrywa z nadniemeńskimi krajobrazami, a ona sama z młodą i energiczną lekarką. Może stąd bierze się pomysł stworzenia bardziej swojskiego, litewskiego gniazda rodzinnego położonego gdzieś na Wileńszczyźnie. Trafiło na Pikieliszki. W II Rzeczypospolitej kawalerom Virtuti Militari przysługiwał nadział ziemi. Miał go oczywiście Piłsudski, ale miała też i Aleksandra: order dostała za zasługi w konspiracji niepodległościowej. Z połączenia tych obu nadziałów udało się wykroić całkiem przyzwoity majątek – ponad 50 ha lasów i łąk oraz 70 ha jeziora. Dwór był skrojony pod Piłsudskiego. Położony nad jeziorem, z ogrodem i parkiem z pięknymi, starymi drzewami różnych gatunków, założono sad i zbudowano altanki, w tym jedną nad samym brzegiem. Ziuk Pikieliszki lubił, ale z Druskiennik rezygnować nie zamierzał…

Lepeckiemu udaje się zachować wszystko w tajemnicy. We wspomnieniach, które spisuje, nie pojawia się informacja, że na Maderze była niejaka Lewicka. W prasie ukazują się zdjęcia Marszałka i pięknej kobiety. Zwracają uwagę jej gustowne i nowoczesne stroje. Stoi u boku Marszałka w trakcie oficjalnego powitania na wyspie, w trakcie reprezentacyjnej przejażdżki autem siedzi koło niego, podobnie podczas widokowego rejsu motorówką. Czy częścią misji Lepeckiego jest właśnie Eugenia? Można przypuszczać, że tak. Miarą jego sukcesu ma być jej wcześniejszy powrót z wyspy.

Ola także nie zasypia gruszek w popiele. Nigdy nie lubiła okazywać uczuć, ale o swojego męża i ojca dzieci zawalczy. Wie, że ma co najmniej dwa argumenty, które przeważą: Wandę i Jagodę. Między Olą i Eugenią dochodzi do konfrontacji. Nie wiadomo, czy spotykają się bezpośrednio, czy może pośredniczką jest Janina Prystorowa. W każdym razie Lewicka znika z otoczenia Marszałka. Oficjalne powitanie powracającego dyktatora w Gdyni to niemal demonstracja siły Aleksandry. Schodzącego z pokładu specjalnie wysłanego po niego okrętu witają żona i dwie córki. Te same, które wcześniej nie mogły na wakacje jeździć z nim do Druskiennik, teraz w środku roku szkolnego nagle znalazły się w Gdyni. Piękna Eugenia Lewicka nadepnęła na odcisk wpływowej grupie – żony, córki i matki to nowa arystokracja. Traci pracę w ukochanych Druskiennikach. Na Marszałka już nie może liczyć.

W czerwcu jej ciało znalezione zostaje z wyraźnymi śladami zatrucia substancją chemiczną. To najprawdopodobniej samobójstwo, choć nie brakuje teorii spiskowych. Zaskakuje metoda, nietypowa dla kogoś dobrze obeznanego z medycyną. Musiała to być śmierć bolesna i na dodatek oszpecająca – wokół ust pojawiły się wyraźne ślady spowodowane reakcją na użytą substancję żrącą.

Piłsudski pojawia się w kościele na Powązkach. Przysiada na chwilę w tylnych ławach. Cedzi słowa: „Nawet tego mi nie oszczędzono". Tydzień później jest już w Pikieliszkach. Zamierza odpocząć kilka tygodni.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31e9a37c40

FOT. NAC

eprasa.pl 31e9a37c40

Krzysztof Masłoń

Lewica laicka go nie znosiła. Dystansował się od listu otwartego Kuronia i Modzelewskiego, a do KOR miał stosunek krytyczny

1918–2001 / Poeta, prozaik, eseista, tłumacz, wydawca

Paweł Hertz patrzył się inaczej

Nie można być w Polsce Europejczykiem, jeżeli nie jest się Polakiem" – tę mocno sformułowaną, jednoznaczną dewizę stworzył Żyd z pochodzenia, przez większą część życia agnostyk, przedwojenny panicz, więzień GUŁagu, redaktor marksistowskiej „Kuźnicy", sygnatariusz Listu 34, poeta, prozaik, eseista, tłumacz, wydawca, twórca pomnikowego „Zbioru poetów polskich XIX wieku", antykomunista przez 10 lat należący do PPR (PZPR), konserwatysta krytycznie nastawiony do rewizjonizmu, „socjalizmów z ludzką twarzą", lewicy laickiej, w jesieni życia żarliwy katolik, homoseksualista, jeden z najciekawszych ludzi swojej epoki, zmarły w 2001 r. w wieku 82 lat – Paweł Hertz.

Jedna z jego ostatnich książek zatytułowana jest: „Patrzę się inaczej". Tak właśnie patrzył na otaczającą go rzeczywistość, na świat i ludzi, bo to oni interesowali go najbardziej. Zapytany przez Barbarę N. Łopieńską, jak sobie wyobrażał przyszłość po tym, gdy z powodu matematycznej niewiedzy zrezygnował z dalszej nauki w warszawskim Gimnazjum im. Mikołaja Reja (matury nie zdał nigdy) i wyruszył w podróż po Europie, odpowiedział: „Że będę sobie podróżował, że będę czytał różne rzeczy, studiował, chwilę tu, a potem znowu tam, że będę poznawał ludzi i będę z nimi gadał".

O pieniądze się nie martwił; ojciec, inżynier chemik, był przedstawicielem niemieckiego przemysłu chemicznego i polskiego monopolu eterowego, a matka, po studiach medycznych, także zajęła się biznesem. Hertzowie byli zamożni, a w związku z tym ich nastoletni jeszcze syn nie martwił się o to, z czego będzie żył. Po latach chętnie cytował Juliusza Słowackiego, który w liście do swego wuja, Januszewskiego, stwierdzał: „Kapitały, Teofilu, są tymi skrzydłami, które nas utrzymują nad ziemią".

Na przełomie lipca i sierpnia 1939 r. wrócił z Paryża do Warszawy. 6 września pojechał do kuzynów pod Brześć, o czym później napisze w „Sedanie" (1948). Po wejściu Rosjan znalazł się tam – jak mówił – „między Mołotowem a kowadłem". Schronił się we Lwowie, skąd w końcu grudnia podjął nieudaną próbę przedostania się na teren ówczesnej Litwy. Po powrocie do Lwowa 12 stycznia 1940 r. został aresztowany w restauracji Aronsona, tej samej, z której trzy miesiące później trafili do więzienia Broniewski i Wat. Hertz na Zamarstynowie znalazł się przed nimi i przesiedział tam do listopada. Oskarżony m.in. o szpiegostwo na rzecz Francji (miał przy sobie francuskie zezwolenie na pobyt), skazany został na osiem lat łagru i wywieziony na Syberię do obozu w Iwdelu w okręgu swierdłowskim. Tam rąbał tajgę.

„W krótkim odstępie czasu – wspominał – doświadczyłem wygody i dobrobytu i wielkiej nędzy, wyzucia ze wszystkiego. […] Myślę, że i więzienie, i obóz, to wszystko, co mi się przydarzyło, dały mi bardzo wiele. Gdyby nie to doświadczenie, myślałbym o wielu sprawach inaczej. Świadomość owego doświadczenia przetrwała we mnie i może temu właśnie zawdzięczam swoją – jak by to powiedzieć? – oddzielność, ochotę do patrzenia inaczej".

Temperament i poglądy

Po powrocie do Polski znów poczuł się wyzuty ze wszystkiego. Nie miał niczego. W posłowiu do wznowionego właśnie „Sedanu", w ramach PIW-owskiej edycji dzieł Pawła Hertza podjętej w stulecie jego urodzin, Marcin Król pisze: „»Sedan« to książka powstała w wyniku reakcji na wojnę. Wojnę bez precedensu. Powrót Hertza do Polski jest dramatyczny. Z jego świata, spośród bliskich mu ludzi, rodziny, domów, w których mieszkał, przedmiotów i książek, jakie cenił – nie zostało nic. Cudem udało mu się wrócić, a przed nim stało wielkie zadanie: jak

eprasa.pl 31e9a37c40

sobie z tym dać radę. Pomogły mu spokojny temperament i poglądy […]". Zajął się wówczas, znacznie bardziej serio niż przed wojną, z korzyścią dla wszystkich, dla siebie także – literaturą.

W Warszawie, gdzie zaczął pracować w Państwowym Instytucie Wydawniczym, kierując do 1952 r. redakcją klasycznej literatury rosyjskiej, zamieszkał w literackim „kołchozie" na Iwickiej, po czym zamienił to mieszkanie na poddasze przy Nowym Świecie 33, w którym przyjął mnie w końcu zeszłego wieku, i porozmawiał. A o czymże? Oczywiście, o książkach. Opisywane było to mieszkanie wielokrotnie, daruję więc sobie osobiste refleksje, cytując za to raz jeszcze Marcina Króla, podkreślającego skromność tej mansardy w porównaniu z przedwojennymi domami Hertza: „Schody były wysokie i niewygodne, mieszkanie niefunkcjonalne. Hertz starał się przez czterdzieści lat o lepsze, ale obiecywano mu i nic z tego nie wynikło. I w tym małym mieszkanku z salonikiem i sypialnią za kotarą powstały nie tylko znakomite tłumaczenia, ale także siedem tomów antologii poezji polskiej czy (wspólnie z Władysławem Kopalińskim) niebywała »Księga cytatów«. Trudno pojąć, jak można było złożyć to dzieło. Sięgam do niego stale i zawsze się dziwię geniuszowi i pracowitości autorów".

W drugiej połowie lat 50. należał Hertz do komitetu redakcyjnego „Słownika języka polskiego". Przez lata był członkiem innego komitetu redakcyjnego – „Rocznika Literackiego". Opracował wielotomowe edycje Turgieniewa, Tołstoja i Dostojewskiego. Dokonał wielu tłumaczeń, przy czym – jak pisał Marek Zagańczyk – „tłumaczył nie tylko z jednego języka na drugi, ale także z jednego świata na drugi świat, z pewnego zbioru przedmiotów, które kiedyś istniały, na rzeczywistość, w której tych przedmiotów już nie ma. Myślę tu przede wszystkim o przekładzie Muratowa, Tołstoja, Turgieniewa, o tłumaczeniu pisarzy francuskich, Astolphe'a de Custine'a i Prousta". A przecież przełożył również powieści Anatola France'a, szkice Hugona von Hofmannsthala, „Opowieści chasydów" Martina Bubera, „Czasy Konstantyna Wielkiego" Burckhardta.

Z PIW współpracował właściwie cały czas, choć już nie etatowo, pisywał do „Przeglądu Kulturalnego", ale gościł też, z tematami warszawskimi, w „Expressie Wieczornym". W 1957 r. został członkiem zespołu redakcyjnego miesięcznika „Europa", który władze zawiesiły, zanim jeszcze zdążył się ukazać pierwszy numer pisma. W tym pierwszym numerze miał być wydrukowany esej Hertza „Rozważania u wrót falansteru", obok przekładów Miłosza, fragmentu prozy Dąbrowskiej, szkiców Andrzejewskiego i Mycielskiego, wierszy Ważyka i Minkiewicza, artykułu o filmie Hłaski.

Więźniowie łagru koło Peczory FOT. WIKIPEDIA

Miała być „Europa" płaszczyzną porozumienia, zarówno międzypokoleniową, jak polityczną. A wśród pomieszczonych tam „Uwag" znalazła się i taka, autorstwa Hertza właśnie: „Dobrze jest, kiedy literatura, domagając się wolności, wie, co ma z tą wolnością począć". Po fiasku całej idei Hertz uznał, że nadszedł właściwy moment, by poprosić o skreślenie z listy członków Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, co od dłuższego czasu wyraźnie mu ciążyło. Z liberalizacji, jaka nastąpiła w 1956 r., oczywiście się cieszył, ale do obwieszczanej triumfalnie destalinizacji podchodził sceptycznie. Komunizm w Polsce, powtarzał, trwał nadal, a kres jego nastąpił dopiero w roku 1989, więc jeśli mówić o destalinizacji, to nastąpiła ona dopiero wtedy.

Ręka okrutnego czasu

Kilka lat po wojnie przestał pisać wiersze, a przecież nierzadko bywały one piękne, tak jak dedykowana Aleksandrowi Watowi „Ziemia wybrana", kończąca się tak:

Nim tu przyszedłem, dano mi na pewno,
Abym wybierał, ciemność lub południe,
Obłok łagodny albo chmurę gniewną
I ziemię, w której żyć łatwiej lub trudniej.
Więc sobie ziemię wybrałem rozumnie,
Biedną, bezbronną, lecz lekką na trumnie.

Na innych utworach czas odcisnął swoje piętno. Na przykład w 4.–5. numerze „Kuźnicy" z 1945 r. wydrukował Hertz wiersz zatytułowany „Dialektyka". Oto on:

Okno historii. Balkon epok.
Mieszkańcy historycznych sal
Temidę wiodą w końcu ślepą
I kończą polonezem bal.

Dozorcy w ciężkich futrach z tchórzy
Wywoływali karet rząd
I zapraszali do podróży:
Z cesarstwa blasków prosto w sąd.

I tak mieszając Rzym ze śniegiem,
Z cesarstwa blasków w nędzę zim
Przez brąz portyków szli szeregiem,
Nie wiedząc, że już upadł Rzym.

I tknięci chłodem niespokojnie,
Znużeni kochankowie sjest,
O nadaremnej marząc wojnie
Czynili bohaterski gest.

A tu przebranych Fortynbrasów
Nie czeka wzniosły dialog scen,
Tu – ręka okrutnego czasu
Zdziera ich feudalny sen.

I oślepieni już śmiertelnie,
Biorą z historii swoją część:
Zamiast ich rąk – podnosi kielnię
Dłoń – wczoraj zaciśnięta pięść!

Być może dziełko to zrównoważyć miało wagę wydrukowanego obok innego wiersza „Proust", słowem – coś za coś. Chociaż… Całkiem niedawno Przemysław Dakowicz pochylił się nad

eprasa.pl 31e9a37c40

innym, budzącym niejakie wątpliwości, wierszem Pawła Hertza wydrukowanym w „lubelskiej" „Rzeczpospolitej" 25 marca 1945 r. Hertz dopiero co wrócił z Sowietów i publikacja ta, w organie PKWN, miała charakter deklaratywny, choć po części wyjaśnić to można względami czysto towarzyskimi, jako że właśnie z „Rzeczpospolitą" związał się Janusz Minkiewicz, jego przyjaciel, który wystarał się o ściągnięcie Hertza do Polski, co nie było łatwe, gdyż dla Sowietów formalnie był on, po tym, jak nie przyjął obywatelstwa sowieckiego, bezpaństwowcem.

W każdym razie napisał wiersz bez tytułu, zaczynający się pytaniem: „Jaka ty będziesz?", a chodziło oczywiście o Polskę. Z dalszego ciągu utworu wynika, że autor życzy sobie Polski, „co być przestała papugą i pawiem", wiernej tradycji powstań listopadowego i styczniowego, jak najdalszej złotej wolności szlacheckiej i, chciałoby się powiedzieć, przekuwającej karabele na kosy. Odwołań do poezji Słowackiego i Norwida jest tu bez liku, ale czy rzeczywiście formułując swoje życzenia czy nakazy, poeta – cytuję Dakowicza – „stanął w jednym szeregu z partyjnymi agitatorami i ideologami lepszego komunistycznego świata?". Może i trudno zaprzeczyć, ale trudno też w spuściźnie Hertza znaleźć, jakże charakterystyczne dla swojej epoki, utworki-potworki. Najzwyczajniej w świecie ich nie ma.

A jeśli już Paweł Hertz czegokolwiek się wstydził, to – o czym napomyka między wierszami – swojej działalności tużpowojennej w teatrze Domu Żołnierza w Łodzi, do której to pracy, organizacyjnej, ale i w pewien sposób programowej – w charakterze kierownika literackiego – skierował go, jak się zdaje, Anatol Fejgin, ponura postać tamtego czasu. W łódzkim okresie ważniejsza była jednak dla Hertza praca w „Kuźnicy".

Łaska nawrócenia

W Wikipedii w poświęconym Pawłowi Hertzowi haśle przeczytać można krzywdzącą go opinię Mariana Brandysa z 1978 r.: „Im się pozwala na mówienie takich rzeczy, jakich nie ścierpiałoby się od rdzennego polskiego oenerowca, bo nie traktuje się tego na serio. Ale już najwyższy czas, by to traktowanie zmienić, bo Krzeczkowski [Henryk – przyp. K.M.] i Hertz stali się najbardziej zdecydowanymi wrogami i paszkwilantami demokratycznej opozycji". Skąd ta hunwejbińska wypowiedź, wzmocniona sądem Andrzeja Kijowskiego o Hertzu – „wytwornym pięknisiu i snobie"? Z bardzo krytycznego stosunku do KOR, w którym z miejsca dostrzegł chęć podporządkowania sobie opozycji wszelkiej maści.

Wcześniej dystansował się od takich działań jak List otwarty do Partii Kuronia i Modzelewskiego: „Rewizjonizm dość mnie odpychał, był postawą uczuciową, która wystawiała może najlepsze świadectwo poszczególnym osobom. Wychodziłem z założenia, że gesty w kraju podbitym są stratą sił. Zwłaszcza że były to gesty w obronie środowiska wyobcowanego z ogółu narodowego".

Nie przeceniał marca 1968 r., do czego może – zastanawiał się – „przyczyniło się także i to, że nigdy nie ukrywałem żydowskiego pochodzenia mojej rodziny. Nie zmieniałem nazwiska rodowego i nie miałem kompleksu antysemickiego, rozumiałem bowiem i rozumiem, że w swojej grzeszności i ułomności jedni ludzie nie zawsze miłują drugich". Rangę powstania Solidarności docenił, ale nie pchał się do rozmaitych komitetów eksperckich ani ciał porozumiewawczych, jako że zawsze bliżej mu było do „spokojnej i rozumnej mniejszości".

Lewica laicka go nie znosiła, jak utrzymywał, jeszcze od czasów przedwojennych, kiedy to – opowiadał – „na prośbę współpracownika redakcji »Buntu Młodych«, Pawła Zdziechowskiego, którego, nie pamiętam już, jak i kiedy poznałem i z którym kilkakrotnie rozmawiałem, napisałem, jak tego chciał mój rozmówca, co myślę o modnej wtedy tak zwanej poezji proletariackiej. Nie były to myśli pochlebne, nade wszystko jedno zdanie, że rzecz bardziej nadaje się dla prokuratora niż dla krytyka literackiego, wywołało oburzenie. Sprawę trzeba traktować we właściwych proporcjach małego i zamkniętego środowiska. Naruszyłem jednak tabu tego środowiska, musiały więc spaść na mnie sankcje. Antoni Słonimski udzielił mi złośliwej nagany w jednej ze swoich kronik w »Wiadomościach Literackich«, a wielu tak zwanych intelektualistów lewicowych nie odkłaniało mi się na ulicy – jako zwykle najmłodszy kłaniałem się pierwszy. Byłem niezależny, nie miało to więc większego dla mnie znaczenia. Myślę, że w znacznym stopniu rozdrażniło tych ludzi, że podobne poglądy wypowiedział ktoś, kto w ich mniemaniu powinien ze względu na swoje pochodzenie być lewicowy, postępowy, awangardowy i tak dalej. A tu tymczasem wszystko było przeciwnie".

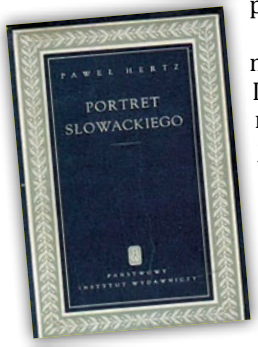

W dzienniku publikowanym w 1982 r. w „Zeszytach Literackich" zapisał, że najważniejszym momentem jego życia był chrzest, który „może nie tyle mnie zmienił, ile ustawił na zawsze poczucie ciągłego długu wobec Boga, ludzi i samego siebie". A w wywiadzie rzece z Barbarą N. Łopieńską 15 lat później wskazał na trzech księży: Janusza Pasierba, Wiesława Niewęgłowskiego i Jacka Salija, których – powiadał – „przyjaźń, dobroć i wyrozumiałość sprawiły, że łaska nawrócenia, która spadła na mnie w pewnej chwili mojego życia, stała się radością w jej ziemskim, bezpośrednim wymiarze […]".

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31e9a37c40

Książka miesiąca / Kulisy niemieckiej zbrodni

Zagadka śmierci Starzyńskiego rozwiązana?

FOT. NAC

Piotr Zychowicz

Prezydent Warszawy został zgładzony w 1943 r. w Dachau – twierdzi znany historyk. Był to odwet za odmowę kolaboracji z Niemcami

Jeszcze niedawno wydawało się, że sprawa została ostatecznie wyjaśniona. 8 września 2014 r. prok. Małgorzata Kuźniar-Plota z Instytutu Pamięci Narodowej podpisała decyzję o umorzeniu śledztwa w sprawie zabójstwa prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego. Jego sprawcy dawno bowiem nie żyli.

„Zebrany w śledztwie materiał dowodowy – czytamy w oświadczeniu IPN z 9 września 2014 r. – pozwolił na bezsporne ustalenie, iż do zabójstwa przez rozstrzelanie prezydenta m.st. Warszawy Stefana Starzyńskiego doszło w okresie między 21 a 23 grudnia 1939 roku w Warszawie lub jej okolicach. Zbrodni dokonali funkcjonariusze Gestapo Oberscharführer Hermann Schimman, Hauptscharführer Weber i Unterscharführer Perlbach".

Właśnie okazało się, że ustalenia te wcale nie są „bezsporne". Wprost przeciwnie – spór jest. I to pasjonujący. Człowiekiem, który rzucił wyzwanie oficjalnej wersji wydarzeń, jest znany warszawski historyk prof. Tomasz Szarota. Autor takich dzieł jak „Okupowanej Warszawy dzień powszedni" (1973), „Stefan Rowecki »Grot«" (1983) czy „U progu Zagłady" (2000). W książce „Tajemnica śmierci Stefana Starzyńskie-

eprasa.pl 31e9a37c40

go" prof. Szarota twierdzi, że ustalenia IPN opierają się na kruchych podstawach. A prezydent Starzyński zginął w zupełnie innym czasie, innym miejscu i innych okolicznościach. Okoliczności te są zaś niezwykle sensacyjne.

Tłumacz gestapo

Zacznijmy od podstawowych faktów. Starzyński był legionistą i piłsudczykiem. Po przewrocie majowym pełnił wiele funkcji kierowniczych w państwowych instytucjach. Szczyt kariery osiągnął w 1934 r., gdy mianowano go komisarycznym prezydentem Warszawy. Starzyński znany był z ambitnych planów modernizacji miasta.

Najważniejszą życiową kartę zapisał podczas kampanii 1939 r., gdy kierował cywilną obroną miasta przed Niemcami. W trakcie oblężenia i bombardowań radio nadawało jego przemówienia, w których zachęcał Polaków do dalszej walki i potępiał niemieckie naloty na stolicę. (Nawiasem mówiąc, decyzję o tak długiej obronie pełnej cywili aglomeracji należy uznać co najmniej za dyskusyjną).

Po kapitulacji miasta – mimo że Starzyńskiemu proponowano ucieczkę – zachował się godnie i pozostał na swoim posterunku. Nie chciał porzucać warszawiaków ani miasta, które w dużej części obróciło się w gruzy. Sytuacja wielu mieszkańców była rozpaczliwa i należało natychmiast przedsięwziąć energiczne działania zaradcze. Niestety Niemcy mieli wobec Starzyńskiego inne plany.

27 października 1939 r. do gabinetu prezydenta wkroczyli funkcjonariusze gestapo po cywilnemu. Poprosili go, aby udał się wraz z nimi na al. Szucha, w celu „złożenia wyjaśnień". Starzyński nigdy już nie powrócił. Został aresztowany najprawdopodobniej na osobisty rozkaz Heinricha Himmlera.

Prezydent został poddany śledztwu na gestapo, a następnie umieszczony w więzieniu przy ul. Daniłowiczowskiej 7, a potem na Pawiaku. Stamtąd zabrano go w grudniu 1939 r. do… No właśnie, gdzie?

Zdaniem prof. Tomasza Szaroty prezydent Starzyński wcale nie został zastrzelony przez gestapowców w Warszawie ani pochowany w anonimowej mogile w pobliskim lesie. Historyk uważa, że relacja Ernsta Komarka – na której swoje ustalenia oparła prokuratora IPN – jest niewiarygodna.

Pochodzący ze Śląska Ernst Komarek był tłumaczem warszawskiego gestapo. To właśnie on zeznał, że Starzyński został zgładzony już w 1939 r. Prokuratura dała wiarę jego słowom, ponieważ relacja Komarka w innych szczegółach okazała się prawdziwa. Problem jednak w tym, że nie ma innych niepodważalnych źródeł, które mogłyby potwierdzić tę wersję śmierci prezydenta.

Niestety dokumenty niemieckie dotyczące sprawy Starzyńskiego nie zachowały się lub – o czym później – znajdują się w miejscu niedostępnym dla polskich historyków.

Śmierć w Dachau

Profesor Szarota uważa, że od słów Komarka bardziej wiarygodne są relacje Polaków więzionych podczas wojny na terenie III Rzeszy. Ich autorzy zapewniali, że widzieli prezydenta żywego jeszcze w 1943 r. Starzyński miał być trzymany w obozie w Dachau, w budynku przeznaczonym dla ważnych więźniów.

Najważniejsza z tych relacji pochodzi od byłego więźnia Dachau Jana Mazurka i została – wkrótce po wojnie – pozyskana przez dziennikarza „Życia Warszawy" Stanisława Sachnowskiego. Mazurek był kucharzem w baraku SS i – jak twierdził – przygotowywał posiłki również dla Starzyńskiego.

Zgodnie z relacją Mazurka byłego prezydenta stolicy w 1943 r. Niemcy dwukrotnie wywozili do Berlina na rozmowy polityczne. W lutym i na początku października. Niemcy próbowali skłonić Starzyńskiego do nawiązania jakiejś formy współpracy polityczno-wojskowej wymierzonej w Związek Sowiecki.

Według Mazurka o sprawie tej dyskutowali między sobą Niemcy służący w Dachau. Raz podsłuchał, jak esesmani mówili o Starzyńskim:

– Ma szczęście, zostanie premierem.

TOMASZ SZAROTA
„TAJEMNICA ŚMIERCI STEFANA STARZYŃSKIEGO"
BELLONA

A jeden z funkcjonariuszy rzucił do Mazurka:

– Ty, staraj się. Gotuj dobrze, może będziesz karmić polskiego ministra.

Relację tę uprawdopodobnia fakt, że takie same propozycje otrzymał – aresztowany w czerwcu – dowódca AK gen. Stefan Grot-Rowecki. Druga połowa 1943 r. była momentem, gdy do części wpływowych Niemców zaczęło docierać, że ludobójcza polityka okupacyjna w Polsce jest głupia i samobójcza. Ludzie ci, w poczuciu zbliżającej się nieuchronnie klęski, starali się nawiązać porozumienie z Polakami.

Starzyński, zresztą podobnie jak „Grot", propozycje niemieckie odrzucił. Według Mazurka w odwecie Niemcy mieli mu wstawić do celi głośnik i puszczać głośno z płyt jego przemówienia z 1939 r. Po pewnym czasie prezydent miał zaś zostać rozstrzelany „w bunkrze leżącym o trzy kilometry od obozu w Dachau".

Zbrodnia ta miała wydarzyć się 17 października 1943 r. A więc cztery lata po dacie zgonu Starzyńskiego ustalonej przez IPN.

Według jednej z relacji Stefan Starzyński na dwa dni przed śmiercią miał napisać gryps:

„Byłem przewieziony do Berlina. Znowu odmówiłem podpisania odezwy wzywającej do stworzenia armii przeciw Sowietom. Myślę o Warszawie. Serdecznie pozdrawiam wszystkich Polaków. Jestem pewien, że hitlerowcy mnie skończą".

Profesor Tomasz Szarota jest przekonany, że właśnie ta wersja wydarzeń jest prawdziwa. Historyk dotarł do wielu źródeł mocno ją uprawdopodobniających. W efekcie zwrócił się nawet do muzeum w byłym obozie w Dachau o upamiętnienie śmierci Starzyńskiego specjalną tablicą.

Dowodu rozstrzygającego, np. w formie protokołu z egzekucji, jednak nie ma. Jest to więc tylko kolejna – należy przyznać, że niezwykle prawdopodobna – hipoteza dotycząca śmierci prezydenta Warszawy.

Niewykluczone jednak, że sprawa kiedyś się wyjaśni. Kiedy? Gdy władze w Moskwie zdecydują się wreszcie na pełne otwarcie postsowieckich archiwów. Wiele dokumentów warszawskiego gestapo zostało bowiem zaraz po „wyzwoleniu" przejętych przez NKWD i wywiezionych do Związku Sowieckiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31e9a37c40

Cmentarz Obrońców Lwowa, stan sprzed 1939 r. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Polska ars moriendi

Pojęcie ars moriendi oznaczało przed wiekami ars bene moriendi, czyli sztukę dobrego umierania osoby pogodzonej z Bogiem i ludźmi, w otoczeniu bliskich, z nadzieją życia wiecznego. Znakomita książka obu autorek dotyczy umierania polskości na Kresach Wschodnich – państwa, kultury i wreszcie ludzi. I oto stare łacińskie określenie nabiera dramatycznego znaczenia. Jakże często bowiem Polonusi kończyli tu śmiercią nagłą, w otoczeniu wrogim, bez nadziei kontynuacji przez potomnych rodowej historii sięgającej nierzadko czterech, pięciu, a nawet ośmiu wieków wstecz.

W ośmiu rozdziałach spotykamy piękne postaci starych rodów – od magnatów i ziemian, takich jak Woyniłłowicze czy Skirmuntowie, do szlachty zagrodowej, z Oziewiczami, Ułańskimi, Kondratowiczami – które na Mińszczyźnie, Wileńszczyźnie i Polesiu toczyły swoją najdłuższą wojnę nowoczesnej Europy. W odróżnieniu od tej wielkopolskiej wojnę ostatecznie przegraną, ale dopiero w starciu z totalitaryzmem bolszewickim. W tle są zarówno rzezie dokonywane przez białoruskie i ukraińskie chłopstwo, jak i gehenna Polaków w wyniku nieszczęsnego traktatu ryskiego (1921), sowieckiego najazdu (1939) i ostatecznego zaboru w 1945 r.

Jest też tragedia spadkobierców idei Wielkiego Księstwa Litewskiego, którzy nie mogli się odnaleźć w rzeczywistości XX w. Należał do nich Stanisław Narutowicz, współtwórca niepodległej Litwy. Przybity zajadłym konfliktem polsko-litewskim, popełnił w latach 30. samobójstwo. A był rodzonym bratem śp. Gabriela – pierwszego prezydenta II RP, z kolei ofiary nienawiści polsko-polskiej.

Wytrwałe, drobiazgowe poszukiwania miejsca ukrycia prochów wybitnego polskiego obrońcy Lwowa Tadeusza Jordana Rozwadowskiego budzą podziw i wzruszenie. Widzę wrażliwą, kulturalną autorkę – wracającą wciąż i wciąż w te same okolice, uzyskującą kolejne adresy ostatnich strażniczek lwowskich nekropolii, sędziwych pań „zawsze wiernych Tobie, Polsko". Niektóre uczestniczyły zapewne w tajnej akcji przeniesienia zwłok generała z Cmentarza Orląt na rozległy cmentarz Łyczakowski, aby uchronić je przed unicestwieniem. Widzę autorkę krążącą wśród grobów, aby odczytać kolejne epitafia, rozdziały tajemniczej historii, skrywanej latami przed wrogim otoczeniem. Tak skrzętnie, że owe strażniczki zanosiły ją na koniec do własnych grobów. Prawdziwa polska ars moriendi. ©℗ ***Maciej Rosalak***

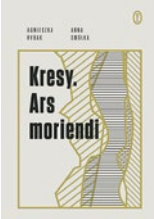

AGNIESZKA RYBAK, ANNA SMÓŁKA
„KRESY. ARS MORIENDI"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

Sarabanda według Jana Sebastiana Bacha

Znakomita klawesynistka czeska była admiratorką Jana Sebastiana Bacha, którego muzykę pokochała głęboko i ze wzajemnością. Pochodziła ze zasymilowanej rodziny żydowskiej i nie doznała antysemityzmu – aż do wkroczenia Niemców (1939). To samo ujawniło się zresztą i za komuny. Z mężem i matką, wypędzeni w 1954 r. z Pilzna, nielegalnie przenoszą się do pokoju z kuchnią w Pradze. Całe społeczeństwo, ożywione wolnością podczas Praskiej Wiosny (1968), po wkroczeniu Sowietów masowo podpisywało lojalki. „Wszyscy musieliśmy podpisać" – powiada i odbiera nagrodę państwową, „bo nie chce utracić swojej muzyki".

Obce dla Polaka posłuszeństwo wobec wrogiej władzy wyraża się też jesienią 1941 r. w roznoszeniu sąsiadom „zaproszeń" gestapo do Theresienstadt. Trafiła tam (styczeń 1942) wraz z matką, a potem do Auschwitz. Matka z grupy kierowanej na śmierć przedarła się do ocalonej czasowo córki z upuszczoną przez nią partyturą sarabandy z „Suity angielskiej" J.S. Bacha. W 1944 r. odważnie uratowała matkę przed skierowaniem do gazu przez pijanego esesmana, dokonującego selekcji wśród nagich, wychudłych kobiet. Jeśli Auschwitz było piekłem, to Bergen-Belsen było jego ostatnim kręgiem – mówi. Po drodze było jeszcze Neuengamme z odgruzowywaniem Hamburga podczas nalotów aliantów. Wspomnienia Zuzany należą niewątpliwie do najciekawszych – i bardzo szczerych – świadectw dramatów XX w. ©℗ ***(m.r.)***

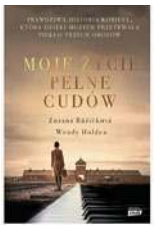

ZUZANA RŮŽIČKOVÁ, WENDY HOLDEN
„MOJE ŻYCIE PEŁNE CUDÓW"
ZNAK HORYZONT

eprasa.pl 31e9a37c40

Bałkański spór o historię

Przywódcy różnych państw próbują legitymizować swoją władzę poprzez odwoływanie się do różnych wydarzeń historycznych. Procesy z tym związane szczególnie widoczne są w dwóch głównych państwach, Serbii i Chorwacji, które powstały po rozpadzie Jugosławii. Pewnym katalizatorem poszukiwania nowej niekomunistycznej tożsamości był toczący się w latach 90. zbrojny konflikt serbsko-chorwacki. Właśnie kwestia stosunku elit politycznych obu krajów do własnej historii, głównie związanej z wydarzeniami drugiej wojny światowej, jest kanwą rozważań zawartych w książce autorstwa prof. Tomasza Stryjka. Abstrahując od głównego tematu wspomnianej publikacji, warto zauważyć, że jeden z rozdziałów pracy poświęcony jest zrekonstruowaniu historii Serbii i Chorwacji z lat 1941–1945. Warto na to zwrócić uwagę, ta tematyka bardzo rzadko bowiem znajduje się w polu zainteresowania polskich naukowców.

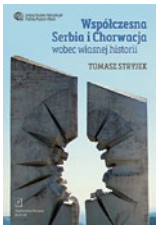

TOMASZ STRYJEK „WSPÓŁCZESNA SERBIA I CHORWACJA WOBEC WŁASNEJ HISTORII”
WYDAWNICTWO NAUKOWE SCHOLAR

Osią toczących się od lat 90. debat historycznych w Serbii jest postać gen. Draży Mihajlovicia – dowódcy oddziałów czetnickich, skazanego przez komunistyczny sąd na karę śmierci i rozstrzelanego 17 lipca 1946 r. Na podstawie wyroku z 14 maja 2015 r., wydanego przez sąd w Belgradzie, został on zrehabilitowany, a wydany na niego wyrok śmierci uznano za bezprawny. Ten werdykt spotkał się z przychylnym przyjęciem przywódców większości partii politycznych oraz części społeczeństwa serbskiego. Krytycznie do niego ustosunkowały się natomiast władze chorwackie. Pani prezydent Kolinda Grabar-Kitarović określiła przywódcę JVuO mianem zbrodniarza wojennego (autor książki stwierdzenie to ubrał w cudzysłów). Bez wątpienia ta wypowiedź wiązała się z faktem popełnienia masowych zbrodni wojennych na Chorwatach i Bośniakach, a dokonanych przez oddziały serbskiej partyzantki rojalistycznej, o których Mihajlović był systematycznie informowany w spływających do niego raportach.

W Chorwacji główną postacią ogniskującą debatę historyczną jest osoba arcybiskupia Zagrzebia i prymasa Chorwacji kard. Alojzijego Stepinaca. Wobec niego z kolei Sąd Okręgowy w Zagrzebiu wydał prawomocne orzeczenie, anulujące wydany wyrok z 11 października 1946 r., skazujący go na karę 16 lat więzienia i pięć lat utraty praw obywatelskich. Początkowo Stepinac przebywał pięć lat w więzieniu w Lepoglavie, a od 1951 r. znajdował się w areszcie domowym w rodzinnej miejscowości Krasić, gdzie miał możliwość pełnienia posługi duszpasterskiej. Tam też zmarł 10 lutego 1960 r. Nie wszyscy Chorwaci ów wyrok sądu ocenili pozytywnie. Sceptycznie odniósł się do niego znany publicysta lewicowy Dragan Markovina, który zarzucił arcybiskupowi, że nie potępił Niepodległego Państwa Chorwackiego oraz utrzymywał na co dzień instytucjonalne stosunki z jego władzami.

Podobnie, aczkolwiek w zdecydowanie bardziej ostrych słowach, odniosły się do rehabilitacji prymasa władze Serbii. Premier belgradzkiego rządu Aleksandar Vučić na wieść o decyzji zagrzebskiego sądu nazwał Stepinaca „jednym z ideologów najgorszej nazistowskiej władzy na terenie Europy”. Nie ulega wątpliwości, że wypowiedź ta nie miała wiele wspólnego z historyczną prawdą. Stepinac bez wątpienia należał do grona zwolenników istnienia NDH, ale pomimo utrzymywania poprawnych stosunków z rządem poglavnika Ante Pavelicia był on krytycznie nastawiony do polityki prowadzonej przez ustaszy wobec Serbów i Żydów, czemu dawał wyraz w listach kierowanych do zagrzebskich władz.

Książka prof. Tomasza Stryjka zawiera rzecz jasna o wiele więcej fragmentów analizujących stosunek Chorwatów i Serbów do swojej historii, dlatego jest ona godna polecenia wszystkim zainteresowanym tą tematyką. ©℗

Arkadiusz Karbowiak

Dzieje piwa

Piwo towarzyszy ludzkości od czasów starożytnych, jest więc elementem obyczaju i tradycji. I właśnie z tej perspektywy Maria Falińska pisze o piwie, na szerokim tle kulturowym, w swych zajmujących szkicach. Przywołuje głosy kronikarzy, historyków, pisarzy i pamiętnikarzy. W tym, oczywiście, Galla Anonima, który opowiadał o postrzyżynach Ziemowita, syna Piasta Kołodzieja, podczas których pito chmielowy napój. Jak zauważa autorka, przez wieki piwo było uważane za znacznie zdrowsze niż woda, często wątpliwej jakości ułatwiało trawienie. Poza tym piwo w Polsce uważano nie tyle za napój alkoholowy, ile za pożywienie. Znana była i lubiana polewka piwna, z grzankami, maczanymi w oleju, podawana także z żółtkiem. Taką polewkę pito m.in. na śniadanie, zanim pojawiły się kawa i herbata.

Co ciekawe, niegdyś w Polsce dominowało piwo pszeniczne, jedynie na północy, w Prusach Królewskich, na dawnych ziemiach krzyżackich warzono je z jęczmienia.

„Piwo było podstawowym napojem alkoholowym w staropolskim obyczaju i tradycji. Pijąc je, hołdowano wielowiekowej tradycji sięgającej wczesnego średniowiecza” – stwierdza autorka. Jej książka jest przewodnikiem po biesiadach i ucztach, królewskich, mieszczańskich, cechowych, podczas której chmielowy napój spożywano obficie. A także po obyczajach świątecznych i zabawach, ceremoniałach i podróżach.

Książka opisuje również staropolskie pijaństwo i jego różne przejawy. Problem pojawił się dopiero w XVII w., gdy – jak stwierdza autorka – pijaństwo stało się wręcz czymś dobrze widzianym. Jednak trudno za tę zmianę winić piwo, raczej wino i wódkę. ©℗

(t.s.)

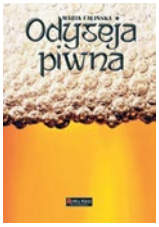

MARIA FALIŃSKA „ODYSEJA PIWNA”
OFICYNA WYDAWNICZA „MÓWIĄ WIEKI”

eprasa.pl 31e9a37c40

Amerykańscy żołnierze na poligonie na Hawajach

FOT. ARMY.MIL

COVID-19 / Pandemia niszczy równowagę światową

Globalny boks

Jacek Bartosiak

Nigdy nie było na planecie Ziemi takiego starcia gigantów jak Chiny i USA

Przymusowe zamknięcia kolejnych sektorów gospodarki i ograniczenia funkcjonowania (sławne już lockdowny) wywołane pandemią COVID-19 dewastują systemy gospodarcze w krajach rozwiniętego Zachodu (i coraz bardziej w Polsce). W ślad za tym, niczym złowrogi cień, pojawią się napięcia społeczne, które mogą doprowadzić do złamania kontraktu społecznego, na którym oparty jest cały ład międzyludzki w naszym kręgu cywilizacyjnym.

Amerykański Congressional Budget Office przewiduje, że do 2030 r. prognozowana ścieżka wzrostu PKB amerykańskiego może ulec potężnej negatywnej korekcie w realnych dolarach aż o 8 bln dol., co odpowiada dziewięciu rocznym budżetom wojskowym USA. Przypomnę – światowego hegemona wojskowego, na którego barkach spoczywa pokój między mocarstwami mogącymi mieć regionalne ambicje.

Bez spektakularnego cudu gospodarczego taka sytuacja wymusi wielkie redukcje wydatków wojskowych USA. Do teraz (od lutego 2020 r., a zatem w zaledwie osiem miesięcy) wpompowano w gospodarkę amerykańską 6 bln dol. na ratowanie strony popytowej społeczeństwa, rozpaczliwie starając się uniknąć depresji, która tym się różni od głębokiej nawet recesji, że bezpowrotnie niszczy powiązania strony popytowej i podażowej, a tym samym więzi biznesowe od wielkich korporacji i nowoczesnych technologii do sprzedaży butów, hulajnóg czy produkcji garniturów. I trzeba wówczas budować większość więzi od początku.

A prawdopodobnie drugie tyle zostanie wydane, zanim usiądziemy w grudniu do świątecznego stołu. To kilkadziesiąt razy więcej w realnych dolarach niż na sławny plan Marshalla dla Europy, który odbudował po drugiej wojnie światowej w zdewastowanej Europie stronę podażową, lepiej obsługującą długoterminowo bodźce rozwojowe: infrastrukturę, moce produkcyjne, technologie itp.

eprasa.pl 31e9a37c40

To wszystko finansowane jest z druku pieniądza, który zgodnie z doświadczeniem ludzkości powinien zamienić się wielką inflację pozbawiającą ludzi owoców pracy. Emitujący walutę światową Amerykanie mają jednak nadzieję, że największy w historii świata dodruk pieniądza zostanie rozmyty (tzn. koszt tego zostanie podzielony i zapłacony przez tych, którzy pracują na kolejnych szczeblach światowej gospodarki) w globalnym łańcuchu dostaw, pracy i wartości, który do niedawna kontrolowali Amerykanie (wciąż im się wydaje, że to kontrolują – o to może być wojna) poprzez międzynarodowe instytucje, dolara i flotę. Więc co do zasady, wcześniej im się to udawało.

Zachód w narożniku

Deficyt budżetowy USA jest rekordowy w aktualnym roku i wynosi 3,1 bln dol., czyli najwięcej w realnych dolarach i procentowo względem wielkości gospodarki od drugiej wojny światowej, gdy finansowano z kredytu wydatki wojenne w wielkich zmaganiach na obu oceanach świata i na lądach Eurazji. Dość powiedzieć, że teraz nie ma gorącej wojny światowej, a Amerykanie nie wydają na wojsko nigdy więcej (wraz z badaniami itp.) niż 4 proc. PKB. Kryzys USA nie wynika zatem w ogóle z finansowania sił zbrojnych.

Dług publiczny do końca roku wyniesie nawet 26 bln. Czy znajdą się inwestorzy, którzy będą kupowali amerykańskie obligacje, jeśli to potrwa kilka lat więcej, a do 2030 r. dług ma wynosić, wedle różnych najnowszych szacunków, między 39 a 50 bln? Jak powiada John Mauldin, Stany Zjednoczone znajdują się w sytuacji człowieka, który jest na pustyni, nie wie, czy mu wystarczy wody, którą ma przy sobie, ale nie może wrócić – może iść tylko do przodu. Jak dodaje Mauldin – i to w sytuacji, gdy nie będzie jakiejś wojny. Jeśli natomiast będzie wojna, to będzie jeszcze trudniej, bo wojny finansuje się z długu i ktoś musi się w szerokim świecie znaleźć, kto będzie wojnę i obligacje USA finansować, wierząc, że Amerykanie wygrają i zwrócą kiedyś pieniądze. W obliczu tego, co się dzieje, jest to założenie coraz bardziej chybotliwe.

Konstrukt Zachodu, naszej cywilizacji, do której tak często się odnosimy również w wewnętrznych sporach politycznych, w tym w dyskusjach o wartościach moralnych i społecznych, spoczywa obecnie na materialnej potędze Stanów Zjednoczonych finansujących instytucje, wojsko i regulacje, które są fundamentem powyższego ładu. W ramach niego możemy realizować nasze cele życiowe, w tym debatować o celach polityki krajowej w sensie ładu społecznego. Gdy ten fundament się zachwieje, a potem upadnie, zmieni się cały paradygmat.

Nie lepiej jest w zachodniej Europie. Koszty lockdownu w Niemczech podczas pierwszej fali na wiosnę wyniosły ponoć 279 mld euro. Obecna druga fala z pewnością to podwoi. A może być jeszcze gorzej, jeśli Berlin dotrzyma słowa i weźmie odpowiedzialność za długi państw europejskich. Przekraczając tym samym Rubikon na drodze do powstania imperium europejskiego (nazywanego

JACEK BARTOSIAK
„KONIEC KOŃCA HISTORII"
WYDAWNICTWO NOWEJ KONFEDERACJI

dla uproszczenia Unią Europejską), na co Niemcy i Francja mają widoki, być może z braku lepszej opcji. Widzą bowiem, co się dzieje za Atlantykiem i w Eurazji, zwłaszcza po jej drugiej stronie – u ujścia wielkich rzek Chin do Pacyfiku.

Gospodarki europejskie są zatem dewastowane, w szczególności na południu kontynentu. Pogłębiać to będzie w przyszłości kryzys demograficzny, brak innowacyjności oraz załamanie globalnego rynku dla eksportu europejskiego, które jest nieuniknione w obliczu tego, co się dzieje pomiędzy USA a Chinami.

To nie wszystko. Pandemia to tylko wierzchołek góry lodowej.

COVID-19 i jego skutki, używając metafory Graham Allisona, niczym błyskawica oświetla pole gry światowej, jakim są łańcuchy dostaw i łańcuchy wartości w zglobalizowanej gospodarce. Pokazuje, gdzie są wąskie gardła, kto kontroluje kluczowe miejsca w przestrzeni oraz w procesach gospodarczych i wymiany, kto kontroluje rozdział wartości pracy, kto na kogo pracuje, kto ma zdolności do narzucenia swojej woli. Kto produkuje, a kto ma za to płacić.

Cios w Polskę

Wojna o to, kto ustala reguły i zasady ruchu ludzi, towarów, danych, technologii, kapitału, innowacji, wiedzy, zwanych strategicznymi przepływami, już trwa między USA a Chinami. Wojskowe demonstracje między USA a Chinami i Rosją, które jawnie już odrzucają sprawczość USA w systemie światowym, również przybierają na sile w wielu domenach i licznych odsłonach, w tym w naszej strefie zgniotu – naszym Międzymorzu, pomoście bałtycko-czarnomorskim, gdzie położona jest Rzeczpospolita. Niewykluczona jest wojna na Pacyfiku, niewykluczona jest próżnia bezpieczeństwa w naszym regionie, gdyby Amerykanie dalej słabli i zmieniałaby się na korzyść Rosji równowaga sił. Może to ułatwić rosyjskie działania w ramach wojny nowej generacji, realizowanej przez Moskwę od prawie już dekady na swoim zachodnim limitrofie, czyli na naszym kierunku. Włącznie z wojną prawdziwą, kinetyczną, gorącą, nazwa jest tu drugorzędna, w której Polska weźmie udział. Oby zwycięski.

Jesteśmy na nieznanych wodach. Podręczniki ekonomii nie odpowiadają na pytanie, co się wydarzy po czymś takim. Nigdy nie było również na planecie Ziemia takiego starcia gigantów jak Chiny i USA, obu tak ważnych dla globalnego łańcucha dostaw zglobalizowanej gospodarki i dla architektury bezpieczeństwa. Obu z ambicjami do dominacji w globalnym systemie sprawczości.

To przemożnie wpłynie na procesy polityczne. Musimy zająć się w Polsce modelowaniem scenariuszy przyszłości NATYCHMIAST. Globalne płyty tektoniczne ruszyły. Nie ma powrotu do sytuacji poprzedniej.

Historia się nie tylko nie skończyła. Ona właśnie przygotowuje akcję wyprowadzenia nam lewego prostego, oby nie kończącego, po nim może być jeszcze sierpowy, podbródkowy i znów lewy prosty. Może też być cała kombinacja ciosów. Musimy jedynie nauczyć się (lub przypomnieć sobie) krok bokserski, uniki, technikę, poprawić szybkość, wytrzymałość, muskulaturę. Żeby po zawodach stać mocno na nogach. Nie leżeć na deskach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31e9a37c40

Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Praworządna Jałta

Po roku 1989 trudno raczej znaleźć w polskiej historiografii apologetów decyzji podejmowanych przez przywódców Wielkiej Brytanii i USA w Teheranie, Jałcie i Poczdamie. Fałsze, które wcześniej w tej kwestii wsączono, wciąż jednak trwają. Trzeba zresztą wiedzieć, zwłaszcza młodszym, że szczególnie w latach 80. oficjalna historia najnowsza operowała zręcznie „dwójmyśleniem". Oficjalnie, po wierzchu, przedstawiano zupełnie fałszywy obraz Jałty jako umowy niezwykle dla Polski szczęśliwej, dzięki której jako lud polski zyskaliśmy potężnego protektora i możliwość budowy pod jego skrzydłami „sprawiedliwości społecznej"; półgębkiem zaś jednocześnie przyznawano, że Zachód nas zdradził i sprzedał pod sowiecką okupację, by tym argumentem łamać wiarę młodego pokolenia w poparcie „wolnego świata" dla solidarnościowej rewolucji: pamiętajcie, Zachód zawsze nas zdradzi, tak jak wtedy, nie liczcie na nic i nie podskakujcie.

Użycie przez komunistów zdrady jałtańskiej jako argumentu propagandowego wywołało reakcję obronną: pomniejszanie winy Churchilla i Roosevelta. Ukuto argument, że zostali przez Stalina oszukani. Stalin przecież obiecał w Polsce demokrację, wolne wybory i swobodę działania stronnictw politycznych. Oczywiście, nie powinni komuś takiemu jak Stalin ufać, no, ale jednak zgrzeszyli „tylko" naiwnością, a nie cyniczną zdradą.

Niestety – w istocie nie była to naiwność, tylko właśnie cynizm, sięgający dla pozoru po obietnicę tak sformułowaną, by niczego nie zmieniała. W potocznej świadomości nie istnieje zupełnie kluczowy zapis jałtańskiej umowy, że, mianowicie, Związek Sowiecki, przejmując Polskę do swojej strefy wpływów, zobowiązał się zapewnić w niej wolność działania partii politycznych i organizacji, ale z wyjątkiem – uwaga! – tych, które współpracowały z III Rzeszą.

O zapisie tym polscy wychodźcy, których wojna rzuciła na Zachód, dowiedzieli się z mowy Churchilla, wygłoszonej jeszcze w lutym 1945 r., i oczywiście wpadli w ogromne oburzenie, którego ślady uważni badacze znaleźć mogą w źródłach z epoki (mimo że cała polska prasa emigracyjna była cenzurowana przez Anglików). Churchill owo zastrzeżenie, wykluczające z odbudowy „wolnej" Polski rzekomych kolaborantów, przedstawił bowiem jako rzecz oczywistą i godną pochwały, zręcznie pomijając to, że w Polsce – w przeciwieństwie do wszystkich okupowanych przez Niemcy krajów zachodnich – żadnych kolaboracyjnych rządów ani żadnych współpracujących z okupantem partii czy organizacji nie było.

Ciekawe, czy Churchill użył przeciw krytyce oskarżenia, że skoro Polakom zapis ten nie odpowiada, to najwyraźniej są po stronie kolaborantów. Zapewne nie, zapewne nas zignorował. Ale przecież byłoby to logiczne, równie logiczne jak dziś propaganda, że skoro protestujemy przeciwko odbieraniu nam unijnych funduszy, to jesteśmy przeciwko praworządności. W obu przypadkach przecież kluczowe jest bowiem to, kto ma oceniać, co jest praworządnością, czy, na mocy jałtańskiej umowy, kto kolaborował z III Rzeszą. Przywódcy USA i Wielkiej Brytanii wiedzieli dobrze, że kolaborantów w Polsce nie było. Wiedzieli też, że skoro ocenę pozostawią komunistom, to ci wskażą jako stronników Hitlera rząd londyński, PSZ, AK i w ogóle wszystkich poza sobą i swymi poputczikami. Niemniej, gdyby kto pytał, to już nie ich, Churchilla i Roosevelta, wina.

Zastanawiające, jak wiele się w polityce Zachodu nie zmienia. ©℗

/ **W umowie jałtańskiej, podobnie jak w unijnej, kluczowe jest, kto będzie oceniał. W Jałcie 1945 r. – kto kolaborował z III Rzeszą; w Brukseli 2020 r. – co jest praworządnością**

eprasa.pl 31e9a37c40

Piotr Semka

/ Felieton

Mikołajczyk niedoceniony

Ileż to razy na łamach „Historii Do Rzeczy" mnie i moich kolegów zadziwia, jak wybiórcza bywa pamięć zbiorowa. Narodowcy irytują się pomniejszaniem roli Romana Dmowskiego i oburzają się, że nikt nie pamięta o wpływie gen. Tadeusza Rozwadowskiego na wygraną 1920 r. Zwolennicy Józefa Becka irytują się krytyką jego polityki wobec Niemiec i Wielkiej Brytanii. Lewicowcy użalają się nad marginalizacją PPS w losach Polski.

Jako człowiek wrażliwy na wizualną stronę polityki zawsze podkreślam, że wiele zależało od dwóch czynników: osobistej atrakcyjności wizualnej bohatera i tego, czy miał on szczęście mieć politycznych wyznawców, którzy potrafiliby jego postać uwiecznić w sztuce, malarstwie czy nawet filmie. Nietrudno zauważyć, że Piłsudski ze swoim szarym mundurem, z sumiastym wąsem, elektryzującym spojrzeniem miał większe szanse zaistnieć w popkulturze niż ubrany w cywilne garnitury Dmowski, na zdjęciach skrzywiony człowiek, którego cały czas bolą zęby.

Bywają jednak przypadki szczególne, do których zaliczam Stanisława Mikołajczyka. Jego można dopiero uznać za superpechowca w wyścigu do krainy zbiorowej pamięci. Po pierwsze, nie zyskał szerszej sławy w okresie międzywojennym. Po drugie, został premierem w okresie wojny, kiedy jego nazwisko niewiele mówiło. Po trzecie wreszcie, był człowiekiem, podobnie jak Dmowski, niemal zawsze wypadającym na zdjęciach jako człowiek skrzywiony czy naburmuszony.

Mikołajczyk był na ustach wszystkich Polaków w latach 1945–1947, ale było to jedynie wynikiem ogromnych nadziei, jakie z nim wtedy wiązano. Na tle ekipy Bieruta, zza którego pleców aż nadto wyraźnie wyglądali siepacze z UB i KBW, Mikołajczyk był jedyną nadzieją na wyrwanie Polski spod kurateli Moskwy. Sam niedawno przy okazji przygotowywania wystawy o powojennym Szczecinie szukałem w archiwach Polskiej Agencji Prasowej zdjęć z wizyty Mikołajczyka w Szczecinie w kwietniu 1946 r. Po przekopaniu się przez całe strony zdjęć reporterskich PAP z tamtego czasu mogę stwierdzić z czystym sumieniem: fotoreporterzy PAP dokonywali cudów zręczności, aby na imprezach z udziałem formalnego wicepremiera Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej tak fotografować, by lider PSL nie znalazł się w kadrze. Zazwyczaj wykonywali takie ujęcia, by Mikołajczyka swoimi głowami zasłaniali czy to Bolesław Bierut, czy premier Edward Osóbka-Morawski, czy marszałek Michał Rola-Żymierski.

> / Mikołajczyk był jedyną **nadzieją na wyrwanie Polski spod kurateli Moskwy**

A wydawana w Warszawie „Gazeta Ludowa" zdjęć Mikołajczyka zazwyczaj nie zamieszczała. Jest wreszcie w losie Mikołajczyka problem zakończenia jego kariery w Polsce. Dzisiaj można już z dużą dozą prawdopodobieństwa uznać, że władze wolały, by sam uciekł z kraju, niżby miano mu wytaczać jakiś proces pokazowy. Mikołajczyk był poprzez agentów umieszczonych w jego otoczeniu ostrzegany, że grozi mu aresztowanie. Lider ludowców musiał być świadomy, jakie konsekwencje takie aresztowanie może ze sobą nieść. Punktem odniesienia mogły być dla niego procesy pokazowe działaczy jego partii jeszcze w czasie legalnego działania PSL. Czy można od ludzi wymagać heroizmu? To pytanie, na które nigdy nie można znaleźć jednoznacznej odpowiedzi. Faktem jest, że Mikołajczyk skorzystał z możliwości, które podsunęła mu amerykańska ambasada, i opuścił kraj przemycony ciężarówką ambasady USA na pokład statku „Baltawia", którym opuścił Polskę. Kto wie, czy pamięci o Mikołajczyku nie zaszkodziło czysto instrumentalne wykorzystanie jego legendy przez Polskie Stronnictwo Ludowe po 1990 r.? Flirtujący niemal cały czas z lewicą ludowcy nigdy nie traktowali tego kultu serio.

Powiem szczerze, szkoda mi Mikołajczyka. Przez dwa lata swojej próby obrony demokracji w Polsce robił wiele, żeby uratować tyle wolności, ile się dało.

Wyboru legendy dokonują jednak kolejne pokolenia. ©℗

eprasa.pl 31e9a37c40

XIX–XX w. / Ostatni ordynaci

Radziwiłłowie z Nieświeża

Nieśwież na litografii według rysunku Napoleona Ordy, XIX w. FOT. MUZEUM LITERATURY/EAST NEWS

Tomasz Stańczyk

Radziwiłłowska rezydencja chyliła się ku upadkowi. Odżyła dzięki Francuzce, żonie księcia Antoniego Wilhelma

Karol Stanisław Radziwiłł „Panie Kochanku" to ostatni ordynat nieświeski w I Rzeczypospolitej, choć umarł w 1790 r., pięć lat przed jej smutnym, definitywnym końcem. Był postacią nietuzinkową, emocjonalną, ekscentryczną, pełną fantazji, uwielbianą przez szlachtę.

Jak pisał autor książki „Z dziejów Nieświeża" Bolesław Taurogiński, „Panie Kochanku" po pogrzebie swego brata żalił się, że pochował go po chrześcijańsku, a kto wie, „jak ludzie mnie zakopią". Do krypty rodowej w farze nieświeskiej ciało księcia trafiło po śmierci w Białej Radziwiłłowskiej (dziś Podlaskiej) w 1790 r.

„Jest wersja dawna, którą słyszałem w młodości – opowiadał Aleksander Jelski – jakoby wiarygodna, że sprowadzone zwłoki do owej kaplicy, w celu zabezpieczenia na czas pogrzebu, złożono w metalowej trumnie i zalano mocnym spirytusem, atoli gdy pobożne babki kościelne raczyły się tym szczególnego rodzaju napojem, co poznano po doskonałym humorze niewybrednych w smaku stróżek, dalszego zalewania zwłok księcia spirytusem zaniechano". Lecz Jelski zaznaczał, że to może być jednak z licznych facecji dotyczących księcia „Panie Kochanku" (A. Jelski, „Nieśwież Radziwiłłowski przed ćwierć wiekiem a dziś").

Weselny skandal

Nieświeska rezydencja została jeszcze za czasów Karola Stanisława ograbiona przez wojska rosyjskie, w czasie konfederacji barskiej. Scheda po „Panie Kochanku" przeszła na jego bratanka SPR Dominika Radziwiłła. „Wzorował się – pisał Stanisław Cat-Mackiewicz w »Domu Radziwiłłów« na trybie życia ubóstwianego wtedy przez Polaków księcia Pepi, to jest Józefa Poniatowskiego". A były to „hulanki, kobiety i karty". Ale, jak się okazało, Radziwiłł naśladował bratanka ostatniego króla Rzeczypospolitej nie tylko w tym, lecz także, po jakimś czasie, w patriotycznej postawie.

Sprawy radziwiłłowsko-nieświeskie skomplikowały się jednak, gdy żonaty

eprasa.pl 31e9a37c40

Dominik Radziwiłł FOT. WIKIPEDIA

Dominik zakochał się w zamężnej i spokrewnionej z nim blisko Teofili Starzeńskiej. Podczas jej wesela zdarzył się fakt niebywały. W zmowie z Teofilą książę „wstaje od stołu, dyskretnie schodzi do swej karety. Po chwili wstaje także ona, wymyka się do tejże karety i w czasie gdy są dopijane ślubne toasty, uciekają daleko" – relacjonował ów skandal Stanisław Cat-Mackiewicz.

Dominik Radziwiłł pięknie zapisał się jako wojskowy, uczestnik wojen napoleońskich. Powiedział: „Moje miejsce jest na czele mojego pułku, a nie w Nieświeżu". Walczył w „bitwie narodów" pod Lipskiem. Zmarł po odniesieniu śmiertelnej rany w bitwie pod Hanau w 1813 r., był wtedy oficerem pułku szwoleżerów.

W zemście za udział tego Radziwiłła w wojnie przeciw Rosji zamek w Nieświeżu był splądrowany i okradziony przez wojsko rosyjskie na wyższy rozkaz. Co prawda, część kosztowych przedmiotów był ukryta, ale – jak z goryczą pisał Taurogiński – „donosicielami o ukrytych skarbach radziwiłłowskich byli Żydzi nieświescy, którzy w ten sposób odwdzięczali się Radziwiłłom za ich opiekę i dobrodziejstwa, jakimi Żydzi byli przez tyle wieków otaczani".

Car Aleksander I zdecydował, że syn Dominika – Aleksander – nie ma praw do ordynacji nieświeskiej, jako że nie urodził się w legalnym związku. Wydziedziczony został przez cara nie bez zabiegów dawnego opiekuna, księcia Michała Hieronima Radziwiłła, który walczył o schedę nieświeską dla swego syna Antoniego Henryka. Aleksander służył potem w wojsku polskim podczas powstania listopadowego i zmarł w Wiedniu.

Maria de Castellane

Nieśwież przeszedł do rąk Antoniego Henryka Radziwiłła, który zapoczątkował berlińską linię rodu, od 1815 r. namiestnika Wielkiego Księstwa Poznańskiego, melomana, utalentowanego kompozytora. Mało się interesował Nieświeżem, podobnie jak syn, a także wnuk, Antoni Wilhelm, generał pruski, adiutant trzech cesarzy. Zwrot nastąpił, gdy do Nieświeża przyjechał Antoni w 1865 r. z żoną, Marią de Castellane. Nalegała na swój udział w podróży.

To ona, cudzoziemka, namówiła męża, pruskiego generała, by przywrócić świetność zamkowi.

„Nieśwież zastaje księżna Radziwiłłowa w strasznym stanie. Dach przecieka. Niektóre okna są zastawione portretami z dawnych wieków [...]. Zabiera się energicznie do ratowania wszystkiego, co się da. […] Nieśwież z powrotem staje się zamkiem mogącym rywalizować z każdą rezydencją monarszą w Europie" – pisał o tym, czy aby jednak nie z pewną przesadą, Cat-Mackiewicz.

Oczywiście Antoni i Maria Radziwiłłowie mieli swój pałac w Berlinie, ale Maria chciała uratować – jak wyznawała – historyczną przecież siedzibę radziwiłłowskiego rodu od końca XVI w. dla ich dzieci. Udało się wyjednać u cara zwrot części zrabowanego skarbca (znalazł się w Ermitrażu), lecz nie biblioteki, „gdyż rozebrały ją rozmaite rosyjskie towarzystwa naukowe" – jak pisał Taurogiński. Zamek zaczął być podnoszony ze stanu dewastacji, podobnie jak fara nieświeska i znajdująca się w niej krypta grobowa Radziwiłłów. A spoczywał w niej m.in. Mikołaj Krzysztof „Sierotka", od którego wywodziła się linia nieświeska, budowniczy zamku i kościoła w Nieświeżu. A tuż obok księcia spoczywał „wierny przyjaciel i towarzysz wędrówki księcia do Ziemi Świętej, hajduk Skorulski" – jak pisał Jelski. Dodawał, że hajduk był imponującego wzrostu, gdyż jego trumna jest długa na 2 metry.

Gdyby nie Francuzka, berlińska gałąź Radziwiłłów, której przedstawiciele byli pruskimi oficerami, zniemczyłaby się najpewniej zupełnie i zapomniałaby o zamku w Nieświeżu. Już w domu jej teścia, Fryderyka Wilhelma Radziwiłła, „poczucie polskości w ich domu prawie zanikło, a w codziennych kontaktach posługiwano się językiem niemieckim lub francuskim".

Jednak – jak zwracał uwagę Andrzej Biernacki, autor życiorysu księżnej w „Polskim słowniku biograficznym" – była związana z polskością i ze sprawami polskimi jedynie w kontekście pochodzenia rodu męża. Miała na nie trzeźwe spojrzenie: „[...] prawdziwą bowiem odrębność, a i znaczenie wśród wielkich nazwisk europejskich zdołają Radziwiłłowie utrzymać, o ile nie wyrzekną się swoich litewsko-polskich tradycji".

Intelekt i energia Biszety

Kolejnym ordynatem był ich syn Jerzy. O wiele bardziej ciekawą osobowością była jego żona, tak bardzo się różniąca od niego, gdyż książę miał – jak pisał Walerian Meysztowicz – „niezdatny charakter" i cechował go brak energii. Maria Róża Radzwiłłowa z Branickich zwana była Biszetą.

Jej prababką była Aleksandra Egnelhard – o której mówiono, że jest nieślubną córką Katarzyny Anhalt Zerbst (później Katarzyna II) – wydana za mąż za hetmana Franciszka Ksawerego Branickiego.

Co ciekawe, przypominała Katarzynę II fizycznie, ale nie tylko. „Dziedziczyła po niej i wielką inteligencję, i energię, i temperament. [...] O przygodach Biszety – kontynuował Meysztowicz – mówiono tak wiele, że dziś ogólne o nich wspomnienie nie było obmową, rzeczy były zbyt ogólnie znane […]. Gdy ją poznałem, prawie co dzień była na mszy, przystępowała często do sakramentów, wynagradzała jak mogła grzechy młodości" (W. Meysztowicz „Gawędy o czasach i ludziach"). Natomiast seksualne przygody jej męża skończyły się dla niego fatalnie. „Około roku 1903 ujawniły się skutki choroby w postaci paraliżu postępowego, który doprowadził go z czasem do zupełnej niepoczytalności" – pisała Zofia Zielińska w „Poczcie polskich rodów arystokratycznych".

Księżnę Biszetę, która większość

eprasa.pl 31e9a37c40

życia spędziła za granicą, szczególnie w Rzymie, wrzesień 1939 r. zastał w Nieświeżu. A sowiecki komisarz, który objął władzę nad zamkiem, nazywał się ponoć Sierotka. Tak brzmiało miano sławnego Mikołaja Radziwiłła z XVI w... Starszej już pani nie zrobiono krzywdy oprócz tej, że podobno miała na rozkaz przesiadywać w jednej z sal zamku, by lud pracujący miast i wsi mógł obejrzeć odartą z majątku „krwiopijczynię" jako żywy eksponat.

Dzięki koneksjom i interwencjom międzynarodowym księżna wyjechała ze Związku Sowieckiego do Rzymu. Trasa wiodła przez Warszawę. Niemiecki oficer, widząc stojącą w oczekiwaniu na pociąg starszą panią, chciał jej zaoferować krzesło. Elegancko odmówiła, mówiąc, że uprzejmości przyjmuje tylko od przyjaciół. Zmarła w Rzymie w 1941 r.

Stanisław Wilhelm, brat jej męża Jerzego z Nieświeża, został natomiast ordynatem dawidgródeckim. Był to potężny szmat ziemi, ale głównie rozlewiska, bagna, wody i lasy. Książę Stanisław uważał Piłsudskiego za „socjała", a w czasie wojny z wyrzutem mówił do jednego z galicyjskich arystokratów, Stefana Badeniego, że dziwi się, iż nie powiesili go na pierwszej lepszej gałęzi. Jednak w 1918 r. zmienił diametralnie zdanie o Komendancie, bo ten, gdy chciał, potrafił czarować ludzi. I tak Stanisław Wilhelm został jego adiutantem, nie chciał jednak przesiadywać w sztabie, lecz walczyć. Poległ podczas wyprawy kijowskiej w 1920 r.

Maria Radziwiłłowa z domu de Castellane FOT. WIKIPEDIA

Zjazd nieświeski

Albrecht Radziwiłł, przedostatni ordynat nieświeski, miał ciekawy epizod w swoim życiu. W 1918 r. zabiegał bowiem na Zachodzie o uznanie proklamowanej Białoruskiej Republiki Ludowej. Nie był jednak białoruskim nacjonalistą, jak Magdalena Radziwiłłowa z Zawiszów, która nazywała żołniierzy I Korpusu Polskiego, istniejącego w latach 1917–1918, „cudzoziemcami" i wprost określała się jako Białorusinka. A książę ordynat wspierał polskich żołnierzy i urządził dla nich w Nieświeżu szpital.

W 1919 r. Nieśwież zapisał się epizodem w wojnie z bolszewicką Rosją. Było to powstanie polskich mieszkańców miasta w marcu 1919 r., którzy spodziewając się rychłego nadejścia wojsk polskich, uderzyli na oddziały i instytucje sowieckie w mieście, rozbijając je i rozstrzeliwując szefa lokalnej czerezwyczajki Tartu oraz komisarzy Rozenbluma i Grynblatta. Zamiast spodziewanych polskich żołnierzy do Nieświeża wkroczyły jednak oddziały Armii Czerwonej. Pięciu przywódców powstania zostało aresztowanych i rozstrzelanych.

A podczas tamtej wojny książę Albrecht, mimo niedowładu nóg, służył ochotniczo w armii w pułku ułanów. W tamtym czasie wojska bolszewickie zdewastowały i ograbiły nieświeską rezydencję niczym nieco ponad sto lat wcześniej wojska carskie.

Ordynat nie uchodził za człowieka wysoce inteligentnego. Uczył się bodaj tylko w petersburskim Korpusie Paziów, a i to raczej nieświetnie. „Wiedział o tym, że nie jest zdolny, i w każdej sprawie bardzo dokładnie wysłuchiwał zdania doradców i potem dopiero pobierał decyzje, zresztą, moim zdaniem arcysłuszną" – chwalił księcia Cat-Mackiewicz.

W 1924 r. Cat-Mackiewicz był pierwszy raz w zamku nieświeskim. Oto jak wspominał rezydencję: zamek był „obrabowany z mebli, ponieważ świeżo przebył zawieruchę wojenną, ale to może powiększało jego urok. Olbrzymie zamczysko składało się z sal ozdobionych setkami portretów radziwiłłowskich, setkami zbroi i rozwieszonymi pasami słuckimi, wreszcie setkami rogów jelenich i łosich".

Albrecht Radziwiłł wspierał polskie szkolnictwo i Kościół katolicki, gdyż – jak zauważał Taurogiński – były to bastiony polskości na kresach.

Książę podejmował marszałka Piłsudskiego w 1926 r., po przewrocie majowym, gdy ten przybył, by udekorować krzyżem Virtuti Militari trumnę wspomnianego już Stanisława Radziwiłła. To właśnie z nim – jak podkreślał Marszałek – i z Julianem Stachiewiczem układał plan wyprawy

Albrecht Radziwiłł, w powozie. Koło niego Ludwik II, książę Monaco FOT. NAC

eprasa.pl 31e9a37c40

kijowskiej, która miała przywrócić do istnienia Ukraińską Republikę Ludową. Nie była to uroczystość rodzinna, bo tak naprawdę przy okazji bytności Marszałka w Nieświeżu zebrał się tam kwiat polskiej arystokracji. Był to więc naprawdę zjazd polityczny dla zawarcia sojuszu między ziemiaństwem a obozem rządzącym. Zapewne już wtedy utytułowane ziemiańskie rodziny nie myślały o nim jako o socjaliście, a nawet „bandycie spod Bezdan", choć w maju 1926 r. do władzy doszedł także dzięki wsparciu PPS. I zapewne rozumiano, że powołując w listopadzie 1918 r. rząd lewicowy Moraczewskiego, zresztą swego przyjaciela, zlikwidował groźbę bolszewizmu w Polsce.

Piłsudski podczas toastu mówił: „Dom Radziwiłłów dał nam w przeszłości szereg ludzi, którzy w służbie państwa zasłynęli, czy to na polach bitew, czy w radach senatorów". Wśród tylu utytułowanych zebranych Piłsudski czuł się zupełnie swobodnie, choć przecież jego ród nie mógł równać się z takimi rodami jak właśnie Radziwiłłowie czy Czartoryscy, Potoccy, Braniccy. A oni chyba tak jak wielu czuli „monarchiczny dreszczyk", jakiego – tak twierdziła Zofia Nałkowska – doznawało się w jego towarzystwie.

Bezdzietny książę Albrecht zmarł w 1935 r., a władzę nad ordynacją przejął ostatni już, XVII ordynat nieświeski – jego brat Leon, oficer Wojska Polskiego podczas wojny z bolszewicką Rosją. A z zamiłowania podobno całkiem utalentowany malarz amator. Zdaje się, że malowanie lepiej mu szło niż gospodarowanie. Jego żoną była Olga Simolin-Wettberg, a ślub wzbudził kontrowersje, gdyż była prawosławna. Oddajmy raz jeszcze głos Meysztowiczowi: „Oleczka potrafiła zahamować rozpływające się na wszystkie strony nieświeskie pieniądze. Nie było to zaprowadzenie porządku, lecz tylko zapobieżenie ogromnej rozrzutności…". Zapobiegliwa pani spowodowała w ciągu niewielu lat, że bliska ruiny ordynacja mogła nabrać z powrotem rumieńców, odżywać i odradzać się.

Radziwiłłowska rezydencja w Nieświeżu przetrwała burzliwe czasy, została odrestaurowana po uzyskaniu niepodległości przez Białoruś. Jej władze nawiązują także do dziedzictwa Wielkiego Księstwa Litewskiego, z którymi nierozerwalnie związany jest ród Radziwiłłów.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Pomnik Dowborczyków

Tomasz Stańczyk

Na terenie Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, tuż przy parkanie, stoli pomnik Dowborczyków: postać żołnierza z szablą wzniesioną ku górze, trzymającego sztandar.

Dlaczego pomnik jest eksponatem muzealnym, zamiast znaleźć się w godnym miejscu w Warszawie. Bo od 20 lat (!) nie można znaleźć dla niego lokalizacji...

Ściśle rzecz biorąc, jest to replika pomnika odsłoniętego w 1930 r. na Wybrzeżu Kościuszkowskim. Zniszczyły go w 1948 r. władze komunistyczne. I miały ku temu naprawdę ważny powód. Dowborczycy bowiem, żołnierze I Korpusu Wojska Polskiego w Rosji, pod dowództwem gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego byli pierwszymi polskimi żołnierzami, którzy walczyli z Armią Czerwoną.

I Korpus Polski powstawał od połowy 1917 r. jako formacja armii rosyjskiej, jednak w listopadzie władzę w wyniku zamachu stanu przejęli bolszewicy. Nowy głównodowodzący armii, chor. Nikołaj Krylenko, zażądał od gen. Dowbora, by – jak w całej armii – w oddziałach polskiego korpusu powstały komitety żołnierskie. Generał nie zgodził się, oznaczałoby to bowiem pełną anarchię i wolność dla komunistycznej propagandy. Krylenko udał, że przełknął odmowę, i zgodził się na postulat Dowbora, by rozrzucone na dużych przestrzeniach jednostki korpusu skoncentrować blisko siebie, w okolicach Bobrujska, dziś na Białorusi. Jednak zgodę wydał tylko po to, by – gdy w styczniu 1918 r. ruszyły eszelony z polskimi żołnierzami – zatrzymywać je, namawiać żołnierzy do opuszczenia szeregów, aresztować oficerów, nie dopuścić do miejsca koncentracji. Doszło wówczas także do zaatakowania pociągu wiozącego żołnierzy 5. Pułku Strzelców, w wyniku którego zginął m.in. jego dowódca.

Dowbor zażądał od Krylenki zaprzestania zatrzymywania transportów, a w rewanżu bolszewicki wódz wyjął generała spod prawa i zażądał od żołnierzy złożenia broni. W ten sposób Rosja bolszewicka znalazła się w stanie wojny z polskim wojskiem, która trwała niemal do końca lutego 1918 r. Anarchia i demoralizacja w oddziałach bolszewickich sprawiły, że dowborczycy bez większych problemów opanowali twierdzę w Bobrujsku z jej dużymi zapasami wojennymi. W polskie ręce, także za sprawą miejscowej konspiracji, wpadł Mińsk Litewski. W innych miejscach trwały jednak zaciekłe, krwawe walki, m.in. o stacje Ospiowicze i Jasień, o Rohaczew i Żłobin. Polacy używali podczas nich improwizowanych pociągów pancernych. W jednej z walk odznaczył się rtm. Władysław Anders. Bolszewicy dopuszczali się zbrodni wojennych, mordowali wziętych do niewoli oficerów, często w okrutny sposób. Jedną ze zbrodni popełnionych na personelu szpitala polowego opisał Melchior Wańkowicz w opowiadaniu „Szpital w Cichiniczach", powstałym na podstawie relacji jego kuzynki, która była wówczas sanitariuszką.

Oficerowie i żołnierze za walkę z oddziałami bolszewickimi otrzymali 145 krzyży Orderu Virtuti Militari.

Dzisiaj jednak, jeśli się pamięta o I Korpusie Polskim, to – niestety – głównie w kontekście rozbrojenia korpusu przez Niemców w maju 1918 r., a więc bezpodstawnie krytycznie. Generał Dowbor walki z nimi nie brał pod uwagę. Byłaby to walka z góry skazana na porażkę. Inna sprawa, że takie piękne samobójstwo byłoby propagandowo do wygrania – jako udział Polaków po stronie ententy. I na to liczyli spiskowcy z POW, piłsudczycy, którzy aresztowali generała i sądzili, że poderwą korpus do walki, zawodząc zresztą się srodze. Dlatego Dowbor-Muśnicki nie otrzymał Orderu Virtuti Militari.

Na stulecie zwycięstwa w wojnie z bolszewicką Rosją nie doczekaliśmy się ani muzeum Bitwy Warszawskiej w Ossowie, ani łuku triumfalnego lub innego pomnika w stolicy, ani nawet tego, by pomnik Dowborczyków – pierwszych, którzy walczyli z bolszewikami – znalazł się w godnym miejscu stolicy... Jak długo jeszcze będzie stał przy parkanie muzeum? ©℗

eprasa.pl 31e9a37c40

1712 r. / Zaczęło się od wynalazku pompy parowej

Kanały wodne i silniki parowe

Most na Kanale Ogińskiego FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Tymoteusz Pawłowski

Kanały wodne i silniki parowe wywołały w XVIII w. rewolucję przemysłową. Później ich znaczenie tak zmalało, że dziś nie dostrzegamy ich wcale. Czy naprawdę zniknęły z naszego życia?

Granice wschodnia i zachodnia Rzeczypospolitej są rzekomo granicami „naturalnymi" opartymi na rzekach – tak przynajmniej wmawiano nam w szkołach. Nie jest to prawda – rzeka nie dzieli, tylko łączy. Drewniany wóz konny – przez wieki podstawowy środek transportu lądowego – można było załadować nie więcej niż toną ładunku. Drewnianą szkutę czy barkę można załadować kilkudziesięcioma tonami. Podróż lądem z Krakowa do Gdańska trwała dwa tygodnie. Podróż Wisłą – dwa razy krócej.

Prawdziwymi granicami są góry, zarówno te wielkie – takie jak Karpaty – jak i te małe, trudne do zauważenia – tak jak góry w okolicach Bydgoszczy, mające raptem 20 m wysokości, które oddzielają dorzecze Wisły od dorzecza Odry. Podobne wzniesienia odnajdziemy pomiędzy Wielkopolską a Śląskiem i Pomorzem czy pomiędzy Mazowszem a Mazurami. To są właśnie naturalne granice, które były również granicami państwa polskiego przez stulecia, a dziś są granicami wewnętrznymi. Najłatwiej je obalić, łącząc rzeki sztucznie wykonanymi kanałami.

Kanały budowano już w starożytności, w średniowieczu powszechnie korzystano ze śluz pozwalających wyrównywać poziom wody na kanałach łączących dwie rzeki. W Polsce taki średniowieczny kanał zbudowano w końcu XV w. – łączył Wisłę z Elblągiem i nazywał się Kanałem Jagiellońskim. Prawdziwy jednak rozkwit nastąpił w XVIII w. – także w Polsce. Bydgoski – prowadzący przez wspomniane „niebosiężne" góry – zbudowali co prawda Prusacy w 1774 r., ale według polskich planów. To, co zbudowaliśmy sami – Kanał Ogińskiego łączący dorzecze Prypeci z Niemnem oraz Kanał Królewski (Dniepr–Bug) – znajduje się już poza naszymi granicami.

Szczególnie duże znaczenie miały kanały śródlądowe budowane w Wielkiej Brytanii. Za pierwszy „nowoczesny" uznaje się Sankey Canal z 1757 r. To system kanałów – w początkach XIX w. długi na 6,4 tys. km (koleje w Polsce mają ok. 19 tys. km) – był czynnikiem decydującym o tym, że Wielka Brytania stała się najbardziej uprzemysłowionym państwem świata.

Parowozy

Kanały umożliwiały transport rudy żelaza i węgla z kopalni do fabryk. Ani kopalnie, ani fabryki nie istniałyby bez wykorzystania pary. W 1712 r. Thomas Newcomen skonstruował pompę parową

eprasa.pl 31e9a37c40

(a właściwie ulepszył dzieło Thomasa Savery'ego sprzed 20 lat). Zasada działania była prosta – ogrzewano wodę, zamieniała się ona w parę, wtłaczaną do zamkniętego cylindra, który następnie ochładzano. Jako że para ma ok. 1,6 tys. razy większą objętość od wody potrzebnej do jej wytworzenia, w zbiorniku wytwarzała się próżnia, która zasysała wodę z kopalnianych szybów. Kopalnie można było kopać głęboko, bez obawy ich zalania podziemną wodą.

Newcomen przedzielił cylinder w środku ruchomą – ale szczelną – płytą tłokiem. Para podnosiła tłok, a następnie była gwałtownie ochładzana wstrzyknięciem zimnej wody. Objętość pary gwałtownie malała, a tłok opadał w dół zasysany przez próżnię, a raczej pchany przez ciśnienie atmosferyczne. Nie było to rozwiązanie idealne – pracowało powoli i nierównomiernie, koszty ogrzewania i ochładzania były wysokie – ale działało.

Tę maszynę atmosferyczną udoskonalił po kilkudziesięciu latach szkocki inż. James Watt. Skierował parę do osobnego zbiornika i dopiero stamtąd – dwoma przewodami – do cylindra, raz z jednej, raz z drugiej strony tłoka. Wymagało to oczywiście zbudowania skomplikowanego rozrządu i wytrzymałych zaworów, ale działało dużo sprawniej, dużo szybciej, a przede wszystkim dużo taniej – nie traciło się energii na chłodzenie ani rozgrzewanie cylindra. Pierwszy silnik parowy zbudowano w 1776 r., a do końca stulecia powstało jeszcze 250 takich maszyn.

Z początku były olbrzymie i nadawały się wyłącznie do napędzania fabryk. Z biegiem lat stawały się coraz mniejsze i tańsze, wkrótce osadzono je na kołach i zaczęto je wykorzystywać do ciągnięcia ładunków. W ten sposób powstały lokomotywy: w 1804 r. pierwsza z nich zaczęła pracować w przemyśle, a w 1830 r. otwarto Liverpool and Manchester Railway – pasażerską linię kolejową.

Rok 1830 powszechnie uważa się za początek istnienia kolei i – już mniej powszechnie – za początek końca kanałów śródlądowych. Kolej zabiła żeglugę. Transport kolejowy jest przede wszystkim bardziej elastyczny od rzecznego. Dużo łatwiej zbudować tory prowadzące do miasta, niż wykopać kanał. Dużo łatwiej doczepić dodatkowe – lub odczepić zbędne – wagony do lokomotywy niż barki do holownika. Nie trzeba martwić się o powodzie czy suszę. Śmierć kanałów nie nastąpiła jednak gwałtownie, tak naprawdę ich znaczenie stopniowo malało, ale umarły one niemal w tym samym momencie co lokomotywy parowe.

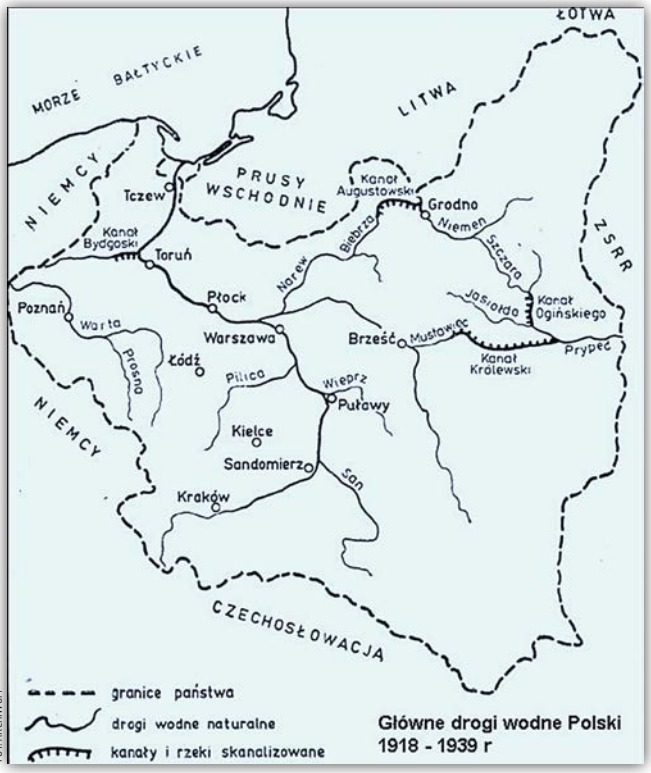

FOT. ARCHIWUM

Tory na tiry

Lokomotywy parowe zabili Niemcy w czasie drugiej wojny światowej. Najpierw – gdy odnosili sukces – ukradli niemal wszystkie w krajach, które podbili. Później – gdy ponosili klęski – większość zrabowanych lokomotyw utracili podczas odwrotu, a tory kolejowe wysadzili, aby utrudnić pościg aliantom. Alianci niezbyt się tym zmartwili, bo w Ameryce wyprodukowano tak wiele ciężarówek, że z powodzeniem zastąpiły transport kolejowy, a po wojnie „zabite" przez Niemców parowozy zastępowano produkowanymi na masową skalę lokomotywami spalinowymi.

W połowie lat 60. XX w. parowozy zniknęły z europejskich torowisk (najdłużej przetrwały w Wielkiej Brytanii – dokąd Niemcy nie dotarli – i w Europie Wschodniej, dokąd nie dotarła amerykańska pomoc). Z europejskich dróg wodnych zniknęły natomiast barki – utrzymały się one jedynie na największych rzekach, takich jak Ren. Gwoździem do trumny stały się ciągniki siodłowe oraz kontenery, które rozpowszechniły się w tym właśnie czasie. Dzisiaj nie trzeba ani kanałów, ani torów, żeby kilkudziesięciotonowe ładunki docierały do fabryk – wystarczy kawałek asfaltu.

Silniki parowe wciąż jednak są obecne w naszym życiu, co więcej – są tak istotne, że życie bez nich byłoby trudne do wyobrażenia. To właśnie silniki parowe napędzają prądnice wytwarzające prąd w elektrowniach. Są to oczywiście silniki bardziej skomplikowane niż te w parowozach. Ich prędkość obrotowa jest tak duża, że trzeba było zrezygnować z tłoków poruszających się góra-dół i zastąpić je łopatkami turbiny poruszającej się wokół wału napędowego. Turbiny w pewien sposób są powrotem do czasów Newcomena, gdy para wtryskiwana była tylko z jednej strony. Można również unowocześnić otrzymywanie pary, na przykład wykorzystując do jej produkcji reaktor jądrowy. Tak, elektrownie jądrowe są wciąż elektrowniami parowymi, reaktory zastąpiły jedynie węglowe paleniska.

Kanały rzeczne dostały natomiast w XXI w. szansę na drugie życie. Część z nich odbudowano – np. Kanał Augustowski, na części z nich odbudowano śluzy, na części – zbudowano nowe, czasem bardzo imponujące, np. Falkirk Wheel. Czasami buduje się nowe – tak jak Kanał Żeglugowy Nowy Świat na Mierzei Wiślanej. Za ten renesans odpowiada szeroko rozumiana ekologia: dbałość o krajobraz i o czyste powietrze. Kanały są dzisiaj olbrzymimi atrakcjami turystycznymi i pozwalają na ograniczenie liczby silników samochodowych...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31e9a37c40

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

2 LISTOPADA 1989 ROKU BUROWIE ROZPOCZĘLI OBLĘŻENIE FORTU LADYSMITH. Z POMOCĄ ZNAJDUJĄCYM SIĘ W NIM BLISKO 12 TYSIĄCOM OBROŃCÓW WYRUSZYŁY SIŁY BRYTYJSKIE LICZĄCE OKOŁO 30 TYSIĘCY ŻOŁNIERZY, DOWODZONE PRZEZ GENERAŁA REDVERSA BULLERA. NA DRODZE BRYTYJCZYKÓW ZNAJDOWAŁ SIĘ GÓRUJĄCY NAD OKOLICĄ MASYW SPION KOP O WYSOKOŚCI OKOŁO 450 METRÓW. JEGO ZDOBYCIE BYŁO KLUCZOWE DLA PRZERWANIA OBLĘŻENIA LADYSMITH, UMOŻLIWIŁOBY BOWIEM KONTROLĘ NAD CAŁĄ OKOLICĄ.

ŻOŁNIERZE WOODGATE'A NAPOTKALI JEDYNIE NIEWIELKI POSTERUNEK BURÓW I NATYCHMIAST KORZYSTAJĄC Z OSŁONY NOCY I MGŁY ROZPOCZĘLI BUDOWĘ UMOCNIEŃ MAJĄCYCH POMÓC W UTRZYMANIU WZGÓRZA. WYKOPANO OKOP LICZĄCY BLISKO 300 METRÓW. JEDNAK ZE WZGLĘDU NA KAMIENISTE PODŁOŻE, BYŁ ON GŁĘBOKI NA NIE WIĘCEJ NIŻ PÓŁ METRA.

RANKIEM OKAZAŁO SIĘ JEDNAK, ŻE NOCĄ WOODGATE POPEŁNIŁ BŁĄD I ŹLE OCENIŁ SWOJĄ POZYCJĘ. JEGO ŻOŁNIERZE ZAJĘLI JEDYNIE PŁASKOWYŻ, A BUROWIE PRZEGRUPOWALI SIĘ NA POBLISKICH WIERZCHOŁKACH, MAJĄC TERAZ DOSKONAŁĄ POZYCJĘ DO OSTRZAŁU.

STRATY WŚRÓD BRYTYJCZYKÓW BYŁY OGROMNE. OKOŁO GODZINY 8:45 ZGINĄŁ GENERAŁ WOODGATE, A PÓŹNIEJ TAKŻE TRZECH KOLEJNYCH OFICERÓW, KTÓRZY PRZEJMOWALI PO NIM ZASTĘPSTWO.

PO WIELOGODZINNYM OSTRZALE BUROWIE WEZWALI BRYTYJCZYKÓW DO PODDANIA SIĘ. BROŃ ZŁOŻYŁO OKOŁO 170 ŻOŁNIERZY. SYTUACJĘ STARAŁ SIĘ URATOWAĆ PUŁKOWNIK ALEXANDER THORNEYCROFT, KTÓRY OBJĄŁ KOMENDĘ.

WRAZ Z ZAPADNIĘCIEM ZMROKU WALKI OSŁABŁY. WINSTON CHURCHILL, PEŁNIĄCY WÓWCZAS FUNKCJĘ OFICERA ŁĄCZNIKOWEGO W SZTABIE GENERAŁA BULLERA TAK RELACJONOWAŁ TO, CO ZOBACZYŁ: „PUŁKOWNIKA THORNEYCROFTA ODNALAZŁEM NA SZCZYCIE WZGÓRZA. SIEDZIAŁ NA ZIEMI OTOCZONY ZEBRANYMI SZCZĄTKAMI REGIMENTU, KTÓREGO ŻOŁNIERZE WALCZYLI DLA NIEGO JAK LWY I PODĄŻALI ZA NIM JAK PSY (...) NIE MAJĄC ŻADNEJ WIADOMOŚCI OD GENERAŁA I NIE SPODZIEWAJĄC SIĘ PRZYBYCIA ARTYLERII, PODJĄŁ DECYZJĘ O ODWROCIE. JAK UJĄŁ TO ZWIĘŹLE – – „LEPIEJ BEZPIECZNIE SPROWADZIĆ ZE WZGÓRZA SZEŚĆ BATALIONÓW, NIŻ EWAKUOWAĆ TEREN RANKIEM."

W BITWIE NA SPION KOP ZGINĘŁO OKOŁO 250 BRYTYJSKICH ŻOŁNIERZY, NIEMAL 1250 ZOSTAŁO RANNYCH, A OKOŁO 300 WZIĘTO DO NIEWOLI. STRATY PO STRONIE BURÓW WYNIOSŁY OKOŁO 70 ZABITYCH I OKOŁO 270 RANNYCH.

eprasa.pl 31e9a37c40

/ Felieton

Profesor Wieczorkiewicz

Sławomir Cenckiewicz

Jest niszcząca opinia opiniotwórczych mediów, jest opinia środowiska, są wreszcie pewne klisze i schematy, które utrudniają swobodne myślenie i poprawne wnioskowanie. Są historycy, którzy na przykład nie dostrzegli cezury 1989 r., jakkolwiek by ją traktować. I w najszlachetniejszych intencjach będą przekonywać, że o czymś tam nie można wciąż mówić, bo szkodzi to »naszej sprawie«, »naszemu wizerunkowi« itd." – mówił w jednym z wywiadów prof. Paweł Piotr Wieczorkiewicz. W bodaj ostatniej publicznej wypowiedzi był jeszcze bardziej surowy wobec środowiska rodzimych historyków: „Polscy historycy to grupa skostniała intelektualnie. Oskarżam polskich historyków o brak wyobraźni i elastyczności, o niemożność oderwania się od schematów".

Zawsze wracam do prof. Wieczorkiewicza, kiedy czytam takie pouczenia pseudohistoryczne wzywające do porzucenia krytycyzmu wobec polityki zagranicznej II RP: „Służy to jedynie zohydzeniu kierownictwa politycznego państwa. Chodzi o pozbawienie nas dumy z II Rzeczypospolitej. Cóż bowiem warte było to kierownictwo, skoro nie potrafiło wybrać rozwiązań prostych i zgodnych z politycznym realizmem? Właśnie takiemu myśleniu trzeba się przeciwstawiać". Historyk nie jest powołany do tego, by tak sterować nastrojami i poglądami społeczeństwa, żeby bliskie mu wydarzenia czy postaci utrzymać na piedestale dziejów. Historyk musi być ciekawy przeszłości i kierować się imperatywem prawdy.

Niezależność, wystrzeganie się „instynktu stadnego" i odwaga mówienia tego, co się naprawdę myśli – to cechy, które uosabiał Wieczorkiewicz. I tego dziś brakuje, zważywszy na jego autorytet. Radykalna ocena kondycji polskiej historiografii sprawiała jednak, że w tym samym czasie, niejako równolegle, stawał się prawdziwym „outsiderem" i „enfant terrible" cechu historyków, którego należało traktować lekceważąco z uwagi na postępującą chorobę nowotworową lub brutalnie atakować. I niestety trzeba przyznać, że w warunkach postkomunistycznej rzeczywistości oraz demoliberalnej ignorancji wobec faktów wykluczanie ludzi myślących na przekór obowiązującym opiniom działało skutecznie.

Niezależność, wystrzeganie się „instynktu stadnego" i odwaga mówienia tego, co się naprawdę myśli – to cechy, które uosabiał Wieczorkiewicz

Ktoś, kto tak jak Wieczorkiewicz uznał Davida Irvinga za „najwybitniejszego znawcę historii II wojny światowej", pisał o „rycerskim eposie Leona Degrelle'a" i dywagował o defiladzie zwycięstwa na pl. Czerwonym w Moskwie z udziałem Hitlera i marszałka Śmigłego-Rydza, zasługiwał na środowiskową infamię i napaści medialne. Pozytywny stosunek do pisarstwa Irvinga, którego Wieczorkiewicz cenił przede wszystkim za przywiązanie do historycznych źródeł, nie zaś do „poglądów historiografii" czy „opinii kolegów", odgrywał tu zresztą rolę wyjątkową. Bez względu na nowatorski dorobek pisarski Wieczorkiewicza, zwłaszcza ten związany ze studiami nad Rosją i Związkiem Sowieckim, kilka ciepłych słów o Irvingu stało się wystarczającym powodem jego naukowej dyskwalifikacji, choć nie był przecież pierwszym i jedynym badaczem „głównego nurtu", który miał odwagę pochwalić brytyjskiego historyka rewizjonistę. „Powiedziano mi, że jestem takim polskim Irvingiem i podobnie skończę" – mówił pod koniec życia.

Jeśli Paweł Wieczorkiewicz krytykował postawę wielu uznanych w Polsce badaczy dziejów najnowszych, to nie chodziło mu przecież o afirmację jego własnych (i nie tylko jego) sądów historycznych, ale o zwykłą gotowość do rzeczowej dyskusji nad hipotezami, poglądami i stanowiskami (również tymi „rewizjonistycznymi" i „negacjonistycznymi"), które kłóciły się z ugruntowanymi i niekwestionowalnymi w Polsce opiniami historiografii. Nie lękał się intelektualnej prowokacji, próbując w ten sposób przełamać dość charakterystyczny sposób myślenia o dziejach minionych, który od dziesiątków lat podąża utartym i bezpiecznym szlakiem mitów, legend oraz politycznej poprawności, a zamiast dyskusji wybiera najczęściej milczenie, cenzurę i zakazy.

Dokładnie jak teraz, chociaż zradykalizowała się forma tych połajanek, do której dołączyli również ci, którzy powołują się na dziedzictwo profesora. ©℗

eprasa.pl 31e9a37c40

Muzeum Getta Warszawskiego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Zbieramy Budujemy Pamiętamy

Międzynarodowa zbiórka pamiątek dla Muzeum Getta Warszawskiego.

Poszukujemy osób, które podzielą się z nami swoją historią i przekażą pamiątki z getta warszawskiego oraz innych gett z ziem okupowanej Polski. Zbieramy dokumenty osobiste: listy, karty pocztowe, świadectwa, dowody tożsamości, pamiętniki, fotografie i albumy, dokumenty administracyjne, a także książki, czy druki ulotne - plakaty, afisze, programy, broszury.
Szukamy różnych obiektów - od wyposażenia mieszkań po elementy infrastruktury ulicznej.
Te przedmioty zostaną zaprezentowane na wystawie stałej. Dzięki darom Muzeum Getta Warszawskiego odtworzy wygląd i atmosferę miejsca oraz ocali pamięć o getcie warszawskim i jego mieszkańcach.

ZBIERAMY BUDUJEMY PAMIĘTAMY
Czekamy na Państwa

tel: 22 419 92 50
e-mail: zbiory@1943.pl
szczegóły na:
www.1943.pl/zbiory/
Muzeum Getta Warszawskiego

eprasa.pl 31e9a37c40